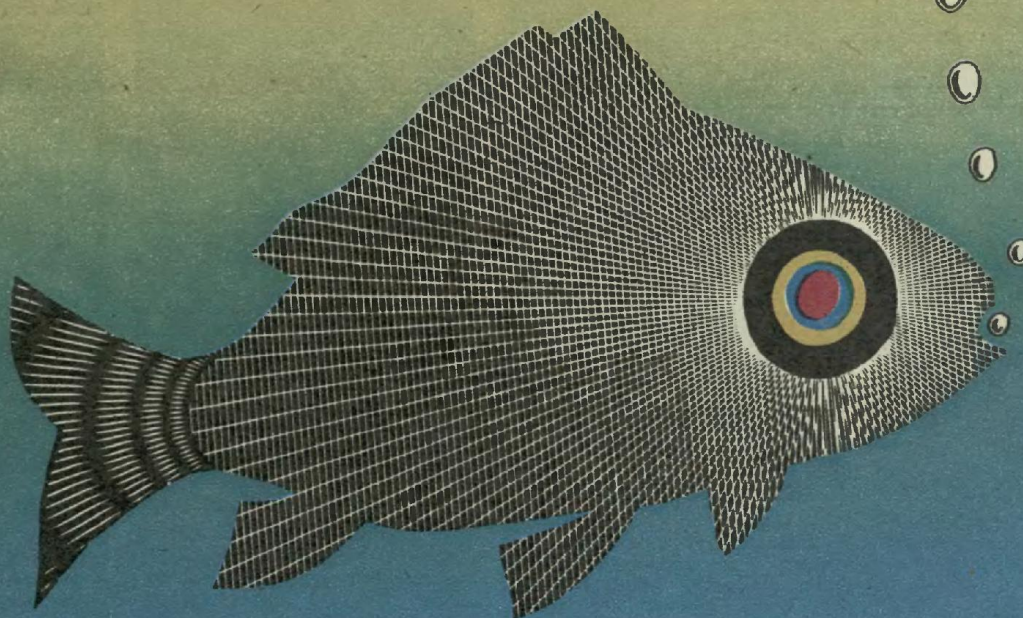




NADCHODZI NOC, W KTÓRĄ ZWIERZĘTA
PRZEMAWIAJĄ LUDZKIM GŁOSEM
(NAWET MY, RYBY).
KORZYSTAJĄC
Z TEJ MOŻLIWOŚCI ŻYCZYMY WAM
WESOŁYCH, ZDROWYCH (JAK RYBY - NIE Z WISŁY) ŚWIĄT,
SMACZNEGO - z WYRAZAMI SZACUNKU
JEDNO Z 12 PAŃ WIGILIJNYCH

CENA 130 ZŁ



Witali go w orędziach noworocznych przywódcy obu supermocarstw. — „Musimy postanowić — zwracał się przed kamerami telewizyjnymi do narodu radzieckiego Ronald Reagan — że uczynimy nasz świat bezpieczniejszym i wolniejszym, jeśli starczy nam odwagi”...

Czy starczyło?

Niech na pytanie to odpowie u schyłku roku przegląd wydarzeń z kraju i ze świata. Nie wszystkie utrwaliła i przekazała nam Centralna Agencja Fotograficzna, wiele z nich wybraliśmy z reporterskich zapisów. Przedstawiamy je — siłą rzeczy — w telegraficznym skrócie.

STYCZEŃ



▲ Już ósmy tydzień trwa na okupowanym przez Izrael Zachodnim Brzegu Jordanu i w strefie Gazy tłumione brutalnie powstanie Palestyńczyków. Nie będzie tu spokoju do końca roku.

● Oficjalną wizytę składa w Polsce wicekanclerz i minister spraw zagranicznych RFN — Hans-Dietrich Genscher („należy wspólnie z Polakami usiąść przy jednym stole”). Zapowiedź wizyty kanclerza Kohla.

LUTY

● Z 5-dniową wizytą przebywa w Polsce zastępca sekretarza USA, John C. Whitehead. Rozmowy (w tym 2,5-godzinna z Wojciechem Jaruzelskim) dotyczą stosunków polsko-amerykańskich i pomocy rządu USA (10 mln dol.) dla polskich rolników.



▲ Olimpiada Zimowa w Calgary. Kanadyjczycy — potomkowie imigrantów z całego niemal globu, także z Polski — podają ręce światu.

MARZEC



▲ W Armenii i Azerbejdżanie ruchy na tle narodowościowym. Ginią 32 osoby. Pod koniec roku sytuacja zaostrzy się. Wielu Ormian, szczególnie z Nagor-

no-Karabachii, szukać będzie ocalenia w uchodźstwie.

● W Rydze i Tallinie tysiące mieszkańców biorą udział w uroczystości dla uczczenia pamięci ofiar kultu Stalina.

KWIECIEŃ



▲ W Tunisie, we własnym domu, ginie z rąk izraelskiej jednostki specjalnej Abu Dżihad (z prawej), szef organizacji wojskowej OWP.

● 15 dni trwa gehenna pasażerów kuwejckiego Boeinga, porwanego w Kuwejcie przez ekstremistów islamskich. Ginią 2 osoby. Zamachowcy, nie osiągnawszy celu — odlatują z Algieru do Iranu.

● W Polsce strajki na tle placowym.

MAJ



▲ Przez 8,5 roku świat był problemem afgańskim, sześć lat trwały w Genewie rokowania zmierzające do uregulowania tego konfliktu. 15 maja rozpoczyna się pierwszy etap wycofywania wojsk radzieckich z Afganistanu.

● Zarysowują się możliwości uregulowania konfliktu na południu Afryki.

● W cieśninie Ormuz płonie, ugodzony przez rakietę irackie, największy tankowiec świata. Ginią 50 marynarzy.

● Na Węgrzech Ogólnokrajowa Konferencja Partijna powierza funkcję sekretarza generalnego WSPR Karol'emu Groszowi. Janos Kadar, po 32 latach sekretarzowania, zostaje honorowym przewodniczącym partii.

CZERWIEC



▲ Ronald Reagan i Michail Gorbaczow spotykają się po raz czwarty. Tym razem w Kremlu. Obaj uznają, że wojna atomowa nie będzie miała zwycięzców.

Rozmawiają nie tylko o rozbrojeniu, ale także o konfliktach regionalnych, ekologii, prawach człowieka. Ten szczyt przechodzi do historii jako najważniejsze wydarzenie w stosunkach radziecko-amerykańskich.



▲ Moskwa inauguruje obchody tysiąclecia chrztu Rusi. Na uroczystości przybywają: prymas Polski, kard. Józef Glemp, i watykański sekretarz stanu, Agostino Casaroli.

● Obraduje XIX Konferencja Partijna KPZR. 5 tys. delegatów dokonuje oceny wyników pierestrojki, zastanawia się, jak przyspieszyć proces odnowy, aby stał się nieodwracalny.

● Prymas Polski, kard. Józef Glemp, w wywiadzie dla „Moskowskich Nowosti” porusza sprawę Katynia („Powinna ona zostać jak najżybciej wyjaśniona... To praktycznie jedna z tych spraw, której szybkie rozwiązanie otwiera możliwości przyspieszenia naszego zbliżenia”).

LIPIEC



▲ Polska wita Michaila Gorbaczowa, jak żadnego dotąd przywódcę Kraju Rad. Rozmowy z Wojciechem Jaruzelskim, wystąpienie w Sejmie, wezwanie do współpracy w uwalnianiu historii obu krajów od „białych plam”, spotkania z intelektualistami, na Zamku Królewskim, mieszkańcami Warszawy, Krakowa, Poronina, Szczecina i Gdańska.

● W rejonie Zatoki Perskiej spada do morza, ugodzony rakietą amerykańską, irański samolot pasażerski z 290 osobami na pokładzie. USA przyznają się do pomocy.



▲ To zdjęcie obiega cały świat. Spikerka irańskiej telewizji przekazuje wiadomość o zgodzie Iranu na przerwanie walk z Irakim. Rozjem wejdzie w życie 20 sierpnia.

SIERPIEŃ



▲ Sekretarz obrony USA, Frank Carlucci, odwiedza w ZSRR bazy wojskowe, spotyka się z ministrem obrony ZSRR, Jazowem (z lewej) i marszałkiem Achromiejewem, który w ub. miesiącu gościł w USA.



▲ W Polsce nowa fala strajków. OPZZ domaga się zwolnienia nadzwyczajnego posiedzenia Sejmu. Gen. Kiszczak spotyka się z Wałęsą. Omawiają propozycję zorganizowania spotkania „okrągłego stołu”. Wałęsa używa do zakończenia strajków.

WRZESIEŃ



▲ Huragan „Gilbert”, najsilniejszy w tym stuleciu, pustoszy wybrzeża USA, Meksyku, Kuby, Jamajki, Dominikany; straty sięgają 8 mld dol.

● Rada OPZZ deklaruje aktywny udział w pracach „okrągłego stołu” i — po raz pierwszy w najnowszej historii Polski — wyraża wotum nieufności dla rządu

Zbigniewa Messnera. Również po raz pierwszy w historii PRL rząd podaje się do dymisji. (19 IX).

● 300 tys. Estończyków manifestuje na wielkim wiecu politycznym wolę niezależności i autonomii. Opowiada się za wprowadzeniem języka estońskiego jako oficjalnego w republice.

PAŹDZIERNIK



▲ Olimpiada w Seulu. Nie uczestniczy w niej ledwie kilka państw (m. in. KRLD i Kuba). Powszechny podziw świata budzi zdobywczyni 4 złotych medali — Amerykanka Florence Griffith-Joyner.



▲ 10-lecie pontyfikatu Jana Pawła II, papieża, który zbliżył Watykan do losów i cierpień świata.



▲ Sejm powołuje na premiera Mieczysława Rakowskiego (62). W jego exposé — zapowiedź konsekwentnej realizacji hasła „partia kieruje, a rząd rządzi” i kompromisu historycznego marksistów z katolikami. W programie: absolutny priorytet dla rolnictwa i przemysłu rolno-spożywczego, rynku, budownictwa mieszkaniowego i ochrony środowiska.



▲ W Jugosławii — kryzys i niepokoje. W Nowym Sadzie manifestacja Serbów i Czarnogórców, wymierzona przeciwko albańskim separatystom z okręgu Kosovo.



▲ 3 mld marek kredytu na rozwój przemysłu konsumpcyjnego przywozi do Moskwy kanclerz Kohl, składając 4-dniową wizytę.

LISTOPAD



▲ Premier Margaret Thatcher spotyka się z premierem Rakowskim. Jest to pierwsza w naszych stosunkach wzajemnych wizyta szefa rządu brytyjskiego w Polsce.



▲ Obchody 70 rocznicy niepodległości. Józef Piłsudski wraca po latach „przymusowej nieobecności” do grona wielkich Polaków.



▲ W Algierze Palestyńska Rada Narodowa proklamuje niepodległość państwa palestyńskiego ze stolicą w Jerozolimie, zapowiadając uznanie państwa Izrael.



▲ Zgodnie z oczekiwaniami — zwycięzcą w wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych zostaje George Bush.



▲ Bezprecedensowe spotkanie Alfreda Miodowicza z Lechem Wałęsą przed kamerami polskiej telewizji. Transmitowane „na żywo” — trwa 45 minut. Wywołuje żywe echa w kraju i świecie, budząc nadzieje na porozumienie.

● Czechosłowacja wprowadza obostrzenia celne. Pociągi jadące z Pragi do Kijowa stoją na granicy 10—15 godzin. Niewesoło też na granicy z Polską.



▲ Premier Mieczysław F. Rakowski (po ubiegłomiesięcznej wizycie w Moskwie) składa oficjalną wizytę w Austrii. Spotyka się z czołowymi osobistościami austriackiego przemysłu i handlu. Kolejnym etapem będzie RFN.

● Premier François Mitterrand podczas 2-dniowej wizyty w ZSRR obserwuje start pojazdu kosmicznego z radziecko-francuską załogą.



▲ W Warszawie obradują przewodniczący parlamentów Europy oraz USA i Kanady. Wydarzenie oceniono jako inicjatywę ważną i godną kontynuacji.

GRUDZIEŃ



▲ Premierem Pakistanu zostaje 35-letnia Benazir Bhutto. Jest pierwszą kobietą, której powierzono ten urząd w kraju muzułmańskim.



▲ Na forum ONZ Michaił Gorbaczow przedstawia bardzo ważne inicjatywy rozbrojeniowe (m. in. jednostronne zmniejszenie sił zbrojnych ZSRR o pół miliona żołnierzy). Wypowiada się za deideologizacją stosunków międzynarodowych, wspólnym rozwiązywaniem stojących przed ludzkością problemów gospodarczych, politycznych, ekologicznych i humanitarnych. Spotyka się na 2-godzinny lunch z Reaganem i Bushem.



▲ Największe od 80 lat trzęsienie ziemi nawiedza Armenię. Pochłania kilkadziesiąt tysięcy istnień ludzkich. Michaił Gorbaczow przerywa wizytę w USA, aby bezpośrednio w Armenii kierować akcją pomocy dla ofiar kataklizmu. Z pomocą spieszy cały świat, w tym Polska.

● Władze izraelskie wydają Związkowi Radzieckiemu terrorystów, którzy opanowali w Ordżonikidze (płn. Kaukaz) autobus z uczniami i wymusili podstawienie samolotu, którym odlecieli do Tel Awiwu. ● Na terytorium ZSRR zaprzestano zgłuszania audycji Radia Wolna Europa, Radia „Svoboda” i radia izraelskiego.

● Rząd polski podejmuje (zaskakującą) decyzję o zmianie profilu produkcji samochodów w FSO. Miast średniolitrażowych — produkować mamy rocznie ok. 600 tys. małolitrażowych, w większości na rynek wewnętrzny. „Fiat” aprobuje decyzję jako uzasadnioną i mądrą gospodarczo. Nowe auto produkować będzie tylko Polska.

● Kraj obchodzi uroczystości 40-lecie zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego.

● Lech Wałęsa, podobnie jak prof. Andriej Sacharow, zostaje zaproszony przez prezydenta Mitterranda na obchody 40 rocznicy podpisania Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka. Spotyka się z Sacharowem, Polonią i dziennikarzami. Opowiada się za kompromisem i porozumieniem.

He czasu musi minąć, aby pszczoły opuściły na zawsze swe ule?

He czasu potrzeba, aby zniszczył doszczętnie modrzewiowy, kryty gontem dom?

He czasu musi upłynąć, aby zatrzeć w pamięci przeszłość i to, co przeżyli ludzie, gdy stał dom modrzewiowy i gościnna dla pszczoł pasieka?

Zarośla szczelnie ukryły pozostałości przegniętych ścian i zapadniętego dachu. Wszystko zniknęło w gąszczu wybujałego zielska, wysokich jak człowiek pokrzyw i dziczalej, choć wciąż owocującej winorośli. W ulach opuszczonej pasieki od lat nie słychać już pszczoł. Ten dom jest jak dawno zmarły człowiek, z którego szczątków nie da się wynioskować, jak wyglądał za życia.

Nie dziwi się Pan teraz, że tak niechętnie mówiłam o Lubnicach podczas naszego spotkania w Busku, gdyż ich obecny wygląd, jak się Pan mógł przekonać naocznie, sprawia przynębiające wrażenie, gdy porównuję go z obrazem, jaki zachowałam z lat młodzieńczych — przeczytałam w liście Janiny Wójcickiej. Kilka tygodni wcześniej opowiadała mi o swoim ojcu, Adamie Dulebie, ten zaś z domem w Lubnicach wiązał spory szmat swego przedwcześnie zakończanego życia.

Los Adama i jego starszego brata Stanisława jest losiem pewnej generacji, której młodość przypadała na czas pierwszej wielkiej wojny, a wiek dojrzały — na lata drugiej. Ale kres tej drugiej światowej wojny postawił tych, którzy ją przeżyli, wobec zupełnie nowej rzeczywistości. Ta druga wojna zamknęła raz na zawsze kartę zapisaną losami wielu wcześniejszych pokoleń, przerwała ciągłość pewnego stylu życia, skazanego w trybie doraźnym na zapomnienie. Powolne umieranie ziemiańskiego dworku w Lubnicach było jedynie następstwem wyroku, nie wspartego żadną literą prawa.

Przed pół rokiem rodzina Stanisława i Adama Dulebów postanowiła przekazać Muzeum Historii Fotografii w Krakowie dar bezcenny — zbiór prawie tysiąca archiwalnych negatywów, zawierających w większości nie znane fotografie z frontów wielkiej wojny, wykonane przez dwóch braci. Starszy z nich nosił wówczas mundur szeregowca 3 pułku strzelców tyrolskich, młodszy — polskiego legionisty z II Brygady. Zamówienie do fotografowania obaj odziedziczyli po ojcu.

Ta opowieść o nich jest odzwierciedleniem strzępów wspomnień, z fotografii w rodzinnych albumach, z dokumentów, które pozwalają domyślać się faktów, ale nigdy nie dają pewności, jak było rzeczywiście, skoro nie żyją już główni bohaterowie.

Opowieść można zacząć w Krakowie w dniu, kiedy Helena z Obtułowiczów Dulebowa, żona Franciszka Ksawerego — urzędnika poczt — znalazła na stole kartkę od swego syna: *Idę służyć Ojczyźnie. Proszę mnie nie szukać.* Adam. Był wrzesień 1914 roku, Adam Duleba nie miał jeszcze skończonych 19 lat i rozpoczęte studia na wydziale rolniczym uniwersytetu. Miesiąc wcześniej jego 22-letni brat został zmobilizowany do armii austriackiej — wybuch wojny przerwał mu studia politechniczne we Lwowie.

Od tej pory losy braci potoczyły się różnymi drogami. Stanisław walczył na włoskim froncie, potem



dostał się do niewoli rosyjskiej. Stał na przedpolu, w okopie — opowiadał po latach rodzinie — gdy upadł granat. Przyspanego ziemią znaleźli Rosjanie. „Żywiołsz?”. Żył.

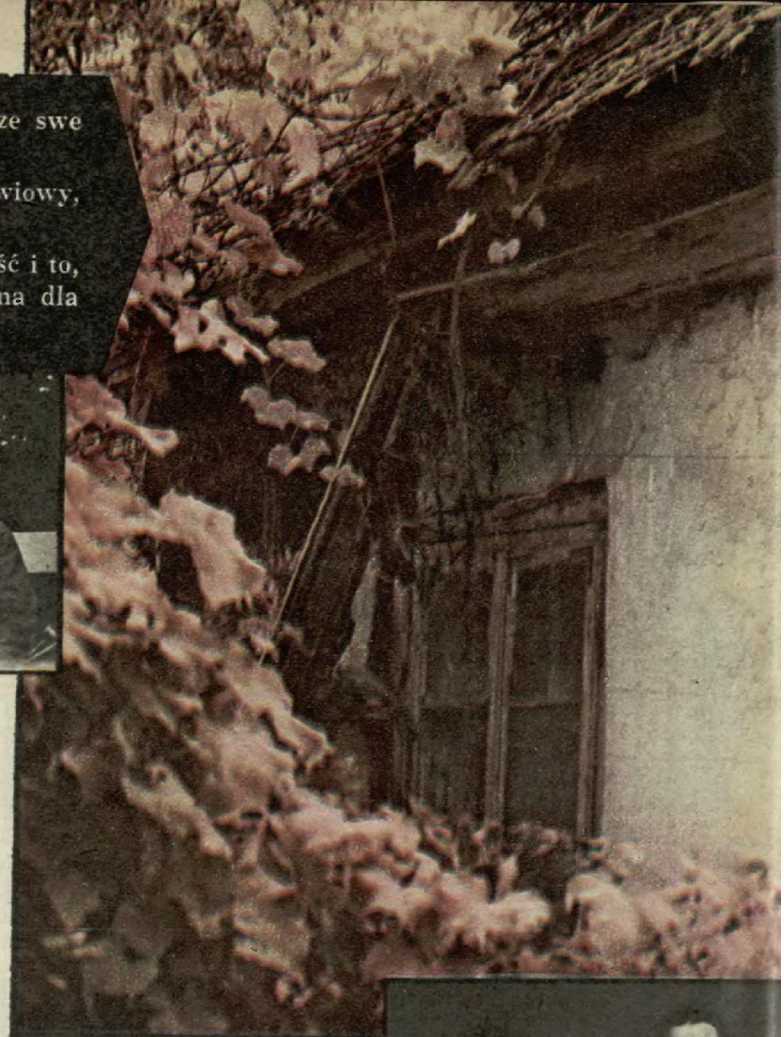
Po odparciu ataku koledy Stanisława Duleby znaleźli jego chlebak i znaczek identyfikacyjny. Do matki posłano wiadomość, że syn nie żyje.

I jeszcze inne opowieści przekazane w tradycji rodzinnej. Pobyt Stanisława w Mińsku, ucieczka z niewoli z kolegą. Pochwyceni przez Kozaków, zamknięci w jakiejś stodole — oczekują powieszenia. Podpalają stodołę, uciekają — patrol kozacki jest przekonany, że jeńcy zginęli w płomieniach. Przechodzą dalej. W tych opowieściach pojawia się jezioro Swięż, gdzie zaszyli w chacie rybaka przeczekując kolejną ofensywę. Potem Stanisław ukrywał się, pracował w czarnomińskiej cukrowni na Podolu — zastępca dyrektora był inż. Stanisław Czachórski, szwagier Zofii Węglińskiej, która niebawem miała zostać żoną Duleby. W listopadzie 1917 roku odbył się ślub, do którego jechali bryczką; Stanisław jedną ręką przytrzymywał narzeczoną, w drugiej ścisnął pistolet. Po drodze mijali wiszące na drzewach pierwsze ofiary rewolucji. On nie miał przy sobie żadnych papierów, tylko plecak z cukrowni. Wyciągnął ją, gdy zatrzymał ich patrol. „Wot moj propusk”. Przepuścili.

Z zartatej upływem lat pamięć 89-letniej dziś Zofii Dulebowej wyłania się jakiś zrujnowany parafialny kościółek, przypadkowi świadkowie ślubu, długo poszukiwany ksiądz. Czas był niespokojny, rewolucja kroczyła, znacząc drogę śladami krwi. Pustoszący majątki ziemskie, właściciele porzucali dobytek, zostawiali wszystko — byle ratować życie.

Tych wspomnień rodzinnych nikt nigdy nie spisywał. Przechodziły z pokolenia na pokolenie. Patrząc teraz na zdjęcia, przypominasz sobie jakieś słowa, miejsca, krajobrazy... Kiedy to było? Gdzie? Stanisław Duleba gdzieś w podróży posłubną do Kijowa, przewoził tajne dokumenty wojskowe dla generała Hallera. Potem podróż do Krakowa w zaplombowanym wagonie z równie tajemną pocztą... Przeszłość powraca echem przebrzmiałych zdarzeń, dawno słyszanych opowieści, ale nie sposób po latach rekonstruować w pełni faktów, których szczegóły zgięły pamięć.

Na pewno w 1918 roku przyjechał Stanisław z żoną do Krakowa. Kiedy wchodził do mieszkania



przy Poselskiej 19, które opuścił na początku wojny, spotkał rodziców wracających z kolejnej masy żałobnej, jaką co roku odprowadzali w jego intencji...

Nie zabawił w domu zbyt długo. Powierzył młodą żonę opiece matki i zaciągnął się do 2 pułku ułanów polskiego wojska. Dopiero w grudniu 1920 roku, przeniesiony do rezerwy, wznowił studia na Politechnice Lwowskiej.

Adam Duleba od dnia swojej ucieczki do Legionów przez wiele miesięcy nie dawał znaku życia. Potem z kartek przysyłanych pocztą połową dowiadywali się rodzice, że jest w sztabowym biurze prasowym Legionów Polskich. Z czasem zaczął materiały fotograficzne przekazywać posłańcem do Krakowa, do ojca, a Franciszek Ksawery, dla którego fotografowanie było też namiętnością, wywoływał klisze i robił odbitki. W 1916 roku nakładem własnym sierżanta Adama Duleby ukazał się album fotograficzny „Legionowo”. Nie cofam się — pisał we wstępie — przed poważnymi, zwłaszcza dzisiaj, nakładami, a jak swoje zadanie pojmuję i jak wydawnictwo prowadzić zamierzam, niechaj osądzi sam Czytelnik. W cztery lata później swój album o Legionach zadedykuje: Kochanemu bratu na pamiątkę.

W notesie, który pozostał jedną z nielicznych legionowych pamiątek po Adamie Dulebie, zapisywał warunki robienia zdjęć i dłużników spośród swych legionowych kolegów, skreślanych — gdy dług oddawali. Skrupulatny w prowadzeniu rachunków pozostał do końca życia. *Generał Szeptycki winien do dnia dzisiejszego 4,5 marki.* Ta uwaga pozostała w notesie nie skreślona.

Swój album od 1917 roku sprzedawał w Przemyślu, Warszawie, Lublinie — po 20 koron od sztuki (33,5% marży) — nie omieszczał razprawy w notesie obok liczby rozprawdzanych egzemplarzy.



Kiedy obaj synowie cało powrócili z wojny, Helena Dulebowa w intencji ich szczęśliwego powrotu postanowiła pościć przez trzy dni w tygodniu. Do końca życia. A żyć miała długo — 97 lat.

W lipcu 1920 roku Adam Duleba ożenił się w Krakowie z Zofią Zaporską, dokończył studia rolnicze i zamieszkał wraz z żoną w Lubnicach, w Kieleckim; 36-hektarowy majątek ziemski był wianem Zofii. W 1920 roku, po parcelacji włości staszowskich Radziwiłłów, spłacił go z myślą o córce Tadeuszu Zaporoskim, który całe lata przepracował w dobrach Hieronima Radziwiłła. Część pieniędzy na wykup dostarczył brat Henryk — aptekarz z Miechowa.

Stanisław Duleba ukończył studia politechniczne w 1923 roku z tytułem inżyniera budowlanego i podjął pracę w Zarządzie Miejskim, przyjmując jednocześnie pół etatu w Katedrze Statyki i Konstrukcji Żelaznych Politechniki Lwowskiej. Podczas gdy on pracował nad projektami rozbudowy miasta, dokonywał obliczeń statycznych przy budowie pierwszej krytej pływalni we Lwowie i fabryki wódek Baczewskiego na Zamarstynowie — Adam zajmował się gospodarowaniem w Lubnicach. Był wymagający, ale w każdej sytuacji służył pomocą i radą miejscowym rolnikom. Najważniejsze dlań było gospodarstwo; kupował maszyny, sprzęt rolniczy, pracował



1. Stanisław (z lewej) i Adam Dulębowie... 2. ...rodzicami w 1925 roku... 3. ...i pod koniec lat 30.
4. ...fragment domu w Lubnicach z lat 30. i jego szczątki sfotografowane w październiku 1983 roku
Fot. i repr. Stanisław Klimowski

DULĘBOWIE



razem z najmowanymi do pracy w swoim majątku ludźmi, którzy też nie traktowali go jako „dzieńdźica”, lecz dobrego, znającego się na roli gospodarza. Uprawiał tytoń, doglądał paszczół w pasiece, troszczył się, aby w rozległym sadzie rosły najszlachetniejsze gatunki jabłoni. Dochodów przysparzała masłarnia, którą założył i wyposażał oraz stawy rybne. Było w nim umiłowanie ziemi, z której bierze się życie, wdychał jej zapach, gdy parowała w pierwszych promieniach wiosennego słońca; gdy owocowała zbożem, rozciągał jego kłosa na dłoni, aby się przekonać o dorodności ziarna. Lubnice — to był sens jego życia, z nimi wiązał przyszłość swoją i własnej rodziny. Był skromnym człowiekiem, nie nawykłym do wystawnego życia i nie przywiązyującym wagi do „reprezentacji”. Modrzewiowy, parterowy dom, w którym mieszkali Dulębowie, przypominał wyglądem starszalszacki dworek i nie mógł w niczym dorównać stojącemu nieopodal w rozległym lipowo-dębowym parku okazałemu Radziwiłłowskiemu pałacowi, opuszczonego jeszcze przed wielką wojną i czasem odwiedzianemu przez szkolne wycieczki. Tylko w kaplicy pałacowej od czasu do czasu odbywały się nabożeństwa. — Gdy przyjeżdżałam na wakacje do stryja, omijałam ten opustoszały pałac lubnicki z daleka, bojąc się koczujących tam sów i nietoperzy — wspomina córka Stanisława, Barbara Mikus.

Dom też pamiętał dawne czasy i, jak powiadali miejscowi, w 1963 roku kwatrował w nim sam generał Langiewicz. Ale to wszystko — i dom, i pałac — istnieje już tylko w opowieściach rodzinnych, na starych fotografiach można wskazać, gdzie był salonik, gdzie pokój stołowy i pokoik ciotki Wesołowskiej, gdzie wreszcie kuchnia z piecem chlebowym, na którą stronę wychodziło okno mansardy mieszczącej sypialnię.

Adam Dulęba, jaki pozostał w pamięci córki i trzech synów: rygorystyczny, punktualny. Nie pił, nie palił. Gdy słowo powiedział, nie było odwołania. Nigdy nie wracał wspomnieniami do swoich przeżyć z lat wojny. Zamknięty w sobie, był przeciwieństwem swego starszego brata, tryskającego humorem gawędziarza, który potrafił być duszą towarzystwa, choć i on pozostał w pamięci dzieci jasno człowiek, któremu „mało było dnia na pracę i całe noce spędzał pochylony nad rajzbratem”.

Wojna przyszła nieco później do Lwowa niż do Lubnic.

— Pudełko zapalek kosztowało wtedy milion marek — odzywa się Zofia Dulębowa.

— To nie ta wojna, mamo — poprawia starszą córkę.

Kiedy Lwów zajęły wojska radzieckie, Stanisław Dulęba pracował nadal w magistracie. Tylko krąg jego kolegów pomniejszał się każdego dnia. Dowiadywał się na zajątruz od znajomych, że przyszli do tego, tamtego, wyprowadzili z domu i człowiek przepadał jak kamień w wodę. Potem wkroczyli Niemcy. Dulęba pracował nadal w Zarządzie Miasta, tym razem w „polityce budowlanej”. Niechętni wiedzieli, że działa — jak wielu innych — w Armii Krajowej.

W odległych od Lwowa Lubnicach młodszy brat Stanisława również związał się z podziemiem. Sam był jednak przeciwny angażowaniu się młodych. Przed wami przyszłość, dla mnie to już schyłek życia — mówił do własnych dzieci. Modrzewiowy dom, stojący w pewnym oddaleniu od sandomierskiej szosy, stał się punktem kolportażowym prasy podziemnej. Stąd szły dostawy żywności dla „Jędrusiów” — zgromadzenia AK działającego w kieleckich lasach.

22 stycznia 1944 roku u Dulębów było sporo gości: ksiądz Kęski, dwie koleżanki Janiny z pobliskiego majątku w Ruszczy, miejscowy agronom, jeszcze parę osób, a wśród nich Stanisław Wi-

cek „Inspektor” i Edward Kabata „Książę Bali” z oddziału „Jędrusiów”, którzy wcześniej przywieźli, jak zwykle, paczkę z „Odwetem” i zostali zatrzymani przez gospodarza. „Inspektor” ubrany po cywilnemu w trakcie zabawy odpiął kaptur z „wisem” i wsunął pod poduszkę na kanapie. Kabata — siedział w angielskiej kurtce, butach z cholewami i „wisem” przy boku — od razu poznał było, że nie jest z tego towarzystwa. W saloniku grał patefon i tańczono. Około północy dał się słyszeć w podwórzu jakiś ruch, potem stukanie do okna pokoju stołowego. Kogoś licha nosi po nocy? — mruknął gospodarz i wyszedł na werandę. Kabata odruchowo za nim, dostrzegł jednak żandarmów, więc wycofał się do pokoju. Niemcy, Stachu — powiedział do kolegi spokojnym głosem, a tamten sięgnął po „wisę”. Pierwszy z żandarmów, nie do końca wierząc zapewnieniom gospodarza, że to tylko chrzciny, pojawił się w drzwiach. „Inspektor” szedł uśmiechnięty na jego spotkanie. W założonych do tyłu rękach trzymał pistolet...

Odgłosy strzelaniny w domu Dulębów słychać było długo w okolicy. Ustala około trzeciej nad ranem. „Leśnym” i Zofii Dulębowej udało się uciec, rozproszyła się również młodzież. Na podłodze leżał ciężko ranny — rozstrzelany w dwa dni później — Władysław Romanowski, jeden z gości; nie dawał znaku życia agronom z Lubnic i zastrzelony na samym początku przez „Inspektora” żandarm. Odwrócenie twarzą do ściany stali: ksiądz Kęski i Adam Dulęba z najstarszym synem, Władysławem.

Rankiem przewieziono ich na gestapo do Buska Zdroju. Obydwu Dulębów trzymano tam miesiąc, przesłuchując codziennie i bez rezultatu. Ojca wywieziono niebawem do Gross-Rosen, gdzie rozstrzelano jako zakładnika, do ostatek ludzkie rodzinie nadzieje, że zostanie zwolniony. O tym, że zginie nazajutrz, dowiedział się wieczorem. Swoich najbliższych mógł pożegnać jedynie za pośrednictwem kolegi, który przekył obóz i był świadkiem ostatnich dni więźnia nr 17798 — 49-letniego Adama Dulęby.

Gospodarstwo w Lubnicach przeszło pod zarząd niemiecki, a zarządy wywieźli z domu wszystko, co miało jakąś wartość. Potem ruszyła ofensywa. Pozostały po niej ruiny wysadzonego przez wojska radzieckie XVI-wiecznego pałacu Radziwiłłów, którego gruz posłużył do budowy umocnień.

Rodzina Stanisława Dulęby doczekała końca wojny we Lwowie. W 1946 roku zaproponowano im zmianę obywatelstwa. Kto odmówił, musiał wyjechać. Nie pozwolono wywozić mebli, zapakowali więc w tobołki swój dobytek, pożegnali zbudowany przez Stanisława dom pod Lwowem i ostatnim transportem, w towarowych wagonach ruszyli na zachód. Zanim dojechali do Pyskowic, minął tydzień.

Stanisław Dulęba z żoną i dwiema córkami postanowił osiać w Gliwicach, gdzie była politechnika i znajomi profesorowie ze Lwowa. Dostał pracę adiunkta w Katedrze Budownictwa Ogólnego, później objął stanowisko naczelnego inżyniera w Zakładzie Badań Materiałów Budowlanych. Kiedy odwiedził Lubnice, gminną drogą utwardzono tłuczniem z pałacowych ruin, po białych, marmurowych posągach z pałacowej kaplicy, które podziwiał przed wojną, bo przypominały mu łazienkowskie — nie pozostało śladu. Gospodarstwo brata, do którego po wyzwoleniu powrócił jego rodzina, było częściowo zdewastowane — w kilka lat później obrazu zniszczenia dopełniły konsekwencje walki z kulacstwem, z której wyszło okrojone do

13 hektarów. Helena Dulębowa spędzała tutaj długie miesiące, czując się na wsi, w rodzinie syna, lepiej niż samotna w krakowskim mieszkaniu. W 1963 roku przyszła na ulicę Poselską w Krakowie komisja, kazała dozorcę wymeldować Dulębów, bo „mieszkań potrzeba ludzkom pracy”. Dokwalifikowane dwie lokatorki bez skrupułów zaczęły używać meble i rzeczy 95-letniej właścicielki. Poprosiła syna o pomoc. Przyjechał z Gliwic, sam wszystko pakował, z meblami był kłopot, bo duże i stare — trzeba było sprzedać niektóre za bezcen. Pieczętowała złożył do paczek setki klisz fotograficznych z lat swojej i brata młodości spędzonej na froncie wielkiej wojny, które tuż przed wojną przywieźli ze Lwowa i złożyli w mieszkaniu rodziców, gdzie niekiedy — przetrwały okupację. Stanisław liczył, że gdy doczeka emerytury, przeprowadzi się do Krakowa, ale teraz miał już pewność, że żegna się z rodzinnym mieszkaniem na zawsze.

Skromne mieszkanko, wszystkiego 48 m kw., bez żadnych wygód — to było miejsce w Gliwicach, w którym swe ostatnie 47 lat przeżył pracownik naukowy Politechniki Śląskiej, inżynier „Miastoprojektu”. Starzał się o inne od 1946 roku, ale bez skutku. Zresztą nie dbał o wygodę. Swoją czas dzielił między pracę nad rysownicą, nad którą gasił lampę o 2 w nocy a fotografowanie, obok narciarstwa największą swoją namiętność. Miał 80 lat, gdy zauważył, że jego piękne, drobne pismo techniczne przestało być dokładne jak dawniej. Wojciech Sznajder pamięta, jak jego dziadek podpisał swoim „Pelikanem” ostatnią weryfikowaną pracę jakiegoś młodego inżyniera i wręczając wnukowi ulubione pióro, powiedział: — Mnie to już niepotrzebne, więcej czego już nie podpiszę... Rozchorował się niedługo potem. Sparaliżowany, przeleżał cztery lata w swoim ciasnym mieszkanku, w którym z trudem mieścił się wózek inwalidzki. Była to pierwsza i ostatnia choroba w życiu Stanisława Dulęby, którego w grudniu 1979 roku pochowano na gliwickim cmentarzu centralnym. Na grobie Adama i Zofii Dulębów, na parafialnym cmentarzyku w Beszowej koło Lubnic, stała już wówczas kamień na urna z prochami krematoryjnymi, sprowadzonymi ze wspólnej mogiły w Gross-Rosen.

Mieczysław Dulęba, najstarszy syn Adama, na początku lat 50 nękanym jako kulak przez wiejskich aktywistów, mieszkał jeszcze w Lubnicach przez dziesięć lat po śmierci matki. Jego brat Janusz długie lata zabiegał o wojewódzkich konserwatorów zabytków w Kielcach i Tarnobrzegu o środki na zabezpieczenie wyglądu zewnętrznego uznanego za zabytek modrzewiowego domu, na wymianę więźby dachowej i gontów. W 1976 roku otrzymał nawet na to zgodę, ale wtedy zaprotestował czynny przedstawiciel gminnej władzy w Lubnicach: „Jeszcze tego nie było, żeby dom Dulębów remontować!”

Dom pogrążył się w ziemię. Latem 1980 roku, gdy już woda lała się ze stropu na głowę, wyprowadził się z Lubnic Mieczysław Dulęba. W pół roku później, podczas śnieżnej zimy, dach nie wytrzymał ciężaru śniegu i zapadł się zupełnie. I tak już zostało...

Wapienne ciosy, wyznaczące zarzys fundamentów pałacu w Lubnicach, porosły trawą — starodrzew pięknego parku wszystko przetrzymał. Dzieci z pobliskiej szkoły wiedzą, że ten park jest zabytkiem i pomnikiem przyrody. Ale dzieci nie wiedzą tego, co pamiętają kilkusetletnie graby i dęby. Jednakże drzewa nie potrafią mówić...

...Z DAŁA

FRANCJA

Biblioteka Polska w Paryżu

Towarzystwo Historyczno-Literackie

6 Quai d'Orléans F-75004 Paris
tel. 354-35-61

Towarzystwo zostało założone po klęsce powstania listopadowego przez emigrantów — wśród jego członków był ks. A. Czartoryski, J. Słowacki, J. Lelewel, F. Chopin, C. Norwid; biblioteka — w 1938 r. W pięć lat później Władysław Mickiewicz, dla podkreślenia łączności ojca z Biblioteką Polską, powołał Muzeum im. A. Mickiewicza, zaś Maria, wnuczka Adama, uczyniła zeń — w swoim czasie — ośrodek badań na poziomie nowoczesnej nauki. Dziś w muzeum znajduje się m. in. biurko wieszacza, jego rękopisy (także i „Pana Tadeusza”), archiwalia rodzinne. Wiele pamiątek mieści też pokój poświęcony Chopinowi. M. in. fotel, na którym zmarł kompozytor. Kolekcja obrazów sięgających jeszcze XVIII wieku, dokumentów dotyczących powstania z 1830—31 roku, Wiosny Ludów oraz powstania styczniowego, zbiór pamiątek historycznych, map, rycin, starodruków i czasopism uzupełniających muzealia, jakie gromadzi we Francji ta sędziwa biblioteka. Powołana w 1979 r. Fundacja im. A. Mickiewicza ma na celu zbieranie środków finansowych zabezpieczających egzystencję tej wielkiej skarbnicy.

Zamek Montrésor

F-37 460
tel. (47) 94-20-04

Zamek ten, w 1948 r. nabyty przez Ksawerego Branickiego (wnuczka targowiczanina), do dziś pozostaje w polskich rękach. Położony nad Loarą kusi eksponatami. M. in. wyrobami złotniczymi, stolowymi zastawami po Jagiellonach i Wazach, galerią obrazów mistrzów włoskich i holenderskich z XV—XVII wieku. Wśród zbiorów można obejrzeć nie tylko portrety rodu Branickich, lecz również polskie trofea myśliwskie, broń, meble, kolekcję monet i medali, płaskorzeźby Pierre'a Vaneau, będące fragmentami projektowanego w katedrze w Le Puy pomnika Jana Sobieskiego. Muzealia uzupełnia cenny księgozbiór i archiwum. Warto wiedzieć, że obok średniowiecznych baszt zamku znajduje się ulica imienia założyciela „polskiego Montrésoru” Rue Xavier Branicki, która wiedzie aż na cmentarz z kaplicą-mauzoleum Branickich oraz licznymi grobami powstańców-emigrantów.

Instytut Polski

31, rue Jean Goujon, 75 008 Paris
tel. 225-10-57

Założony w 1979. Popularyzująca i informacyjna działalność ugruntowała mu dobre miejsce wśród placówek polskich. Szczególnym uznaniem cieszy tutaj prezentacja polskiego filmu — przeglądy autorskie z udziałem reżyserów, aktorów i realizatorów są stałą pozycją programową Instytutu pozostającego w gestii Ministerstwa Spraw Zagranicznych.



SZWAJCARIA

Muzeum Polskie w Raperswilu

Ch 8640 Rapperswil, Postfach 270
tel. (055) 27-44-95; 27-56-02

Jesienią 1869 r. muzeum, któremu początek dał zbiór rękopisów należących do hr. Wł.

Broel-Platera lub na jego ręce złożonych, zostało uznane przez Związek Szwajcarski i rząd kantonu St. Gallen za własność narodu polskiego. Ten fakt miał zapewnić naszym rodakom na obczyźnie nienaruszalność zbiorów przez którekolwiek z zaborców. Dlatego 23 października 1870 (dzień otwarcia) Polonia uznała za dzień doniośły. Zbiory Muzeum Narodowego Polski pomieściły dzieje Wielkiej Emigracji, powstania styczniowego; pierwszy zespół dyrekcyjny, w skład którego wchodził m. in.: J. I. Kraszewski, A. Giller, H. Bukowski, Wł. Plater, zadbał o rozwój muzeum, w którego zbiorach znaczącą pozycję stanowiły materiały przekazane przez Leonarda Chodźkę i jego żonę. Nie miejsce tu na wdawanie się w szczegółowe opisywanie tych zbiorów, przypomnę tylko, że one właśnie zapoczątkowały ostrą polemikę w Polsce: Karol Estreicher w krakowskim „Czasie” uznał, że muzeum w Raperswilu przyczynia się do ogalania kraju z pamiątek i to „z gorszym nawet skutkiem, niż ogalanie jej przez na-jeźdźców”, i że „emigracja, która przed laty opuściła kraj, nie rozumie już obecnych stosunków w kraju”; nieco później St. Zeromski poruszył opinię publiczną, piętnując nieporządku panujące w Raperswilu. Przypomnę tutaj jednak rzecz nader istotną: w r. 1927 zbiory ze Szwajcarii zostały przetransportowane do Polski. Do wybuchu II wojny światowej gościły w Centralnej Bibliotece Wojskowej, w czasie pierwszych działań wojennych spłonęły wraz z nią doszczętnie.

Po trudnych latach wojny w r. 1954 powstało polsko-szwajcarskie Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Polskiego. To z jego inicjatywy, a także prezesa Hansa Rathgata w r. 1975 znów na zamku otwarto Polskie Muzeum, które gromadzi zbiory pochodzące z darów Polaków zamieszkałych za granicą. W trosce o dalsze zabezpieczenie egzystencji muzeum — znanego dziś z prezentowania malarstwa artystów polonijnych i krajowych — dziesięć lat temu została powołana Polska Fundacja Kulturalna w Raperswilu.

Muzeum Kościuszki

Ch. 4500 Solothurn, Gurzelgasse 12
tel. (065) 22 83 80; 22 55 21

W r. 1817 w Solurze zmarł Tadeusz Kościuszko, który mieszkał przez ostatnie dwa lata u swych przyjaciół, Zeltnerów; dwa pokoje składają się dziś na muzeum założone tutaj w 1936 r. z inicjatywy Poselstwa Polskiego w Bernie, choć wcześniej o wykupienie domu zabiegali polscy emigranci z powstania styczniowego. W jednym z pokoi zebrano pamiątki po bohaterze Polski i USA, w drugim — przywrócono stan z okresu, gdy był Naczelnik. Rekonstrukcji tego ostatniego pomieszczenia dokonano na podstawie akwareli z Muzeum Narodowego w Krakowie.

Muzeum wzięło w opiekę Towarzystwo Kościuszkowskie powstałe w 1865 r., także władze miejskie i kantonalne. Pieczę roztoczono również nad pomnikiem Kościuszki wzniesionym w 1817 r. w Zuchwilu oraz nad znajdującą się tam kaplicą z 1942 ku czci poległych żołnierzy 2 Dywizji Strzelców Pieszych.

Historia znacząca zygzakami. Zygzaki przekształcające się w wektory. Tak było, tak jest...

Przyczyny? Powody, dla których w bliskich i dalekich od kraju miejscach świata zapisujemy narodowe „ego”? Różne. Spójrzmy dziś jednak na polską wszechobecność inaczej — na ślady. Ślady, które po sobie zostawiamy, utrwalamy, lub dopiero zaczynamy zarysowywać. I na Wschodzie, i na Zachodzie. Albo inaczej: spójrzmy na ponadczasowe wartości — wspólnota kulturowego dziedzictwa, poczucie toż-



WIELKA BRYTANIA

Muzeum Księży Marianów

D.M. College — Fawley Court, Henley — on —
Thames, Oxon RG9 3AE, England
tel. 04912-4917

Na miejscu ufortyfikowanego dworu z XIII wieku wzniesiono w 1684 r. gmach, według projektu G. Wrena. Otoczony dużym parkiem zachęca pięknymi wnętrzami, kominkami, meblami, obrazami. Bezcenne druki i dokumenty z autografami królów od Kazimierza Jagiellończyka do St. Augusta Poniatowskiego, bulle papieskie z XVI i XVII w., Biblie polskie z XVI w., pamiątki po powstaniu styczniowym i Wielkiej Emigracji oraz 20-tysięczny księgozbiór — to również nie wszystko, co przykuwa uwagę. Ta skupia się jeszcze na największym zbiorze militariów polskich w Anglii; 20 szabel typu „kord”, szyszaki, budydany, elementy rynsztunku bojowego, szable — to zaledwie część kolekcji. A warto przecież zobaczyć także zestaw „czarnej biżuterii” o polskich motywach narodowych z lat 60 XIX w., grafiki o tematyce militarnej. I portrety, wśród których nie brak i Tadeusza Kościuszki.

Muzeum, wraz z biblioteką, jest częścią założonego w 1954 polskiego gimnazjum dla chłopców — Kolegium Bożego Miłosierdzia.

Instytut Józefa Pilsudskiego

238-240 King Street, London W6 0RF
tel. 01-748-61-97

Nawiązując do tradycji wydawniczych i badań historycznych Instytutu założonego w Warszawie w 1923, powstał w Londynie w r. 1948, a więc w pięć lat później niż w Nowym Jorku, również Instytut Józefa Pilsudskiego. Jego najważniejszym celem było gromadzenie źródeł naukowych i prowadzenie badań historycznych związanych z najnowszymi dziejami Polski, z uwzględnieniem czasów działalności Komendanta. Przechowując i badając dokumenty, relacje, zbiory ikonograficzne, muzealne i biblioteczne — przede wszystkim z lat 1861—1939 — Instytut publikuje źródłowe wydawnictwa oraz wspólnie z bratnim Instytutem Józefa Pilsudskiego w Nowym Jorku wydaje obszerny rocznik pt. „Niepodległość”.

Muzeum gen. Władysława Sikorskiego

20 Princes Gate London SW 7 1PT
tel. 01-589-92-49

Idea założenia tego muzeum zrodziła się w 1941. Wtedy przy Kwaterze Polowej Naczelnego Wodza w Gasku (Szkocja) utworzono polski punkt narodowy; rok 1965 był rokiem, w którym Instytut Polski i Muzeum gen. Sikorskiego powstały z połączenia Instytutu Historycznego im. Gen. W. Sikorskiego z Polskim Ośrodkiem Naukowym. Nowo powstała insty-

OD KRAJU

samości etnicznej — korzenie te mają wpływ na więzi Polaków. Bez względu na odległość od kraju.

Przeszłość, teraźniejszość — gdzie są miejsca, które znaczą? Spróbujmy zacząć wytyczać szlak, bo warto czasem wstąpić podczas zagranicznych wojaży i do muzeum, i do biblioteki, i do placówki z godłem Polski. Piszę spróbujmy, gdyż liczymy, że Czytelnicy do tej skromnej liczby adresów zaprezentowanych na poniższych szpaltach dorzucą inne. Równie godne zapamiętania.

tucja, obok muzeum, posiadała również wartościowe archiwum i bibliotekę. Umieszczono w niej także bogate zbiory sztandarów Polskich Sił Zbrojnych z okresu II wojny. Celem instytutu (w jego skład weszła m. in. Fundacja Sztandarów Polskich Sił Zbrojnych — 1970) jest gromadzenie i zabezpieczanie akt, dokumentów, filmów, fotografii dotyczących udziału Polski w II wojnie. Archiwum i biblioteka przekazane instytutowi przez Polski Ośrodek Naukowy stanowią główne źródło dla publikacji i badań historii politycznej i wojennej II Rzeczypospolitej. Muzeum udostępnia swoje zbiory (w 1981 było ok. 4500 eksponatów), a także wypożycza je w celach wystawienniczych.

Biblioteka Polska

236 - 248 King Street, London W6 ORF
tel. 01-741-0474

Powstała w 1942 r. Stanowi własność Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Specjalizuje się — jako biblioteka naukowa — w kompletowaniu wydawnictw emigracyjnych, zwłaszcza z okresu II wojny światowej i lat powojennych. Księgozbiór obejmuje nauki humanistyczne, dokumentuje też życie i twórczość Conrada. Zbiory, wśród których ogromna kolekcja czasopism, rękopisów, nut, map, szkiców — udostępnia się czytelnikom przez czytelnie naukową, wypożyczalnie oraz sieć wypożyczalni międzybibliotecznych. Biblioteka eksponuje zbiory, wydaje też opracowania bibliograficzne.

Instytut Kultury Polskiej

34 Portland Place, London WIN 3DG
tel. 636-6032-33

Założony w 1946 r.; w gestii MSZ. Największym uznaniem wśród jego gości cieszy się polska książka, polska muzyka. Stąd instytut proponuje wiele koncertów. Organizuje również działalność wystawienniczą.



BELGIA

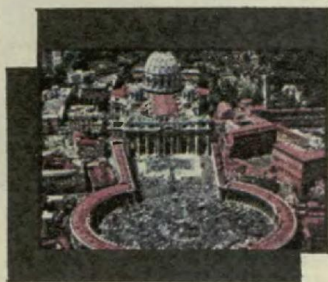
Dom Polski Mikołaja Kopernika

Zonnebloemstraat 53
B - 3600 Genk — Zwartbong

35 lat liczy Polski Związek Kulturalny — jedna z najmłodszych kart Polonii w Belgii. Przez długie lata jego prezesem był St. Stala, po jego śmierci (1983) funkcję tę przejęła żona Wanda, rodem awsym sięgająca rodziny Arciszewskich i Leszczyńskich.

Po pożarze, który w roku 1970 doszczętnie zniszczył siedzibę PZK, zbudowano nowy dom. W nim mieści się teraz biblioteka, kawiarnia, gdzie spotykają się także członkowie Związku Kombatanów. Drużyna piłki nożnej „Cracovia” cieszy się uznaniem kibiców, zaś zespół „Kraakus” za punkt honoru postawił sobie udział w festiwalach folklorystycznych. Sam zresztą co trzy lata jest ich organizatorem.

TERESA BĘTKOWSKA
EMIL BIELA



WŁOCHY

Dom Polski w Rzymie

Via Cassia 1200
00 189 Roma

Dokumentację związaną z osobą i działalnością Ojca Świętego gromadzi Ośrodek Dokumentacji Pontyfikatu Jana Pawła II. Książki, albumy, publikacje wydawane na całym świecie, fotografie, znaczki, monety, płyty, itd. Wszystko to mieści się w Domu Polskim otwartym przez Karola Wojtyłę 7 listopada 1981. Domu, w którym obok 200 miejsc noclegowych dla polskich i polonijnych pielgrzymek znajduje się również miejsce na dary i pamiątki przekazywane papieżowi podczas audiencji i jego rozlicznych podróży po świecie.

Dom Polski, o czym dobrze wiedzieć, prowadzi letnie kursy dla Polonii, organizuje wycieczki do Polski, realizuje filmy i wideokasety, prowadzi akcję wydawniczą (m. in. miesięcznik „Kronika Rzymska”), urządza interesujące wystawy. W r. 1982 została powołana fundacja na rzecz opieki nad Domem.

Muzeum Mikołaja Kopernika

Obserwatorium Astronomiczne
na Monte Mario

To muzeum zostało założone dzięki zabiegom Artura Wołyńskiego w r. 1979. Pamiątki po Koperniku, jego dzieła, a także instrumenty astronomiczne pochodzące z XVI i XVII w., zbiory monet, medali, obrazów pochodzą z darów Polaków.



ZWIĄZEK RADZIECKI

Ośrodek Informacji i Kultury Polskiej

123 557 Moskwa, Srednij Tiszinskiy pier. d. 5/7
tel. 254-73-51

To najmłodszy polski ośrodek (informacji i kultury) w krajach socjalistycznych — został założony na początku tego roku. Na razie korzysta z gościnny Związków Zawodowych Pracowników Radia i TV ZSRR. Budynek, w którym OIKP będzie miał stałą siedzibę (przy Arbacie), jest w adaptacji.

Muzeum Adama Mickiewicza

Wilno, Pilies 11

Muzeum znajduje się w mieszkaniu, w którym poeta przebywał po powrocie z Kowna w 1822 r. Tu właśnie napisał „Grażynę”. W latach międzywojennych pomieszczenie nadano charakter muzealny, a w 1956 odrestaurowano je przy pomocy Uniwersytetów: Wileńskiego i Warszawskiego. Obecnie znajduje się pod pieczęcią Uniwersytetu Wileńskiego.

MUZEUM ELIZY ORZESZKOWEJ w Grodnie; MUZEUM FELIKSA DZIERŻYŃSKIEGO w Kownie i Wilnie; MUZEUM JULIUSZA SŁOWACKIEGO w Krzemieńcu; MUZEUM ADAMA MICKIEWICZA w Nowogrodku; MUZEUM STANISŁAWA MONIUSZKI w Ubiełi.



STANY ZJEDNOCZONE

Muzeum Polskie

984 N Milwaukee Avenue, Chicago Ill 60622
tel. 312 384-3352

Założone w 1935 r. początkiem sięga r. 1912, a więc czasów powstania archiwum i biblioteki Zjednoczenia Polskiego Rzymskokatolickiego w Ameryce, których inicjatorem był M. Hajman, historyk. Muzeum otwarte oficjalnie w 1937 r. prezentuje kulturę polską i proces jej przenikania na teren amerykański. Jako jedno z najstarszych muzeów etnicznych w Chicago od lat służy swoimi zbiorami badaczom dziejów Polonii. Oblicza się, że muzeum gromadzi 12 tys. eksponatów, 6 tys. manuskryptów i dokumentów, 2 tys. fotografii, 500 map, 20 tys. tytułów książek i ponad 2 tys. tytułów periodyków zbieranych od 1915 r. przez bibliotekę działającą przy muzeum. Wśród eksponatów muzealnych — pamiątki po T. Kościuszcze, I. Paderewskim, (m. in. złote pióro, którym podpisywał traktat wersalski), kolekcja Heleny Modrzejewskiej — jej kostiumy teatralne, programy, fotografie. Galeria liczy ok. 300 oryginalnych obrazów. Wśród nich: A. Grottgera, St. Wyspiańskiego, J. Maltzewskiego. W muzeum znajdują się też materiały dotyczące Polaków uczestniczących w wojnie domowej w Stanach Zjednoczonych.

W trosce o zabezpieczenie zbiorów od 1972 r. muzeum włączone jest w program pod nazwą „Ethnic Records Microfilm Project”, który ma na celu zmikrofilmowanie tych dokumentów, które stanowią historię grupy etnicznej, a zarazem i historię Stanów Zjednoczonych.

Instytut Józefa Piłsudskiego

381 Park Avenue South New York 100 16
tel. (212) 683-4342

Powołany w 1943 r. Jego celem są badania naukowe nad najnowszą historią Polski. Biblioteka instytutu posiada 12 tys. książek, 2 tys. periodyków, materiały audiowizualne, fotografie, zbiory filatelistyczne. Archiwum obejmuje zbiory dokumentów uratowanych z Polski podczas działań wojennych lub przekazanych instytutowi przez przedstawicieli zagraniczne, organizacje i osoby prywatne. Zbiory udostępniane są w sposób nieograniczony naukowcom i studentom.

Polonijne Zakłady Naukowe

Saint Mary's College Orchard Lake,
Michigan 48034
tel. (313) 682-1885

Założone — choć korzeniami sięgają końca XIX w. — w 1966 r. Chlubią się biblioteką i galerią sztuki, Archiwum przejęło zadanie centralnej instytucji, która — obok Muzeum Polskiego w Chicago — gromadzi materiały historyczne związane z polską obecnością w USA; do wzbogacenia archiwum przyczynił się ks. prof. Józef Swastek (1913-1977) — dzięki niemu zbiory powiększono dodatkowo o 10 tys. rękopisów, 5 tys. poloników, 500 starych druków, 500 tytułów prasy polonijnej i 250 prasy polskiej. Archiwum dysponuje źródłami historycznymi na temat polskich parafii w USA i działalności organizacyjnej.

Kolejne kartki — w przygotowaniu

Redakcyjna rozmowa przy prostokątnym stole



Fot. Tomasz Zegadziński

Wyprzedaż socjalizmu czy powrót do normalności? Zanim jeszcze posłowie na Sejm, pod presją tak skrajnych opinii, uchwalą będą nowe prawo dla obcego kapitału w Polsce, o projekcie tego prawa, tzn. „Ustawy o działalności gospodarczej z udziałem podmiotów zagranicznych”, rozmawialiśmy w gronie ludzi kompetentnych i bezpośrednio zainteresowanych.

Do prostokątnego stołu w gabinecie sekretarza generalnego Towarzystwa „Polonia”, przy którym ten sam temat walczo-

ny jest od lat, zasiadli 29 listopada na zaproszenie „P.” (na zdjęciu od lewej): Jerzy J. Teichmann — prezes zarządu spółki „Bau-Pol”, amb. Józef Klasa — gospodarz spotkania, red. Wacław Kaczmarczyk — „Przekrój”, dr hab. Czesław Bywalec — docent w krakowskiej AE, ekspert „P.”, Jan Bandurski — prezes zarządu i dyrektor spółki „Furnel International Ltd.” oraz prezes klubu spółek z udziałem kapitału zagranicznego.

— Proszę panów. Wasze argumenty podczas wieloletniej walki o sensowne, konkurencyjne i korzystne prawa, regulujące udział obcego kapitału w polskiej gospodarce, nadal nie są dla wszystkich oczywiste. Kiedy rządowy projekt dyskutowanej tu ustawy wracał, po wielu znaczących poprawkach, do łaski marszałkowskiej, znów odczyły się głosy, że tak jak wpadliśmy w ogromne długi dzięki polityce kredytowej ekipy Gierka, tak teraz wpadniemy w pułapkę zagranicznego kapitału dzięki ekipie Rakowskiego. Słyszysz się o wyprzedaży socjalizmu. (Kaczmarczyk)

— Dodam tylko, że protesty i ostrzeżenia pojawiają się także w gremiach partyjnych, w powojennych tytułach prasowych, zabrzmiały również na Młodszym Zgromadzeniu OPZZ. Teoretycznie możliwość takiej pułapki istnieje, bo wszędzie na świecie kapitał rządzi się nacelną zasadą — maksymalizacją zysku. A kapitał inwestowany za granicą — zasadą następną: wyzaki zysk i jego maksymalny wywóz. (Bywalec)

— Panowie wybaczą, ale kto nas chce kupić? Jak dotąd, to my się ciągle bronimy przed tą wyprzedażą, ale naporu chętnych po drugiej stronie jakoś nie widać! (Bandurski)

— Widać, stawiamy skuteczne zapory, a jeśli już ustanawiamy zachęcające prawa, to przedkłada się zmiennym, że trzeba dać odpór. Ja przepraszam, to zabrzmiałoby jak

kierunki żart, gdyby nie było przez całe lata odbiciem niekonsekwencji, braku jasnej polityki i strachu nie tyle przed obcym kapitałem, ile przed możliwością obrzydliwego dogmatu. (Kaczmarczyk)

— Raczej fałszywie nadużywanych sloganów. Wyprzedaż tego szarego socjalizmu, tej szarzyzny, uciążliwej codzienności, tych kolejek, tej nonszalancji i braku szacunku dla postępu, dla tempa rozwoju współczesnego świata — taka wyprzedaż jest konieczna! Jeżeli rząd, jeśli my chcemy stworzyć korzystne warunki dla zagranicznego kapitału w Polsce, to my to robimy przede wszystkim dla siebie, dla naszej zadłużonej i schorowanej gospodarki. Najnowocześniejszych technologii, produkcji atrakcyjnych i konkurencyjnych towarów — tego bez współpracy zagranicznej i kapitałowej w dzisiejszym świecie osiągnąć się już nie da. Dlatego tworzymy warunki korzystne, bo nikt na świecie nie inwestuje tam, gdzie nie spodziewa się korzyści dla siebie, to jest normalne. Tak jak i to, że państwo zachowuje dla siebie suwerenne prawo i instrumenty do ochrony swoich nadrzędnych interesów. (Klasa)

— Rozumiem, że mówimy teraz ogólnie o zasadach, które podzielam, ale dotychczas pod hasłem tych „nadrzędnych interesów” wprowadzano często zmiany niezgodne ani z duchem, ani z literą ustanowionych praw. Po poprawkach w 83 i 85 roku do ustawy z 1982, zwanej w skrócie ustawą o firmach polonijnych, ustawa ta nie była już dobra dla nikogo, także dla ustawodawcy. (Teichmann)

— Tu należy jeszcze dodać obawę, opartą o „solidne” doświadcze-

wszystkiego i jednoznacznie, aby wykluczyć możliwość manipulacji.

Chcieliśmy więc, by wszystkie najistotniejsze regulacje zostały zawarte w tym jednym dokumencie. (Klasa)

— Zapewne dlatego jest to dokument tak długi i mało czytelny. Szczególnie dla kogoś spóźnionego „kłam”, kto nie czuje sytuacji, nie zna praktyki, a zwłaszcza ustaw wewnętrznych i przepisów, które nowa ustawa albo znosi, to znów uzupełnia, inne zmienia. Ciekaw jestem, co z takiej listy 53 paragrafów zrozumie zagraniczny kapitalista, którego zachęcamy w ten sposób do inwestowania w Polsce? (Kaczmarczyk)

— Zgadram się. I z panem, i z prof. Józefem Kaletą, który mówił niedawno w telewizji, że takie ustawy powinny być krótkie i zawierać trzy tylko, zrozumiałe dla wszystkich, paragrafy. Jednak tym razem wydawało się ważniejsze, w obronie podmiotów tej ustawy, aby nie dawać szansy manewru biurokratom. Niezwykle ważne jest także zalecenie Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów zobowiązujące do dostarczenia posłom, jednocześnie z projektem ustawy, propozycji aktów wykonawczych, aby Sejm mógł rozpatrywać te dokumenty w całości. (Klasa)

— Ta nowość jest rzeczywiście bardzo cenna... (Bandurski)

— „Jeśli pamiętać, kiedy i jakie akty wykonawcze pojawiły się do ustawy z 1982 r., pod której rządami pracują dotąd przedsiębiorstwa zagraniczne w Polsce. (Teichmann)

— Oprócz spółek z udziałem zagranicznego kapitału, które działa-

WYPRZEDAŻ SZAREGO SOCJALIZMU

nia, przed nieograniczoną swobodą interpretowania przepisów w urzędach. Wiemy też doskonale, jak biurokratyczne sposoby „wdrażania” przepisów potrafią niweczyć nawet najlepsze intencje ustawodawcy. (Bandurski)

Trzeba przyznać, że znakomite możliwości stwarzają ku temu większość uchwalanych w ostatnich latach ustaw. Niektóre wręcz nie same nie regulowały, gdyż odzywały, tm. dawały delegację realnym organom niższym szczebli, a te robiły, co chciały i jak chciały. (Bywalec)

Tak było. Mocno krytykowana i znoszona teraz ustawa o joint ventures z 1986 r. miała kilkanaście różnych delegacji. Ta nowa ma ich 3, a dlatego tylko tyle, że chcemy jej bronić przed dowolnością interpretacji i sobiepajaniem urzędników. W gronie współautorów ustawy ta obawa powodowała chęć zapisania w niej

ją wedle ustawy o joint ventures z 1986 r., ale zostawmy tę dogorywającą już ustawę i jej akty wykonawcze. (Bandurski)

— Proszę panów, w owym 1982 r., na Polonijnym Forum Gospodarczym znany przemysłowiec i działacz polonijny, Jean Zarzecki, wyrażając uznanie dla projektu tamtej ustawy jednocześnie oświadczył, że dopóki Polak mieszkający nad Wisłą nie uzyska prawa do założenia takiej samej firmy, jak Polonus znad Sekwany czy Połomacu, dopóty działalność firm zagranicznych w Polsce będzie ulomna i — w sumie — marginalna, bo nie pasująca do całości naszej gospodarki. Teraz w Sejmie, oprócz projektu, o którym rozmawiamy, mamy równocześnie projekt jeszcze ważniejszy, nazywany „ustawą-matką” ten „o podejmowaniu działalności gospodarczej”. Czy

więc teraz pan Zarnecki będzie zadowolony, czy on i ja mamy już równe prawa? (Kaczmarek)

— Tworzenie sztucznych oaz i zakazanych rewirów jest, oczywiście, możliwe, czasami może dać pewne rezultaty. Jeżeli jednak kapitał zagraniczny nie zostanie wmontowany w zdrowy system gospodarki, to nie należy liczyć na oczekiwane rezultaty. (Klasa)

— Jak nie będzie tych równych warunków, czyli możliwości znajdowania sobie równoprawnych partnerów, to wprowadzenie do naszego organizmu przeszczepów skończy się podobnym ich odrzuceniem, jak to miało miejsce w rezultacie ustawy z 82 r. (Teichmann)

— Przedsiębiorcy zagraniczni działający w Polsce od lat wcale nie zabiegali, aby traktować ich na równi z przedsiębiorstwami uspołecznionymi. Woleli dla siebie własne, odrębne prawa, jak postulował m. in. pan Stanisław Szewczyk z Kanady na ostatnim Forum w Poznaniu. (Bywałec)

— Pan Szewczyk wtedy jeszcze nie wiedział, że przedsiębiorstwa uspołecznione uzyskują takie same warunki jak firmy zagraniczne, i to w tak krótkim czasie. Apelowal więc o te prawa od zaraz, przynajmniej dla przedsiębiorców zagranicznych. (Teichmann)

— Nie wiedział i nie wierzył! Bo nikt wówczas jeszcze nie wiedział i nie wierzył, że nastąpi w Polsce tak szybkie zrównanie praw 3 sektorów — państwowego, prywatnego i spółdzielczego. (Klasa)

— Mamy więc narazie, przynajmniej wobec stanu poprzedniego (choć jeszcze obowiązującego do końca roku), sytuację zgodną z większością postulatów i wymagań normalności w gospodarce. Ponieważ jednak każda teoretycznie idealna sytuacja wzbudza automatyczne podejrzenia, więc zapytam panów, czy z projektu ustawy, który poszedł do Sejmu, jesteście autentycznie zadowoleni? (Kaczmarek)

— W stosunku do poprzednich projektów, wobec tego wszystkiego co obowiązywało dotychczas, obecny projekt stanowi rzeczywiście ogromny postęp. Ale ponieważ brałem udział w tworzeniu tego projektu jako przedstawiciel zainteresowanego środowiska, znam wszystkie postulaty, więc w pełni usatysfakcjonowany czuć się nie mogę. Zwiększa z powodu nieuwzględnienia 2 ważnych postulatów. Pierwszy — to gwarancje stabilności warunków. (Teichmann)

— Rozumiem, że chodzi o zapis podobny jak w Chinach: 50 lat gwarantowanej stabilności warunków prawnych gospodarowania? (Bywałec)

— Nie musi być 50, może być tylko 10 — na okres amortyzacji maszyn przynajmniej — byle było wyraźnie określone, że w tym okresie nie nastąpi pogorszenie reguł gry. (Teichmann)

— Gdyby pojawiły się w przyszłości inne, niekoniecznie gorze warunki dla przedsiębiorcy zagranicznego, to my proponowaliśmy bardzo prostą formułę — opcję, czyli prawo wyboru warunków nowych lub pozostania przy starych, aż do wygaśnięcia zgody na prowadzenie firmy. Jednak w tej lub innej formie gwarancje są niezbędne, bo nie ma nic gorszego od niestabilnych, zmieniających się przepisów i reguł gry. (Bandurski)

— Rzeczywiście, brak tych gwarancji w 1 punkcie ustawy, tak jak to proponowaliśmy, to jedno z dwu ustępstw, jakie nasza społeczna strona poczyniła w ostatecznych uzgodnieniach z rządem. Uzyskaliśmy jednak w tej sprawie deklarację zamieszczoną w preambule ustawy, w której państwo polskie gwarantuje stabilność, nie pogarszanie warunków działalności. Nie satysfakcjonuje nas to w pełni, ale i my ze swej strony musieliśmy pójść na jakiś kompromis. (Klasa)

— Czy drogę ustępstwa, to kompromis w kwestii obowiązkowej odprzedaży państwu dewiz z tytułu działalności eksportowej? (Kaczmarek)

— Właśnie to. W naszym projekcie nie przewidywaliśmy takiego obowiązku, ponieważ nie stosuje się tego w żadnym państwie, więc nasz potencjalny partner zagraniczny w ogóle nie będzie rozumiał, o co chodzi. (Klasa)

— Dla promocji ustawy nie jest to rzecz bagatelna... (Bandurski)

— Dlatego nie umieszczaliśmy tego punktu. Natomiast trzeba podkreślić, że zagraniczni przedsiębiorcy, którzy prowadzą już w Polsce swoje interesy, nie robili z tej sprawy większego problemu, wykazując zrozumienie dla naszej sytuacji, wynikającej z ogromnego zadłużenia. Tym bardziej że teraz obowiązkowa odprzedaż dewiz wyniesie maximum 15%, a dotąd było 50%! (Klasa)

— No cóż, nawet najlepszy kompromis nie zadowala żadnej strony. Zwłaszcza wtedy, kiedy dotyczy spraw pierwszorzędnych. (Kaczmarek)

— Więc powiedzmy sobie, co się zmieniło w sprawach pierwszoplanowych, po co jedliśmy tę żabę? Zostawmy te dwa rozwiązania kompromisowe, choć tu także doskonały jest wielki postęp w stosunku do tego, co było. A więc: w miejsce obowiązkowego zrzeszania się przedsiębiorców zagranicznych wprowadzono dowolność. Zatrudnienie w spółkach jest nielimitowane. Zlikwidowano obowiązek korzystania z pośrednictwa urzędów zatrudnienia, a jest to przecież zdjęcie strasznego garbu z tych firm. Tworzy się agencję jako centralny organ państwowy, a prezes agencji, podlegający bezpośrednio premierowi, będzie koordynował i pilnował realizacji postanowień ustawy nie tylko wobec resortów, ale i władz terenowych. Dotychczas resortowy pełnomocnik miał tylko atrybuty władzy jednego resortu, w terenie było 49 polityk i jak w Konińskim np. powiedziano, niezależnie jaka by była polityka rządu, że firm zagranicznych nie wpuszczają, to nie wpuszczali. Następna sprawa — kredyty. W tamtej ustawie nawet na kredyt kupiecki potrzebna była zgoda banku, teraz nie potrzeba żadnej zgody na żaden kredyt. I rzecz niezmiernie ważna — powstaje załatek rynku kapitałowego, możliwość wypuszczania przez spółkę akcji i obligacji. Dalej — nie trzeba specjalnej zgody na uruchamianie zakładów filialnych spółki, wystarczy notyfikacja. Zezwolenia na prowadzenie działalności traktowane są bardzo szeroko, określając ogólnie np.: branża metalowa, elektroniczna, chemiczna, drzewna... (Klasa)

— Zniknie więc problem występowania o zezwolenie na produkcję krzesel przez producenta stolów? (Bywałec)

— Chcę wierzyć, że zniknie, ale powiem panom, że moja firma postanowiła produkować na eksport olejki eteryczne z igliwia sosnowego, którego w naszych lasach

mamy pod dostatkiem. Kompetentny urzędnik odpowiedział nam, że — mając zezwolenie na brzoza igliwie, ale produkcja olejków to już chemia, więc całą procedurę w sprawie zezwolenia musimy zacząć od początku. Tak więc nowa ustawa, choć zmienia tak wiele w stosunku do poprzednich, niczego sama nie zabawi. Po pierwsze — towarzyszyć jej muszą kolejne akty prawne i ustawy, jak zmiany w prawie dewizowym, regulacje podatkowe i wiele innych, które mogą znakomicie ułatwić lub utrudnić funkcjonowanie naszej ustawy. Ale to nie wystarczy. Jako pragmatyk przywiązuję ogromne, wręcz decydujące znaczenie do sposobu wdrażania nowych praw i przepisów, bo chociaż nowa ustawa bardzo ogranicza dowolność interpretacji, to ona zawsze gdzieś istnieje. Zwłaszcza wobec pozorów drobnych spraw szczegółowych, jak te olejki z igliwia, ale owe szczegóły czasami decydująco wpływają na nasze interesy, możliwości ich dynamicznego rozwoju. (Bandurski)

— To oczywiście. Nowe prawa, nowa polityka rządu — to jedno, a cała biurokracja państwa, która nie jest nowa, pozostała ze swoimi nawykami, metodami, ograniczeniami... Ale bez tego typu ustaw nie będzie powrotu do normalności w gospodarce. (Klasa)

— Obie dyktowane dziś ustawy o działalności gospodarczej są pierwszymi aktami prawnymi nowego rządu. Należy więc sądzić, że oczekiwane, kolejne projekty ustaw tego rządu będą zgodne z duchem tych pierwszych. (Teichmann)

— Na koniec chciałbym panów zapytać na ile już obecnie, jeśli Sejm uchwali te ustawy bez poprawek, wzrośnie zainteresowanie w kraju i za granicą zakładaniem spółek mieszanych w Polsce, czy nasza nowa ustawa będzie dla za-

granicznego kapitału atrakcyjna i czy jest konkurencyjna, przynajmniej wobec warunków w innych krajach socjalistycznych? (Kaczmarek)

— Większe zainteresowanie i odblokowanie zamrożonego w przysłowiowych półczochach lub w bankach (bo to się teraz lepiej opłaca) kapitału krajowego nastąpi dopiero po ew. korzystnych regulacjach podatkowych, o czym już mówiliśmy. (Teichmann)

— Można powiedzieć, że nasza ustawa jest konkurencyjna, nie jesteśmy teraz gorsi, w niektórych rozwiązaniach, np. obniżek podatkowych z tytułu eksportu może najlepszy, ale uporczywie powtarzę, że o znaczącym wzroście przyprawy kapitału zagranicznego decydować będzie praktyka wdrażania nowej ustawy. (Bandurski)

— Kilka zasadniczych uwarunkowań zadecyduje o rezultatach tej ustawy. Pierwsze — to ogólny klimat w Polsce, stosunek do indywidualnej przedsiębiorczości, do kapitału zagranicznego — czy znów nie podniesie się krzyk, że jednym żyje się lepiej, a innym gorzej, i czy wnioski nie będą takie, że wszystkim będzie się żyło gorzej, ale równo. Następne — to reakcje działających już w Polsce zagranicznych biznesmenów, bowiem zagraniczny inwestor, niezależnie od atrakcyjności naszej oferty, pytanie o stopień opłacalności interesów w Polsce kierował będzie do swoich pracujących u nas kolegów. Ich rekomendacja będzie najważniejsza. Są kraje, o których się mówi, że potrafią robić biznes, mają tradycję. Musimy się tego nauczyć we własnym interesie, bo żaden kapitał z nieba nam nie spadnie. Ale mamy też nowe bodźce — inaczej jest na Węgrzech, inaczej w Chinach, inaczej w Związku Radzieckim, powtórzę: inaczej w Związku Radzieckim, inaczej... Kiedyś zwalnialiśmy, aby zbytnio ich nie wyprzedzać, teraz musimy przyspieszyć, aby ich gonić. (Klasa)

CO MÓWI USTAWA?

● Działalność gospodarczą z udziałem przedsiębiorców zagranicznych może być prowadzona w formie spółek akcyjnych oraz spółek z ograniczoną odpowiedzialnością. Ze strony polskiej uczestniczyć w spółkach mogą przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze oraz osoby prywatne. To samo dotyczy udziałowców zagranicznych.

● Tworzy się Agencję do Spraw Inwestycji Zagranicznych. Działająca jako aparat wykonawczy prezesa agencji jest centralnym organem administracji państwowej i podlega bezpośrednio Prezesowi Rady Ministrów. Prezes agencji wydaje zezwolenie na działalność spółki.

● Udział podmiotów zagranicznych w spółkach nie może być niższy niż 20 proc. kapitału zakładowego spółki. Nie ma natomiast górnej granicy udziału kapitału zagranicznego i może on wynieść 100 proc. Minimum zagranicznego wkładu kapitałowego określa się na poziomie 50 tys. dolarów (obecnie ok. 25 milionów złotych — po kursie oficjalnym).

● Wprowadza się swobodę transferu (wywozu) zysku dewizowego przez zagranicznego udziałowca.

● Cudzoziemiec może zarządzać spółką.

● Stawka podatku dochodowego wynosi 40 proc. i może ulec obniżeniu z tytułu eksportu do 10 proc. zysku (po 0,4 punktu za każdy 1 proc. wartości eksportu w stosunku do wartości globalnej produkcji lub usług).

● Spółki zwolnione są od podatku dochodowego przez pierwsze trzy lata i zwolnienie to może być przedłużone na następne trzy lata.

● Górna granica obowiązkowej odprzedaży państwu dewiz z tytułu eksportu wynosi 15 proc. wartości eksportu brutto.

● Spółki mają pełną swobodę w zatrudnianiu i wynagradzaniu pracowników. W zakresie zatrudnienia, stosunków i warunków pracy w spółce, spraw socjalnych i ubezpieczeń społecznych pracowników oraz działalności związków zawodowych stosuje się prawo polskie.

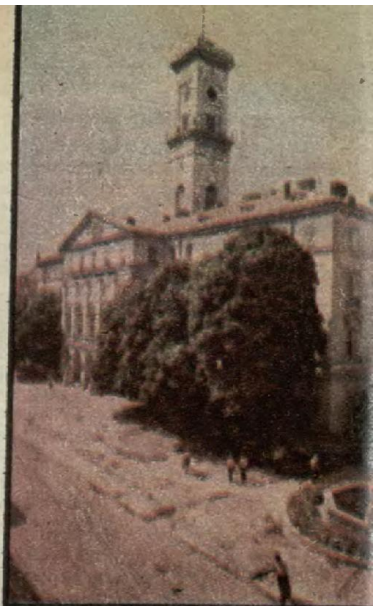
● Istniejące do tej pory zagraniczne przedsiębiorstwa mogą przekształcić się w spółki podlegające ustawie.

CZY POD RATUSZEM stoją lwy? Stoją. Warują po obu stronach głównego wejścia do budynku. Przysiadły na zadnich łapach, przednimi podtrzymują tarcze z herbami miasta. Na karkach zwierząt kłębią się kamienne łoki, z paszcz drapieżników wyzierają kły. Deszcze i śniegi nie zdążyły jeszcze skruszyć wrytych w szarym piaskowcu detali. Widać, że te dwie figury postawiono tu niedawno. Rzeźby są nowe, tradycja stara.

Naprzeciw wejścia do siedziby władz miejskich piętrzy się ściana zrosniętych ze sobą rynkowych kamienic. Jedna z nich zbudowana jest w stylu włoskiego renesansu. Ma numer 14. Zwano ją kiedyś „Massarowską” albo „Wenecką”. Mieszkał w niej bowiem Dalmata de Massari, konsul Wenecji. Nad beczkowatym sklepieniem

bramy kroczy po tym budynku uskrzydłony lew. To symbol potężnej niegdyś kupieckiej republiki, panującej z adriatyckich lagun nad połową śródziemnomorskiego świata.

Ale to jeszcze nie wszystkie tutejsze drapieżniki. Kamienne stado tych zwierząt jest bowiem w tym mieście rzeczywiście liczne. Rynek otoczony jest murami czterdziestu pięciu kamienic. Królewskie czworonogi w różnych pozach układają się na tutejszych tynkach. Spoglądają z okiennych gzymsów, podpierają balkony, czatują u bram. Obecność aż tak licznej gromady przedstawicieli tego gatunku nie wynika jednak wcale z zażyłych przecież kiedyś związków tego miasta z położoną na dziesiątkach adriatyckich wysp Wenecją. Wszechobecne lwy symbolizują bowiem imię pierwszego dziedzica grodu.



N A R Y N K U W E



Powyżej: Detalejszy widok z ratusza na Rynek i kościół katedralny.
Obok: Panorama śródmieścia dzisiejsz.

siedzib. Wtedy to właśnie bitny Lubart spalił, a potem zrównał z ziemią drewnianą twierdzę.

Kiedy tron książęcy opróżnił się, nastąpiły czasy długotrwałych wojen. Obnażyli w nich miecze Polacy i Węgrzy, napięli łuki Tatarzy. Finał wieloletnich zmagani okazał się korzystny dla władcy z Wawelu. Ruś Czerwona dostała się na koniec pod berło Kazimierza Wielkiego. Stało się to około roku 1340.

Zapobiegliwy budowniczy i troskliwy gospodarz umiał docenić zalety cennej zdobyczy. Wiedział do czego nadaje się to miejsce. Tu należało stworzyć ruchliwy ośrodek handlu i strzegącą wschodnich rubieży państwa twierdzę. Aby urzeczywistnić ten zamiar, kazał założyć miasto w pobliżu popiołów niedawnej książęcej osady. Pierwsze ściany grodziska podniesiono w górę w roku 1356.

Nowy organizm oparty został na prawie magdeburskim. Z prostokątnego Rynku wyprowadzono osiem ulic. Te główne szlaki przecięte zostały przecznicami. Zaś cały układ obwiedziono wałami, przed którymi po zewnętrznej stronie wykopano głębokie fosy. Wzniesiono mury, postawiono bazy, wybudowano bramy.

TUTEJSZE ziemie nie raz jeden zmieniały gospodarzy. Polskiego księcia Mieszka I wyparły stąd w ostatnich latach dziesiątego stulecia drużyny władcy kijowskiego. Najstarszy z ruskich dziejopisów, Nestor, zapisze w swojej kronice: W roku 981 wyprawił się Włodzimierz na Lachów i zabrał grody ich: Przemyśl, Czerwień i inne grody. Powracali później w te strony ze swymi wojskami Bolesław Chrobry i Bolesław Śmiały. Ale w połowie wieku trzynastego panował nad tymi obszarami ruskim książę Daniel Halicki.

Europa leczyła właśnie rany zadane jej przez tatarsko-mongol-

ską nawałę. Odbudowywano spalone wsie, raz jeszcze stawiano ściany obróconych w popiół miast. W obawie przed kolejnym atakiem stepowych niszczycieli wznoszono też całkiem nowe warownie. Jedną z nich była właśnie ta obronna osada. Zbudowano ją pośród lesistych wznieścień, na przecięciu ważnych handlowych szlaków.

Gród rozkazał postawić Daniel Halicki około roku 1250. Nazwał go imieniem swojego syna Lwa. Żoną osadzonego na zamku młodego władcy była Konstancja, córka króla węgierskiego Beli IV. Jej siostra Kinga, oddana panującemu w dzielnicy krakowsko-san-

domierskiej Bolesławowi Wstydliwemu, ufundowała klasztor Klarisek w Starym Sączu. Po tym zbożnym czynie i po całym swym światobliwym życiu wyniesiona została później na ołtarze. Konstancja o wiele mniej czasu spędzała na modlitwach. Z zamiłowaniem za to krzątała się wokół swego nowego siedliska. Dzięki jej zabiegom w podgrodziu zaczęli wznosić swoje obojścia Niemcy, Żydzi i Ormianie.

Warownia księcia Lwa wkrótce jednak przestała istnieć. W połowie czternastego stulecia Litwini coraz to częściej wynurzali się ze swych nieprzebranych borów, coraz to dalej wypadali ze swoich

Do naszych czasów przetrwały już tylko resztki owych średnio-wiecznych fortyfikacji. Fragmenty ścian, arsenały miejskie. Ale wytyczony przed wiekami kształt placów i ulic nie zmienił się. Najstarsza część miasta do dziś oparta jest na Kazimierzowskich planach.

WĘDRUJĘ krętymi zaułkami, zapuszczam się w chłodne tunele sieni, przystaję na ciasnych podwórkach. Podziwiam wykintne attyki mieszczańskich kamienic, harmonijne fasady renesansowych kłóściół, ozdobne wieże barokowych cerkwi.

Wzdłuż południowej ściany Rynku rozlegają się dzwoniły przejeżdżających tędy tramwajów. Kremowo-czerwone wagony zatrzymują się pomiędzy wejściem do ratusza a kamienicą „Wenecką”. „Jedynką” można ze śródmieścia dojechać do dworca kolejowego.

darcze. Zwoływano kongres historyczny. Nie doczekano jednak tej rocznicy.

Pierwsze niemieckie bomby spadły na Lwów zaraz rano 1 września 1939 roku. Śmiercionośne ładunki rozrywały się przy Dworcu Głównym, spadały na bocznicę kolejową, celowały w pociągi. Historia, tak często pisana w tych stronach krwią, otwiera jeszcze jeden swój tragiczny rozdział.

W POLSKICH działaniach obronnych front południowy zajmował miejsce szczególne. Na nim bowiem oparty został ostateczny z planów ocalenia państwa. Rozmieszczone wzdłuż Karpat wojska miały — w wypadku najgorszego dla nas rozwoju sytuacji frontowej — powstrzymać napastnika na Sanie. Za tę rzekę zamierzano także wycofać wszystkie polskie związki, gdyby nie udało im się wcześniej wypel-

niać armii „Małopolska”, pragnął jak najspieszniej umocnić się na Sanie. W marszu na te pozycje nie podjął próby zorganizowania obrony na Dunajcu. Historycy zgodni są w opinii, że to zaniedbanie było niewybaczalnym i brzemienne w katastrofalne skutki błędem.

10 września rano Niemcy stanęli w Radymnie, tego samego dnia wieczorem zajęli Sanok. Obrońcom nie starczyło czasu, by solidnie okopać się na wschodnim brzegu rzeki. W pobliżu Trepczy i pod Ulicą jednostki nieprzyjaciela zdołały przeprowadzić się przez tę wodną przeszkodę. Uchwycone tam przyczółki nazwano „bramą na Lwów”.

W obliczu rysującej się klęski dowództwo całego frontu południowego przejął odkomenderowany tu generał Kazimierz Sosnkowski. Fabrycemu polecono organizowanie obrony w widłach Stryja i

stronę Sambora. Jego celem była likwidacja grupujących się tam wojsk przeznaczonych do obrony „rumuńskiego przedmościa”. Wołół Lwowa coraz szerszej zamykał się pancerny uścisk.

Generał Sosnkowski polecił wszystkim podległym sobie związkom natychmiast spieszyć na odsiecz miastu. Sam udał się do Przemyśla. Chciał rozerwać otaczający to miasto pierścień nieprzyjacielskich wojsk i wyprowadzić okrążone tam dywizje na wschód. Obronę Lwowa powierzył generałowi Władysławowi Langnerowi.

W dwunastym dniu wojny we wczesnych godzinach popołudniowych czołgi pułkownika Schörnera uderzają gasienicami o bruki ulicy Gródeckiej. Zatrzymują je pociągi dział i karabinów maszynowych. Napastnik cofa się. Ale zaraz potem ponawia atak ze zdwojoną siłą.

Szpile pancerne przełamują obronę w okolicy Dworca Głównego i wdzierają się daleko w głąb miasta. Docierają do kościoła św. Elżbiety. Tu działony armatni płują w stronę przeciwnika ogniem na wprost. Ten sposób walki jest niezwykle skuteczny, ale też i straty wśród obrońców są olbrzymie. Poległych i rannych wojskowych zastępują na stanowiskach cywile. Wieczorem czołgi z czarnymi krzyżami wycofują się. Najgorsze zostaje zażegnane.

Próba zdobycia miasta z marku nie powiodła się. Generał Kübler zrozumiał, że nie opanuje Lwowa bez pomocy dodatkowych sił. W oczekiwaniu na nowe oddziały nie zamierzał jednak marnować czasu. Rozkazał jak najspieszniej obsadzić Kortumową Górę, a także opanować wzgórze w rejonie Zboisk i Holoska. Te pociągnięcia miały pozabawić miasto dopływu polskich ugrupowań ściągających tu spieszenie od strony północnej.

Noc z 12 na 13 września obrońcy wykorzystali nalezycie. Sformowano nowe bataliony spośród ludności cywilnej, rozdano broń studentom. Na Podzamczu i na innych stacjach rozładowały się coraz to nowe pułki regularnych wojsk.

13 września najdłuższe niemieckie uderzenie następuje od południa. Napastnik naciera wzdłuż traktu 28 Listopada. Wełska się at po ulicę Symonowiczów. W szkole im. Henryka Sienkiewicza harcerze szykują się do odparcia czołgów. Przygotowują butelki z benzyną. Silne polskie uderzenie znów wymusza Niemców w stronę przedmieść.

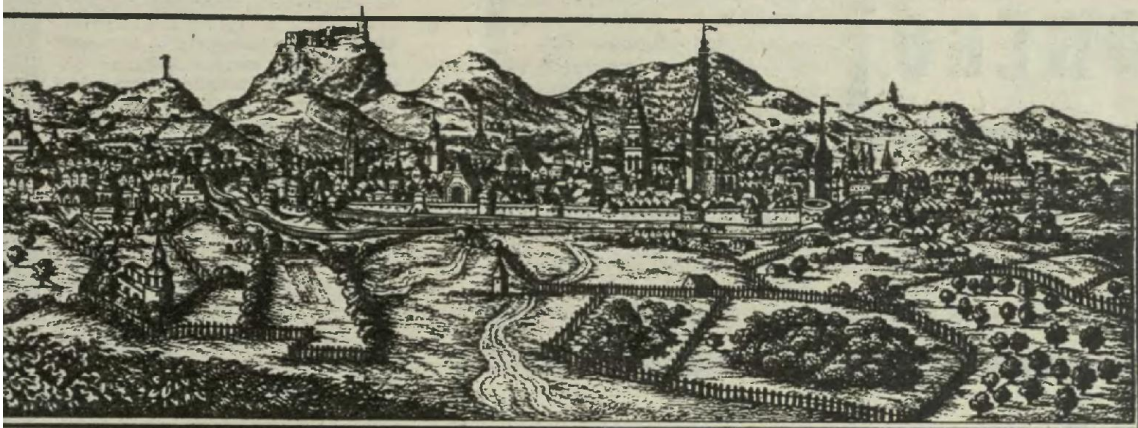
Gorzej układa się jednak sytuacja na innych odcinkach. Cmentarz Janowski zostaje odbity dopiero w walce na bagnety. Nie udaje się utrzymać Góry Kortumowej. Nieprzyjacieli przez kilka godzin zasypuje ją silnym ogniem. A potem spycha z jej zboczy polską obsadę. Po wzięciu tej przeszkody grupa pułkownika Schörnera opanowuje jeszcze i Zboiska.

Przeciwnik zdołał więc uchwycić wznieślenia położone na północnych obrzeżach miasta. Upojone tym postępem Oberkommando der Wehrmacht szybko nadało radiowy komunikat o zdobyciu Lwowa. Było to jednak kłamstwo, które nie miało się spełnić. Odznaczone orderem Virtuti Militari za listopadowe dni 1918 roku, bohaterskie miasto zdecydowane było bronić się do końca.

Pobliskie wzgórze i okoliczne wsie w czasie najbliższych nocy i dni nie raz jeden jeszcze przechodziły między rękami. Także przez Górę Kortumową i Zboiska z różnych stron przewały się to polskie, to niemieckie natarcia. Obrońcy byli nieprzejed-

(Dokończenie na str. 47)

L W O W I E



wego. „Dwójka” łączy Lyczaków z Kulparkowem. Obie dzielnice zachowały swoje dawne imiona.

Także połowa wychodzących z Rynku ulic nie zmieniła swoich nazw. Spaceruje więc Krakowską, Halicką, Ruską, Serbską. Poza obszarem staromiejskim również spotyka się znajome i bliskie określenia. Można więc wędrować ulicą Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Konopnickiej, Kopernika, Kilińskiego, Kościuszki. Wiele nazw wyraża dawną treść ale w brzmieniu ukraińskim. Dotyczy to Wysokiego Zamku, Podwala, Piekarskiej, Pohulanki. Wiele wcześniejszych określi zastąpiono jednakże nowymi. Jagiellońska to Gogola, Akademicka to Prospekt Szewczenki, Gródecka to 1 Maja. Ulica Leona Sapiehy nosiła do niedawna imię Stalina, teraz jest to Prospekt Mira.

W roku 1940 we Lwowie miały odbyć się podniosłe uroczystości. Wtedy bowiem upływało równo sześćset lat od chwili przyłączenia tych stron do państwa Kazimierza Wielkiego. Polskiemu królowi przekazał owe tratowane niestajacymi najazdami ziemie książę Bolesław. Ostatni z władców włodziemsko-halickich był dalekim krewniakiem pana z Wawelu. W jego żyłach płynęła krew Piastów mazowieckich.

Miasto troskliwie przygotowywało się do tego jubileuszu. Z niespotykanym dotąd rozmachem przystąpiono do organizowania kolejnych Targów Wschodnich. Miały one przesiąknąć wszystkim to, co do tej pory oglądano w handlowych pawilonach. Szykowano też sesje naukowe, zjazdy gospo-

nić swoich zadań na zachodzie i na północy.

W południowo-wschodnim zakątku kraju sadowiono więc ostatnią reduktę Rzeczypospolitej. Oddzielone od przeciwnika przeszkodą wodną skoncentrowane tu siły przedłużać miały swój opór. I oczekiwać na korzystny dla nas rozwój europejskich wydarzeń. Sercem tego walczącego bastionu miał być Lwów.

Ten plan przetrwania za cenę utraty przeważającej części kraju załamał się jednak zaraz na początku wojny. Południowa granica okazała się bowiem całkowicie nieszczelna. Usadowione w Słowacji potężne niemieckie zgrupowania w kilku miejscach wysypały się zza górskich przełęczy. Wyborowe jednostki strzelców alpejskich wyszły więc na Jablonkę, Chochółów, Biały Dunajec, Czorsztyn, Krościenko, Piwniczną, Krynicę, Żmigrod...

W nocy z 4 na 5 września doszło do ciężkich starć pod Myślenicami. Broniące frontu bezkiszkiego armie „Kraków” i „Karpaty” zostały rozdzielone. Korpus pancerny generała von Kleista po tym rozstrzygnięciu skierował się w stronę Dumajca i Sanu. Rozmieszczonym wzdłuż całego pogorza siłom polskim zagroziło oddziały od operujących po stronie północnej sąsiadów. Strategiczne zamierzenia obronne znalazły się w niebezpieczeństwie.

Kierujący na tym obszarze uderzeniami niemieckimi generał List parł siłami wszystkich swoich zmotoryzowanych dywizji na wschód. Generał Kazimierz Fabrycy, dowódca utworzonej w dniu 6 września z dotychczasowych

Dniestru. Utrzymanie tak zwane „przedmościa rumuńskiego” było jeszcze jedną próbą ocalenia najbardziej oddalonego od głównych frontów zakątka kraju.

NIEMICY chcieli zająć Lwów jak najspieszniej. Wiadomo bowiem było, że Warszawa długo jeszcze trwać będzie w zaciętym oporze. Dlatego właśnie zdobycie tego położonego na głębokich tyłach miasta miało w opinii najeźdźców obwieścić światu ostateczną klęskę Polski.

Aby przybliżyć ten dzień, agresorzy zdecydowali się wzmożnić siły uderzeniowe o dwie dalsze dywizje. Związki te zgrupowane zostały we wschodniej Słowacji. Droga na front prowadziła stąd przez Koszyce. To zaś miasto w wyniku dokonanych w 1938 roku zmian granicznych znajdowało się na terenie Węgier. Oberkommando der Wehrmacht skierowało więc 9 września do Budapesztu notę domagającą się przepuszczenia wypełnionych wojskiem pociągów przez wspomniany węzeł kolejowy. Odpowiedź, jaką wkrótce odczytano w Berlinie, zaskoczyła sztabowych generałów: Zgoda na to żądanie nie dałaby się pogodzić z honorem narodu węgierskiego.

Zagony napastników z każdą chwilą przybliżały się jednak do lwowskich placów i ulic. Grupa armii „Południe” główne uderzenie wymierzyła w kierunku północno-wschodnim. Podążano na Włodzimierz i Chełm. Miało to odciąć siły polskie przedzierające się z obszarów pomiędzy Wisłą a Bugiem na południe. Drugie natomiast natarcie rozwijało się w

„Wbrew niektórym pesymistom, którzy ratunek gospodarki widzą w wielkim zastrzyku dewiz, uważam, że najbardziej naszej gospodarce potrzebne jest logiczne myślenie i racjonalne działanie, bez którego każda pożyczka i tak zostanie zmarnowana”. Tak pisał prof. Jan Szczepański w 1971 r. pod koniec swych „Rozważań o Rzeczypospolitej”. Następne lata miały dowieść, że praktyka rozmięła się z jego myśleniem. Skutki znamy.

W siedemnaście lat później ten sam autor zakończył pisanie innego zbioru esejów — „Polska wobec wyzwania XXI wieku”. Fragmenty tej właśnie książki, przygo-



JAN SZCZEPAŃSKI
POLSKA
WOBEK
WYZWAŃ
XXI W. (I)

SPOŁECZEŃSTWO STANU PRZEJŚCIOWEGO

townej do druku w ramach Centralnego Programu Badań Podstawowych realizowanego przy współpracy Uniwersytetu Warszawskiego z PETEX-em, drukować będziemy w kilku kolejnych odcinkach. Całość ukaze się na początku 1989 roku. Jest to diagnoza, jaką socjolog stawia polskiemu społeczeństwu u schyłku stulecia. Z czym wejdziemy w następne? W tych tekstach każdy z nas odnajdzie część własnych prze-myśleń, nadziei i wątpliwości.

1.

W roku 1988 społeczeństwo polskie znajduje się w stanie przejściowym. Wielki konflikt z początku lat 80 przyspieszył proces przemian modelu zwanego stalinowskim, a kryzys gospodarczy z zaostrożoną inflacją po nieudanej operacji cenowo-dochodowej, przeprowadzonej w drugim etapie reformy gospodarczej, wywołał nową falę protestów robotniczych, strajków i wzmoczonej aktywności społeczeństwa, na którą partia i stronnictwa polityczne musiały odpowiedzieć także reakcjami rozładującymi napięcie. Dyskusje z lat 1987/88 urwydnęły wyrażnie poczucie zagrożenia gospodarczego i politycznego nie tylko dla ustroju socjalistycznego i władzy PZPR, ale także dla państwa i istotnych interesów narodowych. Przekonanie, że warunkiem powodzenia reformy gospodarczej jest reforma ustroju politycznego, jest prawie powszechnie przyjęte. Zmiany polityczne dotyczą: funkcjonowania partii i spełniania „kierowniczej roli”, kwestionowania działania „nomenklatury”, czyli kierowania przez komitety partyjne kandydatów na ważniejsze stanowiska w życiu publicznym, odpowiedzialności funkcjonariuszy partii za podejmowane decyzje realizowane przez organa administracji państwa, ustalenia zakresu samodzielności władz państwowych w stosunku do instancji partyjnych, zwiększenia zakresu swobód obywatelskich, ograniczenia cenzury, zwiększenia zakresu swobody tworzenia organi-

zacji i stowarzyszeń, klubów politycznych, tworzenia nowych czasopism politycznych, itp. Jest to ważny etap procesu przemian, a jego momentem istotnym była dymisja rządu złożona Sejmowi w dniu 19 września 1988 r.

Organizacje, instytucje, urzędnicy, podobnie jak technika i maszyny, działają wprawdzie zgodnie ze swoją „naturą”, ale są uruchamiane przez ludzi i czynią to, co czynią ludzie, którzy je wyprawiają w ruch. Wykorzystanie ich zależy od inteligencji i wyobraźni ludzi, nie tylko na jednej torce różni tokarze wykonują bardzo różne przedmioty, ale także tak samo urządzone i wyposażone instytucje osiągają bardzo różnicowane wyniki w zależności od jakości ludzi w nich pracujących. Sposób zorganizowania instytucji i struktur społecznych przesądza wiele, ale nie wszystko. I ta jakość ludzi, którzy wprawiają w działanie instytucje, urządzenia, prawo i środki materialne jest podstawą naszych rozważań i celem zainteresowania, gdyż w niej widzimy czynnik decydujący. Nie jest to pogląd powszechnie podzielany. Raczej częściej możemy spotkać pogląd, że trzeba tworzyć takie struktury, by wymuszały od każdego człowieka działania przewidziane i na wymagany poziom. Jest to jednak niemożliwe. Już w rodzinie rodzeństwo zachowuje się w sposób różnicowany i różne wykonuje swoje obowiązki domowe, w szkole różnicowanie zachowań jest jeszcze większe, a w zakładach pracy — daleko posunięte. Nawet najbardziej podzielo-

na i rozdrobniona praca przy taśmach wykonywana bywa w sposób zróżnicowany i zindywidualizowany. Struktura i organizacja mogą wymusić działania podobne, ale nie identyczne.

2.

Zatem analizę stanu społeczeństwa zaczynamy od jednostek na to społeczeństwo się składających. Powiedział kiedyś Herbert Spencer, że ze zbutwiałych cegieł nie można zbudować trwałego domu, i to stwierdzenie przyjął jako za-

● Jakimi „ceglami” są Polacy? ● Naród rozgoryczony nie udźwignie przyszłości ● Czy rodzina może być źródłem sił społecznych?

się identyfikujące, które z tym stanem związały swoje interesy i swoje cele życiowe, a zatem przeciwstawiające się zdecydowanie zmianom stanowiącym zagrożenie dla ich interesów. Wreszcie skuteczne metody zmian w społeczeństwie są warunkiem podstawowym. Znamy z historii przykłady reform wywołujących skutki odwrotne od zamierzonych.

łożenie swojej liberalnej teorii społeczeństwa. Zapytajmy zatem, jakimi cegłami są Polacy i jak trwały dom można z nich zbudować? Jest to pytanie, na które nie znajdziemy naukowej odpowiedzi, ale przecież traktujemy je tylko jako literacką metaforę, dobrze określającą intencje naszej analizy. Chodzi bowiem o stwierdzenie, czy w całej różnorodności przeszło 38 milionów Polaków można znaleźć taką liczbę osób wykazujących pożądane cechy dla sprostania wyzwaniom przeszłości. Te 38 milionów można klasyfikować na różne sposoby: najpierw, oczywiście, podział ze względu na wiek i tu możemy stwierdzić, że ludność polska jest ludnością młodą, że wprawdzie zaczyna występować proces starzenia się ludności, ale nie przyjmuje on takiego zakresu, jak w innych krajach europejskich...

Tak więc pod względem wieku ludność polska rozwija się demograficznie korzystnie, chociaż przyrost ludności stwarza wiele problemów gospodarczych i społecznych. Również skład pod względem płci jest demograficznie korzystny, roczniki w wieku zawierania małżeństw wykazują większą liczbę mężczyzn niż kobiet, których przewaga liczbowa zaczyna się w rocznikach starszych. Stan zdrowia ludności jest jednak bardziej niepokojący. Występuje zbyt duża śmiertelność niemowląt oraz niepokojące umieranie mężczyzn w wieku produkcyjnym. Pod względem wykształcenia ludność polska lokuje się mniej więcej w środku tabel światowych, spada w ostatnich latach odsetek kształconych na poziomie wyższym, niepokojący jest odsetek osób z nieukończonym wykształceniem podstawowym, rodują się wątpliwości co do jakości wykształcenia, podkreśla się nie-

wystarczające liczby zasadniczych szkół zawodowych rolniczych — niedługo raport Komitetu Ekspertów pracujący pod kierownictwem prof. Cz. Kupisiewicza przedstawi pełny rejestr braków tego szkolnictwa. Są to wyliczenia pokazujące cechy całego społeczeństwa i rozkład w całej zbiorowości. Stąd możemy wyciągać wnioski co do liczebności zbiorów jednostek wykazujących takie czy inne cechy pożądane. Lecz wiemy, że jednostki posiadające takie same dyplomy, tych samych uczelni i tych samych kierunków studiów wykonują prace zawodowe w bardzo różnicowany sposób i dla sprostania wyzwaniom mają różnicowaną wartość. Trzeba więc zaproponować inne klasyfikacje, np. jednostki, które dla rozwoju społeczeństwa przyczyniają się w wysokim stopniu, np. wynalazcy, uczeni tworzący nowe teorie i hipotezy, odkrywający nowe dziedziny badań, artyści tworzący wybitne wartości, organizatorzy osiągający znaczące wyniki, pracownicy wszystkich poziomów wykonujący doskonale swoje prace, słowem ci wszyscy, którzy w różnych dziedzinach życia posuwają sprawy naprzód i tworzą wartości ważne czy trwałe. Są oni zbiorem kategorii osób decydujących o sprostaniu wyzwaniom. Druga kategoria — to osoby wykonujące swoje zadania poprawnie, bez zarzutu, wprawdzie nie wnoszące innowacji, ale kontynuujące stan istniejący w sposób niedopuszczający regresji czy rozkładu, słowem rzetelni wykonawcy swoich zadań, wykonujący i realizujący twórcze pomysły pierwszej kategorii. Trzecia kategoria — to osoby wykonujące swoje zadania czasem dobrze, czasem źle, nie starające się o poprawność, pracujące byle jak i zachowujące się także byle jak, pracujące i działające bez ambicji i bez aspiracji do rzetelności. Zaczyna się od trójek w szkole, potem w życiu i w pracy też trójkowo, ale często z pretensjami i umiejętnością wykorzystywania hasła równości, hasła o posiadaniu jednakowych żołądków, itp. Ta kategoria obywateli nie przyczynia się do sprostania wyzwaniom, ale raczej jest przeszkodą. Wreszcie czwarta kategoria osób — to ci, którzy zdecydowanie spychają społeczeństwo w dół, którzy swoimi zachowaniami i działaniami przynoszą szkody oczywiste.

3.

Istnieją także kategorie osób niezdolnych do pracy, chorych, głęboko okaleczonych, po urazach, z wadami wrodzonymi, itp., które z konieczności społeczeństwo musi utrzymywać, a także osoby w wieku zaawansowanym niezdolne do pracy. Stosunki liczbowe między tymi pięcioma kategoriami są do niedługo dla stanu społeczeństwa i jego zdolności do sprostania wyzwaniom, co nie wymaga komentarza.

Nie dysponujemy statystykami liczebności poszczególnych kategorii w społeczeństwie polskim. Psychologowie nam mówią, że w każdym społeczeństwie jest ok. 2% wybitnie uzdolnionych i ok. 6% bardzo uzdolnionych, wiemy, że osoby o różnym stopniu niepełności sięgają ok. 15% w Polsce, możemy policzyć przestępstw odbywających kary, dysponujemy szacunkami liczb alkoholików i narkomanów, słowem dysponujemy pewnymi danymi pozwalającymi się zorientować, jaki jest zasób sił pchających Polskę naprzód i jaki sił hamujących. Na poziomie działań jednostek rozstrzygają się sprawy intensywności i wydajności pracy, osiągalne w istniejących warunkach. Na tym poziomie także rozstrzygają się sprawy indywi-

(dokończenie na str. 26)



iepisany kodeks wigilijny nie pozwala śpiewać tej koledy jako pierwszej, choć chyba nikt z nas nie zastanawiał się nigdy, dlaczego. Zaczynamy — zwróćcie, proszę, uwagę — zwyczaj od *Wśród nocnej ciszy* — może na skutek tradycji przeniesionej do wigilijnego stołu z „pasterek”. Potem przychodzi pora na inne, ale dopiero, gdy na dobre ulegniemy

nastrojowi tego jedyne, najpiękniejszego w roku wieczoru, gdy poddamy się już zupełnie urokliwemu migotaniu choinki, zapachowi makowca i ciepła wspólnoty zimowego, grudniowego wieczoru — wtedy, dopiero wtedy ktoś zaintonuje, a każdy, bez wyjątku, podchwyci: *Bóg się rodzi, moc truchleje...*

Pisał gdzieś, kiedyś Melchior Wańkowicz, że właśnie w ten jeden wieczór — żaden inny — każdy z nas, choć może nie przyzna się do tego nawet przed samym sobą, przecie wierzy w głębi serca, że to teraz los człowieka, nasz los, może zyskać swój jakby nowy wymiar, że „kędys na Mlecznej Drodze szafarz niebieski odwraca teraz klepsydry naszych żywotów”...

„Jest w tej koledzie oczyszczonej i uspokojonej z wszelkiej zbędnej barokowej ornamentyki jednocześnie liturgia i swojskość, podniosłość i prostota, dalekość i bliskość Boga... Początkowa groza ulega stopniowo wyciszeniu, strofy są coraz prostsze, abstrakcyjne Bóg przemienia się znowu w znajome Dzieciątko z jasełek. Bóg znalazł się między ludźmi...”

To już cytaty z uczonego profesora, Jana Kotta. Ja miałem to szczęście, że mogłem słuchać tej koledy w miejscu cudownym, niezwykłym, zaczerpniętym i tak polskim, jak właśnie jest ona sama. Działo się to pewnej grudniowej nocy w Dubiecku.

Czy wiecie, gdzie leży Dubiecko?

Dubiecko, nie bardzo podłe miasto, a prawdę mówiąc i za uszy ją ciągnąc — miasteczko, leży 20 km na zachód od Przemyśla, nad Sanem. Widać stąd doskonale panoramę Bieszczadów i rozległą równinę sporej kiedys rzeki. Minawszy „dwie karczmy, bram czterech utołoki”, skręca się między nagie o tej porze roku drzewa, by po przejechaniu kilkuset metrów znaleźć się na okolonej wyschniętym kanałem wyspie, kędy pobudowano przed wiekami pałacyk, należący ongi do rodziny Krasickich. Tu właśnie przyszedł, na świat wielki Ignacy i tu też spędzał wiele miesięcy poeta, pamiętnikarz, dramaturg i moralista oświeceniowy — Franciszek Karpiński. Właśnie w czasie jednego z takich pobytów, ślęcząc nocą nad ćwiartką papieru przy biurku w sypialni na pierwszym piętrze, napisał utwory, na których uczyły się piękna mowy polskiej całe pokolenia: *Pieśń poranna*, *Pieśń wieczorna* i *Pieśń o Narodzeniu Pańskim*. Te ostatnią śpiewa się od lat prawie dwustu (powstała w 1792 roku) w każdym polskim domu w dzień Wigilii. Ty le że — przyznajmy się po cichu — mało kto z nas, zafascynowany pięknem melodii i „oczekiwaniem” na refren i dalsze, chwytające za serce zwrotki, zastanawia się nad znaczeniem pierwszych wersów. Proszę, przypomnijmy je sobie wspólnie:

*Bóg się rodzi — moc truchleje
Pan niebiosów — obnażony
Ogień krzepnie — blask ciemnieje
Ma granice — nieskończony...
Wzgardzony — okryty chwałą,
Śmiertelny — król nad wiekami...
A słowo ciałem się stało
I mieszkało między nami.*

Jak widać, jedno stwierdzenie przeczą drugim. Czy rzeczywiście silniejszy ogień może dawać słabszy blask, a nieskończoność mieć swoje granice? Może. Może, bo tak chce istota śmiertelna, lecz królująca nad wiekami: Bóg. A właśnie taka istota, nie kto inny, właśnie się narodziła...

Taką konwencję, manierę poetycką, wybrał sobie „poeta serca”. Na nasze, przyszłych pokoleń, szczęście, *Pieśnią o Narodzeniu Pańskim* Karpiński zapewnił sobie nieśmiertelność, trwał zawsze obecność wśród nas. Słowo, które stało się ciałem, Bóg, który zamieszkał między ludźmi, traktowany jest w następnych zwrotkach w sposób już bardziej prosty, zrozumiały, wzruszający, bliski — przede wszystkim jako adresat naszych próśb, marzeń, nadziei. Myślę, że koleda — a właściwie pieśń patriotyczna — Karpińskiego zdobyła sobie tak olbrzymią popularność między innymi dlatego, że zaczęto ją śpiewać, gdy nad Rzeczypospolitą nadciągają z wszystkich stron świata ciemne chmury... Honorowe miej-



...w każdym polskim domu w dzień WIGILII

sce przy wigilijnym stole *Pieśń o Narodzeniu Pańskim* zajęła jednak wtedy, gdy kontury Rzeczypospolitej wyznaczały już nie słupy graniczne, czy linie na mapie, lecz łańcuch polskich serc. Nikt i nigdy nie był w stanie zabrać nam ojczyzny — wielu jednak potrafiło uczynić jej los okrutnym. Stąd też owa, tak szczególnie brzmiąca w wigilijny, polski, dzieńnastawiczny wieczór, apostoła:

*Podmeś rączkę, boże Dziecię,
Błogosław ojczyznę miłą!
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspieraj jej siłę swą siłą!
Dom nasz i majętność całą
I wszystkie wioski z miastami,
A słowo ciałem się stało
I mieszkało między nami...*

„Błogosław ojczyznę miłą...” Bywało, że zostawała nam tylko ta wiara i ta ufność; bywało, że one właśnie wspierały siłę kraju, jego codzienny trud, czasem, wydawałoby się, beznadziejny, niepotrzebny, z góry skazany na niepowodzenie...

Pieśń o Narodzeniu Pańskim — jak każda pieśń patriotyczno-religijna doczekała się setek przeróbek, wersji, uzupełnień. Większość z nich — a przynajmniej większość z tych, do których udało mi się dotrzeć — była zwyczajnie, po ludzku, smutna. Czasem tragicznie smutna. Nie trzeba zbyt wiele wyobrazić, by uświadomić sobie, jak brzmiała owa melodia, jaki sens nadawano starym i nowym jej słowom śpiewanym w ojczyźnie, ale za drutami...? Albo o tysiąc kilometrów od ojczyzny — nawet nie za drutami, bo mroź i odległość były strażnikami lepszymi? Albo przy stole wigilijnym, na którym tylko puste miejsca mówiły o liczbie nieobecnych, stając się równocześnie prostym symbolem nadziei, że ten, na którego czeka nakrycie, jeszcze żyje...?

Ileż to było takich polskich Wigilii? Z iluż miejsc na świecie płynęła wtedy do „szafarza na Mlecznej Drodze” modlitwa o dobro ojczyzny? Ileż w tej modlitwie było rozpacz, skargi, ale — zawsze! — i choć tej odrobiny nadziei?

Pod Tobrukiem, na przykład, śpiewano tak:

*Bóg się rodzi, a my przecie
Po okopach rozrzućmy
Sławę Polski na bagnecie
Podnosimy na tej ziemi.
By się urogo nie dawało,
Ze zdobyli Polskę całą...*

Nasi lotnicy w Anglii i Szkocji dopisali zwrotki z prośbą sprowadzającą się do słów: „Przywróć nam ojczyznę, Boże — daj powró-

cić nam przez morze...”. Były — kto wie, może ktoś je kiedyś wszystkie pozbiera, opisze, opracuje — wersje sięgające lat po powstaniu listopadowym, Wielkiej Emigracji... Były i zupełnie współczesne, powstałe w czasie spuchniętej od polskiego smutku, przynębiającej Wigilii roku 1981...

Ale nie zawsze, jak się rzekło, trawestacje narodzonej nad Sanem pieśni musiały być pełne wyłącznie melancholijnych, czasem wręcz tragicznych refleksji. *Pieśń o Narodzeniu Pańskim* — niezależnie od okoliczności, w jakich ją śpiewano — była przecież zawsze w mniejszym lub większym stopniu koledą nadziei, Dziewczęta — a właściwie „dziewczęta z tamtych lat” z Platerówki nad Włosienicą, gdzie kiedyś spędzałem Wigilię, opowiadały mi, że ich „przeróbka”, której treści, niestety, nie pamiętam, potrafiła jak każda inna podtrzymać je na duchu, ogrzać w kaducznym zimnych namiotach, zamienić puszkę z napisem „swinną tuszonką” w wigilijny karpia, a czarny chleb w świąteczny kołacz...

Wspaniała dziennikarka, który w czasie wojny trafił do zespołu *Wesołej lwowskiej fali*, Antoni Wasilewski, mówił mi ongi szeroko o tamtych Wigiliach lat czterdziestych na obczyźnie, gromadzących przy stołach żołnierzy z rozbitych oddziałów, przeżywających gorętki i jeszcze silniejszą tęsknotę i niepokój o swych najbliższych. Ale, według słów pana Antoniego, do repertuaru bożonarodzeniowych koled doszła piosenka śpiewana tuż po *Bóg się rodzi* lub którejś z jej przeróbek; piosenka, napisana już w roku 1939 do melodii *Wizja sztyldwacha* przez cudownego człowieka i artystę, Wiktora Budzyńskiego:

*Wróćmy tam,
Dokąd każdy z nas tęskni i marzy,
Wróćmy tam,
Wszyscy razem — i młodzi, i starzy!
Wróćmy tam,
Kiedy świeże zabiłnig się rany,
Wróćmy tam,
Gdzie nasz dom, gdzie nasz kraj kochany...*

Śpiewać było łatwo, uwierzyć — trudniej. Ale Wigilia była i jest takim dniem, takim wieczorem, kiedy wszystko staje się możliwe. Ba, toż już imć pan Zagłoba mawiał, że „nie ma takowych terminów, z których by się wiribus unitis, przy boskich auxiliach, podnieść nie można”. I, jak się okazało, miał rację. Dlaczego więc owa gwiazdka, która w Boże Narodzenie świeci w tym roku nad naszym domem, nie ma być gwiazdką nadziei i pomyślności? Dlaczego miałyby się nie spełnić, powielana tylekroć razy przez kolejne pokolenia, prośba mądrego poety zawarta w *Pieśni o Narodzeniu Pańskim*?

Zycmy sobie, byśmy przypadkiem „nie byli winni sami”. Zycmy sobie owej wiary w szczęście „ojczyzny miłej” na cały następny rok.

Nikt nie wie, kiedy po raz pierwszy rozległ się ta w nocy krzyk skazania, płask wody i uragane przekleństwa karta, czy wydających z zamkowych legowisk pachołków. Mówią, że przy niektórych egzekucjach obecny był sam król; ślepy Jan Łuksemburski, nie dowierzając nikomu, osobiście pomagał spychać za balustradę mostu samocącego się lekarza dworskiego, który — wbrew wyrafnemu poleceniu — nie potrafił (nie chciał?) przywrócić mu wzroku. Szalony Wacław IV, trzymając w rękach zapaloną pochodnię, śledził czerwone płamy rozchodzące się po powierzchni Węławy, obok kamiennego filaru, w miejscu, gdzie wrzucono do rzeki zmasakrowane ciało spowiednika jego sony Zofii, Jana Nepomuka.

Wszyscy wiedzą, że długi na 130 i szeroki na 10 metrów, wspaniały na 16 filarach kamienny praski most, nasywany od z górą stu lat mostem Karola, jest jednym z najdziwniejszych i najpiękniejszych miejsc średniowiecznej Europy. Mniej znana jest opinia, że most jest przeklęty. Od samego początku, od wibicia w dno, szerokiej w tym miejscu Węławy pierwszego pała. Działo się to — jak pisze czeski kronikarz Hajek — w 735 roku, kiedy to w pobliskim Tetinie znaleziono „kości ludzkie niesmiernej wielkości: głowę dwóch mężczyzn jedynie objąć mogło, piszczele nóg były na dwadzieścia i sześć stóp długie”. Jeszcze inną opowieść przytacza niemiecki poeta, Clemens Brentano, pisząc, że praski most był pierwotnie kością olbrzyma, przetrucaną nad wodą. Ha, faktem jest, że stałe połączenie między dwoma brzegami istniało już w 935 roku, kiedy to przewożono tędy na hradezański zamek ciało świętego kalecta — Wacława. Był to ponad wszelką wątpliwość most drewniany, zniszczony w 1118 roku doszczętnie przez powódź. Nie kresztą dziwnego, skoro jako budulca użyto drzew ze świętego, pogańskiego gaju na węgrowskiej wysepce, o którą wspierało się przelotne mostu... Potem, gdy w 1170 król Władysław wzniósł nowy most, już kamienny — w przelocie wbudowano kamienny posąg bóstwa Peruna, któremu jeszcze wtedy, w XII wieku, składał ofiary lud mieszkający na rozciągającej się pod zamkiem Małej Stranie. Kolejna powódź zmioła część mostu wraz z fragmentami posągu: leżała do dziś na dnie Węławy. Władome nawet gdzie, gdyż miejsce to wyznaczała seki wypadków tragicznych ułonek porwanych rybackich sieci. Ostatnia zemsta Peruna nastąpiła w roku 1342, kiedy to most kolejną powódź zalańczyła doszczętnie.

W roku 1357 wielki cesarz i król, Karol IV, rozpoczął budowę mostu-cuda, mostu będącego na owe czasy dziełem genialnym, przy którym musiał człowiekowi pomagać szatan. Z patronatem owych sił nieczystych liczyły się kolejne pokolenia prasn, stawiając na balustradach wciąż nowe rzeźby świętych. Jest ich trzydzieści. Dołączają do nich całe szeregi postaci wykutych w kamieniu lub wydubanych w drewnie, których losy związane są z niesamowitym mostem. Owe postacie wyłaniają się z mroku na przylegających do mostowych wień placykach, w zaułkach, kościółkach, pałacach...

KOCHAŁ I ZABIŁ

W sobotni, czwercowy wieczór na wyspie Kampa pod mostem Karola rozległy się krzyki przerażonych ludzi, a potem nawoływania, by zabrać dzieci: widok był zbyt straszny. W sieci rybackiej znalazły się na pół już rozłożone zwłoki kobiety. Twarzy nie rozpoznano, ale żony rybaków przypominały sobie natychmiast, kto nosił podobną suknię i korale. Nie było wątpliwości: na błotnistym brzegu leżały szczątki 16-letniej Brygidy.

Brygida mieszkała z matką przedwcześnie owdowiałą, na Małej Stranie. Uchodziła za piękność, zresztą i tak ze znalezieniem kandydata na męża nie było wtedy w Pradze specjalnych kłopotów; na Hradczanach zasiadał kolejny obłąkany król, tym razem z dynastii Habsburgów, Rudolf II. Monarchę dręczyła wprawdzie, podsycona przez astrologów, mania przesładowcza — wydawało mu się, że ktoś bez przerwy dybie na jego życie — ale ściągnął nad Węławę z całej Europy uczonych, rzeźbiarzy, poetów i artystów wszelakich. Choć więc do króla dostęp mieli tylko wybrani, a i to rzadko, to i tak ruch na zamku, osobiście w Złotej uliczce, panował wielki. A jak jest ruch na zamku, to i na podgrozdu.

W Brygidzie zakochał się jeden z przybyszów z dalekiego świata, młody, czarnołosy chłopak. Nie wiadomo dziś, czy był Hiszpanem, czy Włochem, no, ale żeby przekonać dziewczynę o swych uczuciach — niekoniecznie trzeba znać jej język. Chłopak wynajmował mieszkanie w starym mieście, na prawym brzegu Węławy, ale codziennie biegał rano przez kamienny most do pracy na Hradczany: był pomocnikiem artysty-rzeźbiarza, pomagał swemu mistrzowi przy figurach dla hradezańskich świątyni, a potem i wedle pomników, które stanąć miały na moście. Wieczorem wstępował do Brygidy, ciągnął ją na wspólne spacerować do otaczającego zamek od północy tzw. Jeleniego Okopu i, jak umiał, zapewniał o swojej miłości. Brygida — choć jeszcze na pół dziecko — nie miała nic przeciwko małżeństwu, jej matka także — i wszystko zmierzało do szczęśliwego zakończenia.

Tyle że na kilka dni przed ślubem młody rzeźbiarz dowiedział się, że musi natychmiast wyjechać na pół roku do Norymbergi. Trzeba było odłożyć ślub, przeprosić zaproszonych gości i ruszać w świat. Przed odjazdem Brygida zaklepała się na wszystko, co było dla niej święte, że będzie czekać, tęsknić i, co było dla jej narzeczonego szczególnie istotne, żyć cnotliwie. Jak każdy artysta, obdarzony był bujną wyobraźnią i z łatwością mógł wywołać pod powiekami obraz tego, co się będzie działo po jego wyjeździe, zwłaszcza że — jak piszą kronikarze — był wprost chorobliwie zazdrośny.

Jak poszedł, tak i wrócił. Stęskniony i wzdychający do ślubu. Tyle że nim wstąpił do wdowy, obszedł paru sąsiadów, by wywieść się czegoś o Brygidzie. Opinie były aż nudne od pochwał: cnotliwa, matka na krok nie odstępowała, po zmierzchu sama nie wychodzi, chłopców do domu nie wpuszcza. Aliści, gdy był już niedaleko od chaty Brygidy, złapała go za poję kaftana ostatnia z sąsiadek:

— Żal mi cie, chłopcze, ale muszę być z tobą szczerą. Nie zastaniesz już dziewczyny taką, jaką zostawiłeś... Ja tam cudzych rzeczy nie ciekawa, ale wiem, bo widziałam, że wracała ci ona do domu po północy, starą matkę wodziła za nos, chłopców zmieniała jak rękawiczki i zwierzała mi się jako na mszę da, byleś tylko długo nie wracał...

W tym miejscu kończą się elementy bajki, a zaczyna znów opowiadanie znajdujące potwierdzenie w faktach, a swym zakończeniem nazywał się Spinetti, a wrócił z Norymbergi w 1726 roku) po przyjeździe do siebie,

po pierwszym szoku, poszedł spokojnie do domu wdowy, matkę z szacunkiem powitał. Brygidę pocałował w zacerwieniony policzek i, za cichym przyzwoleniem przyszłej teściowej, umówił się z dziewczyną na wieczór w Jelenim Okopie. Gdy przyszła i gdy widział, że są sami, nie pytając o nic, nie zadając żadnych wyjaśnień, wbił jej sztylet w serce, po czym wrzucił ciało do przepływającego tamtędy strumyka. Tak właśnie zwłoki Brygidy trafiły do Węławy.

Oszolomiony własnym nieszczęściem i własną zbrodnią, nieprzytomny z rozpaczy, przeszedł przez ciemny, kamienny most, nurknął do winiarni i gospód Starego Miasta. Pił. Dopiero po tygodniu, w krótkiej chwili trzeźwości, dotarła do niego prowadzona przy stole rozmowa, jako wdowie z drugiej strony rzeki zginęła córka, piękna Brygida i że nawet wzięto na spytki ich sąsiadkę. Ta bowiem, w wielkiej nieprzyjaźni z wdową żyjąc, mogła jakowyś czar na dziewczynę rzucić albo i intriga zmusić po kryjomu do ucieczki z miasta...

Po następnych kilkunastu dniach, gdy spał na słomie w szopie za gospodą, obudziło go mocne kopnięcie w bok i krzyki gromady ludzkiej: — To on! To ten morderca! Zobaczcie, jeszcze ma na kaftanie ślady krwi!

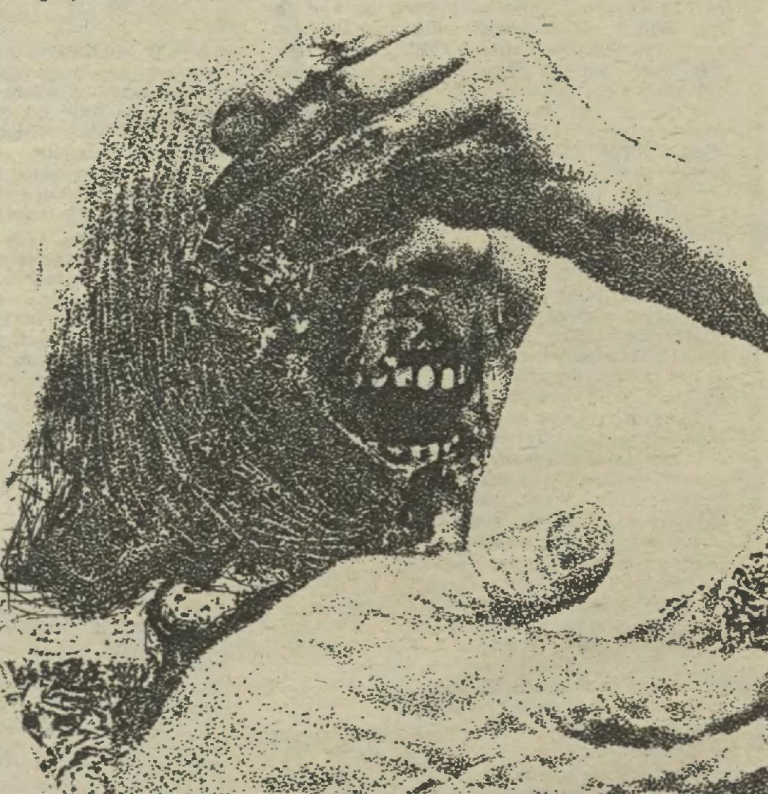
Nie opierał się, gdy go bito i gdy pluto mu w twarz, nie powiedział ani słowa, gdy na ratuszu czytano mu wyrok śmierci — nie najgorszej zresztą, bo bez tortur — przez ścięcie mieczem. Skłoniwszy się tylko przed sędziami, poprosił, by pozwolono mu jeszcze raz zobaczyć wyciągnięte przed kilkunastoma godzinami z Węławy zwłoki Brygidy.

Gdy spełniono jego prośbę, zemdlął. A potem znów poprosił sąd o jeszcze jedną łaskę — i takową otrzymał.

Do ratuszowej wieży, gdzie siedział skazany, przyniesiono bryłę marmuru i wszystkie potrzebne narzędzia. Rzeźbiarz pracował dzień i noc przy świetle pochodni. W rezultacie po kilkunastu dniach zakończył dzieło, które przeszło do historii Pragi i ludzkich zbrodni: postać stojącej dziewczyny, a właściwie czegoś, co kiedyś było dziewczyną — napuchnięte zgnilizną resztki ciała, z otwartą, straszną jamą brzuszna i z widocznymi spod resztek mięśni fragmentami szkieletu. Na tym wszystkim zaś roi się od żab, jaszczurek i węży...

Gdy skazańca prowadzili na egzekucję, gromadka ludzi niosła w przeciwnym kierunku upiorną rzeźbę, by ustawić ją na balustradzie mostu, nad miejscem, gdzie znaleziono ciało. Nie stała tam jednak długo: twierdzono, że przynosi nieszczęście. Brygidę przeniesiono więc na sąsiednie hradezańskie wzgórze, do bazyliki św. Jerzego, ustawiając tyłem do mostu i domu wdowy, a przodem do reszty świata. Na pamiątkę ludzkiej zemsty, żalu, krzywdy i — nicości...

I tak stoi Brygida do dziś. Tyle że z szacunku dla tej tragedii, w trakcie niedawnego remontu świątyni, miejsce, w którym się znajduje, odgródzono od reszty świata grubą kratą. Co nie przeszkadza, by dziewczyna, podobnie jak wszystkie inne postacie okolicznych pomników, nie przychodziła nocą na most Karola...



UPIORY KAMIENNEGO MOSTU

TWARZ ANIOŁA

Franciszek Franciszekiem i, oczywiście, on ma być najważniejszy, ale twarz anioła ma być podobna do nieziemsko pięknej i cnotliwej niewiasty...

Rzeźbiarz Ferdynand Maksymilian Brokoff skłonił się w milczeniu. — Stanie się według życzenia pana hrabiego, choć jeszcze nikomu na świecie nie udało się określić płci aniołów...

— Nie? No, to wase będziesz pierwszy. Mamy teraz październik roku 1709, na wiosnę rzeźba ma być gotowa, miejsce na moście już czeka. Żegnam.

Mistrz Brokoff skłonił się ponownie, wyszedł i zamówił u malarza Heinscha portret „nieziemsko pięknej i cnotliwej niewiasty, bądź osobnika mogącego za takowego uchodzić”. Heinsch rozpoczął poszukiwania modela.

Włóczył się po całej Pradze, od Hradczan po Wyszehrad, zaglądał na podwórka mieszczańskie i do pańskich salonów, chodził do praczek nad Wełtawą i do przekupiek na Nowym Mieście. Wreszcie pewnego dnia spotkał na Małej Stranie dziewczynę tak piękną, że w wyobraźni widział już ją na swym portrecie i w kamiennej rzeźbie anioła stojącego obok świętego Franciszka na słynnym praskim moście. Powiedział jej o tym, na co dziewczę spuściło skromnie oczy: bez zgody rodziców do żadnego portretu pozować nie będzie.

Malarz przyszedł więc wieczorem do domu dziewczyny, której imienia nie znamy. Uzyskał potrzebną zgodę, ale że to był prawdziwy artysta i nie mógł spokojnie czekać do rana — już od razu, wieczorem, przy łuczywie nakreślił na pergaminie pierwszy, bardzo pobieżny szkic dziewczyny.

Rano, gdy zgodnie z umową przyszedł do jej domu, okazało się, że dziewczyna w nocy zmarła.

Raz podjąwszy decyzję o wyborze modelki, artysta nie mógł, nie potrafił zaakceptować nikogo, kto rzeczywiście odpowiadałby jego ukształtowanej już, artystycznej i moralnej wizji. Tamta była tak idealnym modelem, a przy tym — ta uczciwość i cnota bijące z jej twarzy. Gdy opowiadał o tym sąsiadom zmarłej — patrzyli na niego dziwnie, zaś w kilka dni po pogrzebie powiedzieli mu prawdę: piękność z Małej Strany przypominała być może anioła wyglądem, lecz nie charakterem. — Toż to byłoby bluźnierstwem, ona jako anioł na moście i jeszcze koło świętego Franciszka! — wzdychali nabożni parafianie, przytaczając najrozmaitsze, coraz to pikantniejsze szczegóły.

Malarz mógł zrozumieć, ale nie potrafił zapomnieć. Ściągał: pamiętał twarz dziewczyny do momentu, gdy w swej pracowni brał do ręki węgiel i usiłował odtworzyć z pamięci i na podstawie pierwszego szkicu tamten obraz. Próbował — i nie mógł. Piękno tamtej twarzy mąciły mu, zamazywały równie żywe opowieści o tym, kim naprawdę była kobieta, którą chciał kiedyś i którą chciał nadal uczynić nieśmiertelną, pomóc zmienić w kamienny posąg. Dał kolejne kawałki cennego pergaminu, miażdżył z wściekłością węgiel, siedział godzinami nad pustą kartką — i nie.

A przecież pewnej nocy, gdy pracował w półmroku, szukając swego anioła, gdy przywoływał z pamięci tamten obraz, a z serca ten zawód i żal — stało się nagle coś. Nie wiedział co. Ale ręka sama jakby zaczęła mu biegać po papierze, kontury rysunku stawały się coraz wyraźniejsze, na pergaminie pojawiała się twarz wymarzonej świętej postaci.

Nie śmiał wierzyć własnemu szczęściu, bał się bliżej spojrzeć na rysunek. Uczynił to dopiero rano, po wschodzie słońca. Popatrzył na swe dzieło i bezgłośnie krzyknął.

Na kartce pergaminu widniała jego własna twarz.

G R Y M A S PRZEDŚMIERTNEGO BÓLU!

W żelaznych koszach pod okapami wież obronnych po obu stronach mostu szczyrzyły zęby upiorne, zasuszone przez wiatry i podłożone przez wrony i kruki czaszki mieszczan, ściętych za uczestnictwo w rebelii antyhabsburskiej. Lochy wieńców wszystkich dzielnic praskich pęczniały od krzyków torturowanych; magnackie pałace stały puste, oczekując na nowych, wyznaczonych przez austriackiego cesarza właścicieli; czeska arystokracja uciekła w popłochu za granicę. W Pradze, słynnej „złotej Pradze”, panowały głód, rozpacz, beznadzieja i — zwykły, ludzki smutek.

Tak wyglądało miasto nad Wełtawą po tragicznej bitwie pod Białą Górą w listopadzie 1620 roku.

Im bliżej było zimy, tym więcej z wąskich uliczek śródmieścia i z nędznych domostw po obu stronach Wełtawy wypełzało żebraków kuliących się w strzepach łachmanów przy wejściu na kamienny most, obok budynku, gdzie mieściła się komora celna. Nie brakło tu ich nigdy, ale teraz trudno się było nieraz przecisnąć przez akłamię, ciągnącą za ubrania i błagającą o litość tłum. Dziady, zwykle siadywać u mostowej bramy, bywało, od dziesiątków lat, z pogardą i złością patrzyły na nowych przybyszów, spychając ich na coraz nowe miejsca, pod balustrady, gdzie i bardziej od wody ciągnie, i o jałmużnę trudniej.

Tam właśnie przycupnęła obok siebie, wspomagając się własnym ciepłem, grupa nędzarzy — nie miała jakas i z widocznym wstydem rękę do przechodniów wyciągająca. Zwłaszcza jeden z żebraków, wy-

rażnie trzymał się osobno i nie zaczepiany — nigdy o wspomnienie nie poprosił.

— Wsłodzi się dalej, i słusznie — mówili pogardliwie łachmaniarze — przynajmniej tyle mu zostało z jakiegokolwiek uczucia... — Nieprawda! — protestowali inni, coż z tego, że każda, więc i nową władzę wysławiał, że panegiryki na cześć kolejnych królów pisał? A bo to inni nie pisali? My sami przecie również... A bo to im za to nie płacono? A bo to mielibyśmy przez tyle lat z czego żyć?

— Ale nie musiał tak spowieńwierać naszego powstania, tak wyszydzać to, co się stało pod Białą Górą!

Toteż obecny cesarz, oby żył wiecznie, dał mu za to, miast nagrody, sto batów...

Kłęska pod Białą Górą i ucieczka czeskich wielmożów wpędziła w skrajną nędzę również spore grono poetów żyjących dotąd na bogatych dworach i korzystających z dobrodziejstw pańskiego stołu. Nędza wypędziła na most również nader płodnego rymopisa, wulgo rymarza, Szymona Lomnickiego z Budczy — ongi protegowanego możnej rodziny Rożembeków. Tradycja określa nawet dokładnie miejsce, w którym żebrał: pod trynitarską rzeźbą grupową z popularnym „turkiem”. Lomnicki zarzucaną mu kolaborację uważał za potwarsz; pogardę towarzyszy znosił źle. Uważał, że padł ofiarą ludzkiej zawiści.

I stało się tedy, że pewnego dnia na moście Karola pojawiła się bogata Włoszka, której spowiednik, ciężką zapewne osadzając winę, oryginalną wyznaczył pokutę: penitentka ma wyrzeźbić ukrzyżowanego Chrystusa. Spowiednik zalecał podróż do Pragi, gdzie świeżo zwyciężył katolicyzm, lecz nim do tego doszło, Chrystus wiele wycierpieć musiał.

Włoszka przybyła tedy nad Wełtawę i starała się znaleźć wśród ludzkiego tłumy twarz oddającą jej wyobrażenia o męce ukrzyżowanego — męce tylą fizyczną, co duchową. Kamienny most wszystkich przyciągał jak magnes — i na nim też ujrzała twarz tak przeraźliwie smutną, plecy przygięte do ziemi tak ogromnym kamieniem niezasłużonej kary, że przystanęła nad żebrakiem.

— Kim jesteście?

— Poetą.

— Nie chcą was czytać?

— Przeciwnie, czytają aż nazbyt pilnie, dlatego tu jestem.

Włoszka zastanowiła się przez chwilę.

— Chcę wyrzeźbić Chrystusa. Krucyfiks stanie na moście, koło bramy staromiejskiej, na miejscu krzyża, który rozsypuje się już ze starości... Chcecie ze mną pracować? Dobrze zapłacę...

— Ja chcę wszystkiego, co złagodzi mękę oczekiwania na śmierć.

I zaczęła się praca. Zebrak siadywał w pracowni — nieobecny wciąż wśród żywych, z tą samą, napiętą cierpieniem twarzą, a obok zmagająca się z kamieniem artystka, przenosząc swe spojrzenie z twarzy rzeźbiarza na dzieło swych rąk. Mijały dni, tygodnie, miesiące — twarz starego poety pozostawała ta sama, lecz twarz kamiennego Chrystusa w niczym nie przypominała tej, którą całe pokolenia chrześcijan widziały na wzgórzu Gólgoty.

Włoszka zaczęła ogarniać rozpacz. Model, wymarzony model, prezentował widać mękę zbyt małą, a raczej nie dość okrutną, by stać się mogła godną tamtej, wyobrażanej, przeżywanej, ale niemożliwej do utrwalenia w kamieniu bez zobaczenia jej na własne oczy. Decyzja artystki była więc — jak piszą kroniki — owocem wielu dni twórczych zmagani, rozczarowań, niejako przyznaniem się do własnej, artystycznej porażki; wiedząc już, że nie wyrzeźbi tego, czego zobaczyć nie może — pewnego zamgłonego popołudnia, gdy żebrak, jak zwykle, patrzył niewidzącymi oczyma na most i górujące nad nim hradzańskie wzgórze — Włoszka wbiła mu nagle nóż w pierś... Wszedł po samą rękę, i tak go pozostawiła w ciele ofiary. Po czym złapała za długi, by utrwalić ów grymas męki i sprowadzonej przez nią śmierci.

Tak powstał czarny dziś krucyfiks na moście Karola.

* * *

Trzydzieści ludzkich dramatów przybrało kamienne kształty na 30 rzeźbach praskiego mostu. Ile zaś owych tragedii pozostało jedynie w legendzie tej przedziwnej i przedziwnym piętnem naznaczonej budowli, przez którą więcej przeciągało konduktów pogrzebowych niż triumfalnych wjazdów monarszych, na której werble częściej ogłaszały egzekucje niż łaskę, a jeśli na niebie praskim pojawiała się nowa gwiazda, czy ogoniasta kometa — zwiastowała ona na pewno nadejście złych dni...

Wśród postaci, które przechodziły ongi po kamiennym moście, wiele miało bezpośredni kontakt z szatanem. Wśród praskich kuriozów do dziś znajduje się fotel, na którym siadywał cesarz Rudolf II, syn Joanny Obląkanej, podczas rozmowy z diablem. Dopiero przed samą śmiercią wyrzekł się szatana wielki astronom, lokator wieży mostowej, Duńczyk, Tycho de Brahe — co nie przeszkodziło, że owa śmierć nie była lekka. W kondukcje żałobnym, ciągnącym przez Wełtawę z Hradczan do Tynskiego Chramu, szeptało, że astronomowi pękł pęcherz: był na uczcie u króla i nie odważył się pierwszy wstać od stołu. Pakt z diablem podpisał sam budowniczy mostu, imię Parlerz i próbujący wydrzeć gwiazdom tajemnicę swego losu ponury kondotier, Albrecht von Wallenstein. Między kamiennymi balustradami mostu przemyczał się nocami mieszczkający nie opodal sam doktor Johannes Faust. Z żydowskiego miasta kroczył poważnie do rybaków na Kamplę, gdzie było taniej, wysłany po ryby przez małżonkę swego pana, rabina Löwe, glinianny olbrzym, Golem...

A z góry, z Hradczan, docierał w spokojne noce do uszu ludzi na moście śpiew żywcem zagrzebanych w swych celach barnabitek — jak nazywano karmelitanki bose. Śpiew płynął kędys z daleka, z głębi klasztornych murów, przyciągając swym ponurem, tajemniczym pięknem ludzi, którzy biegli do klasztornej kościoła, by popatrzyć na niszę obok ołtarza. Znajdowała się w nim zmumifikowana postać przeorczy, błogosławionej Elekty, która „choć zmarła przed wiekami, nie zetlała w grobie i teraz jej czarna, zeschnięta twarz spoglądała spoza zakratowanego okna... Opowiadają, że każda nowicjuska, przed złożeniem ślubów, musi o północy zdjąć straszliwej świętej pierścień ze wzniesionej do błogosławieństwa ręki...”

Przeorczyse też spotkała na moście, ukrytą wśród rzeźb, w załomach kamiennej balustrady, gdzie — zwolniona już dziś z klasztornej, nakazującej absolutne milczenie reguły — rozmawia długo w noc z innymi tajemniczymi postaciami posągów. „Ten, kto nie widział, jak te posągi nocą, w pewne, nie oznaczone z góry w kalendarzu dni opuszczają swe samobójcze cokoły, aby wnieść się między nocnych przechodniów, aby rozejrzeć się po dwunastu praskich mostach — ten nigdy nie zrozumie poezji...”

Teodor Parnicki

wielki wizjoner historii

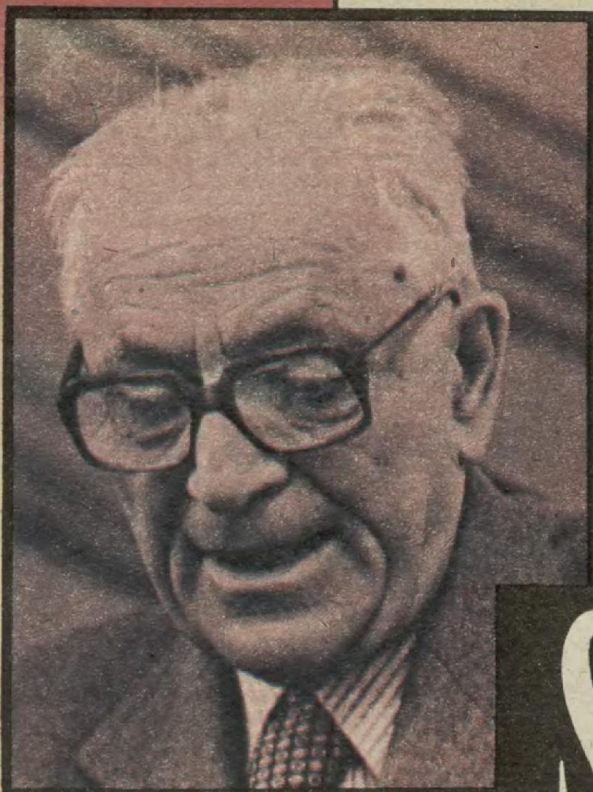
Zmarł Teodor Parnicki. Zanim przeczytacie Państwo gawędę wspomnieniową Wilhelminy Skulskiej, napisaną jeszcze przed śmiercią znakomitego pisarza, pomówmy o jego twórczości. Jestem głęboko przekonany, że był jednym z najwybitniejszych prozaików polskich XX wieku, a w dziedzinie powieści historycznej niewielu może się z nim równać, choć nie pobił popularności Kraszewskiego czy Sienkiewicza. Trudno jednak liczyć na masową publiczność, kiedy podejmuje się trud głębokiego i ambitnego zreformowania jakże lubianego od dziesięcioleci gatunku, którego najdoskonalszy kształt zdawała się uosabiać Trylogia.

Ambicje Parnickiego sięgają dalej niż kreślenia atrakcyjnej fabuły i barwnych przygód, osnutych na dziejowych wydarzeniach. Jego proza — może z wyjątkiem „Aecjusza, ostatniego Rzymianina” i „Srebrnych orłów” — nie jest łatwa, apeluje do wyobraźni i intelektu czytelnika. Odwołuje się do najszerzej wspólnoty kulturowej w skali globu. Lubi łączyć fakty pozornie odległe, by wysnuć historyzoficzne konkluzje lub przynajmniej ich zarysy, sugestie. Dla pisarza historia jest wprawdzie labiryntem, ale takim, z którym może i powinien zmagać się odważny umysł, szukający najgłębszych korzeni swej egzystencji.

Wiedza historyczna Parnickiego, który nie zdołał ukończyć studiów, za to otrzymał doktorat honorowy Jagiellońskiej Wszechnicy, jest imponująca. Wykracza poza granice Polski, czy Europy, tworząc niepowtarzalną perspektywę ludzkości na przestrzeni tysiącleci. Wydaje się, że oryginalność owego piśmiennictwa, zarówno jeśli idzie o treści, jak formę, musi być rozpatrywana na tle literatury światowej. Jako autor powieści historycznych należy Parnicki do najświetniejszych kręgu jej twórców. Przypuszczam, że gdyby pisywał w języku angielskim, francuskim czy niemieckim, zebrałby już dawno międzynarodowe laury, szczególnie dziś, gdy idea „wspólnego europejskiego domu” staje się głośniejsza i modna. Przecież pisarz już od wielu lat prezentował w swoich powieściach podobną wizję nie tyle polityczną, co kulturową.

Dzięki autorom takim, jak B. Prus („Faraon”), S. Żeromski („Popioły”), J. Iwaszkiewicz („Czerwone tarcze”), H. Małewska czy Z. Kossak-Szczucka nasza powieść historyczna wyszła już dawno poza granice polskiej historii, zmierzając ku uniwersalizmowi. Parnicki podejmował go już w pierwszych swoich książkach. Schyłek cesarstwa rzymskiego w „Aecjuszu”, Polska piastowska na tle historii europejskiej w „Srebrnych orłach” — to dopiero początek. Docieklivość i wyobraźnia pisarza prowadzą nas ku epokom przemian kulturowych, ich przenikania się oraz przekształcania. Szczególnie interesują go czasy

Fot. Jan Norman Zawistowski



upadku przeżytych cywilizacji i narodzin nowych.

Świat powieściowy Parnickiego obejmuje około dwóch tysięcy lat, ogarniając cały niemal obszar ziemi, głównie w dwóch cyklach: „Twarz księżyc” i „Nowa baśń”. Śledzimy związki między kulturą i historią Azji (szczególnie Bliższego Wschodu czy Bizancjum) oraz zmierzającym cesarstwem Rzymu, a także początki i rozwój chrześcijaństwa. Wraz z jakże często spowitymi tajemniczością bohaterami obserwujemy upadek cywilizacji hellenistycznej, przenosimy się do czasów Juliana Apostaty, wędrujemy po odległych morzach i krainach.

Wszystko to zmierza ku filozofii historii oraz kultury ludzkości, w całej ich złożoności. Pisarza interesowała szczególnie powtarzalność cykli dziejowych, problemy uwarunkowań i granic poznania. Dlatego w jego powieściach pojawiają się tak często „mieszanie” różnych kultur i ras, a także postaci prowadzące „poszlakowe” śledztwo w celu rozwikłania zagadek historycznych. Każda prawda zdaje się mieć wiele oblicz, każdy trop wiedzie ku nowym horyzontom poznania.

Warto przypomnieć, że „Srebrnymi orłami” wpisał się Parnicki — wraz z A. Górublewem, J. W. Grabskim i K. Bunsem — do grona twórców „powieści piastowskiej”, jak ją nazywał K. Wyka. Kierowali oni uwagę czytelnika — na przekór wojennej klęsce — ku początkom państwa polskiego, upartemu i mądrymu budowaniu jego zębów. Budzili nadzieję, rysowali perspektywę przetrwania, zyskując zasłużoną popularność u czytelników.

Warto zadać sobie trud przeczytania powieści Teodora Parnickiego, wielkiego wizjonera dziejów Polski i świata, mamy bowiem do czynienia z pisarzem, który zajął poczesne miejsce w naszej literaturze XX stulecia.

JAN PIESZCZACHOWICZ

Z tego związku urodził się Teodor, a w kilka lat później jego brat, który mieszka obecnie w Ameryce.

Bronisław Parnicki używał imienia Brunon, a więc chłopiec był „po otczestwu” Teodorem Brunonowiczem. W domu rodzinnym mówiono po niemiecku albo po rosyjsku. Dopiero po wybuchu pierwszej wojny światowej ojciec zainteresował się swoim polskim pochodzeniem. Okazało się bowiem, że w przeciwieństwie do Niemców i Austriaków, władze carskie nie wysyłały Polaków do obozu dla internowanych. Z tego właśnie powodu mały Teodor miał okazję obejrzeć dokument wypożyczony z parafii kościoła Piotra i Pawła w Moskwie, z którego wynikało, że nie jest synem Stanisława Brunonowicza, a Stanisława Bronisławowicza. Z początku 10-letni Teodor był zgnębiony i nawet powiedział ojcu, że sprzedał go księdzu za polskie dokumenty, podobnie jak gentleman z Kentucky, który handlował wujem Tomem w znanej powieści. Później jednak pogodził się, ponieważ wyznaczenie rzymskokatolickie kojarzyło mu się z Rzymem, którego historią był już wówczas mocno zainteresowany.

Matka Teodora umarła wcześnie na gruźlicę. Ojciec ożenił się z dużo młodszą od siebie piękną

S

potkania

NA UL.

Utarł się taki zwyczaj, że co tydzień, dwa wpadamy do nich na podwleczonek. Ulica Zimorowicza, domofon. Naciśnięcie guzika, głos kobiecy: — Czekamy! Drzwi otwiera zawsze pogodna pani. Zrzucając w przedpokoju kurtkę, zerkam w głąb pokoju. Stół, jak za każdym razem, nakryty: cztery serwetki, na nich filiżanki, ciasto. Znam już swoje miejsce „zaklepane” od lat. Naprzeciw siada pan domu, Teodor Parnicki, obok żona — Ela, z drugiej strony mój mąż Zygmunt, przyjaciel pisarza od lat lwowskiej młodości.

Autor przeszło trzydziestu powieści historycznych i tomów esejów mówi zazwyczaj o sobie: — Nie jestem historykiem, historyzofem, ani historiografem, lecz historyjomanem. Żyje z historią, jest nią zauroczony, uzależniony w takim stopniu, jak nałogowiec od narkotyku.

Na ostatnim podwieczorku, w listopadzie, mówiliśmy o urodzinach pisarza. Przykłada do tej rocznicy, i tylko do tej, wielką wagę. Co roku przybywali na ulicę Zimorowicza najbliżsi przyjaciele: Jan Edmund Osmańczyk, Mirosław Żuławski, Zygmunt oraz lekarze, którzy się nim opiekowali, a także wydawcy, krytycy.

Ktoś napisał o Parnickim, że jest najbardziej polskim pośród współczesnych pisarzy. I pomyśleć, że mając 11—12 lat nie znał języka polskiego... Urodził się 5 marca 1908 w Charlottenburgu, na przedmieściu Berlina. Rodzina ojca pochodziła z Wielkopolski i była raczej zniemczona: dziadek pisał się Parnitzki. Jako feldfebel brał udział w wojnie przeciwko Francji. Ojciec powieściopisarza, Bronisław, inżynier z zawodu, znalazł korzystne warunki pracy w Rosji, która chętnie zatrudniała fachowców ze świadectwem ukończenia niemieckiej politechniki. Ożenił się z mieszkanką Kijowa.

Rosjanką, która nie przepadała za pasierbami. Ta niechęć, a może i przeznaczenie zadecydowały, że młodziutki Teodor trafił do korpusu kadetów w Omsku. Długo tam nie wysiedział, po roku uciekł, przedostał się przez kraj ogarnięty chaosem rewolucji (w tym samym czasie wędruje po owym obszarze Igor Newerly, co opisał w *Zostało z uczt bogów*) i dociera w końcu do... Chabina („o ile pamięć go nie myli”), w poszukiwaniu przyjaciela ojca. Tam zapośredniczyła się chłopcem polska kolonia. Zostaje uczniem Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza. Twierdzi, że zafrapowała go składnia polska i lektura *Quo vadis* oraz *Faraona*. Właśnie w Chabinie rozpoczęła się wielka przygoda z historią, która trwa do dzisiejszego dnia.

Pamięta, że na ścianach gospody chabinińskiej wisiały reprodukcje obrazów Matejki, przedstawiające sławnych mężów Polski. Nie znał ich nazwisk, ale wyczuwał beładnie epokę, w której żyli. Portret Zygmunta Augusta z krótko ostrzyżoną głową, o którym to królu niewiele, czy nie jeszcze nie wiedział, nasunął mu obraz XVI wieku, zaś biała peruka Rejtana — XVIII stulecia. Kiedy daleko jeszcze było do pełnej znajomości języka przodków, zdecydował, że zostanie polskim pisarzem. W przekonaniu, że to się nie spełni, jeżeli zostanie w Rosji, postanowił pojechać do Polski.

— Pomyśl — powiedział — że spośród braci Parnickich trzej mogliby się znaleźć w Polsce jako żołnierze radzieccy, a jeden, być może, pojawić w mundurze niemieckim. Tylko on wybrał narodowość polską. Kiedy władze w Warszawie chciały mu przed wojną z pełną rewerencją nadać oby-

watelswo polskie, odmówił. Powiedział, że musi być uznany za Polaka, a nie otrzymywać obywatelstwo niby spolszczony obcokrajowiec.

Negocjacje owe odbyły się już we Lwowie, dokąd trafił w 1928 r., po powrocie z radzieckiej Rosji. Liczył sobie wtedy lat dwadzieścia. Uważany w Charkowie za wyjątkowo zdolnego ucznia, otrzymuje stypendium w Uniwersytecie im. Jana Kazimierza. Studiuje orientalistykę, anglistykę i polonistykę — ten ostatni kierunek ze względu na prof. J. Kleina, znakomitego znawcę Słowackiego, pod którego wielkim wpływem był przybył z Charkowa. Niczego zresztą nie skończył, magisterium nie zdobył, a w ankietach personalnych pisał: wykształcenie wyższe, niepełne. Kiedy pół wieku później, w 1983 r., otrzyma doktorat honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego, będzie się ze swojego „niedokształcenia” tłumaczył, przytaczając przykłady z historii, kiedy to cesarz miał prawo wziąć sobie wyzwolenia i zrobić go od razu prefektem pretorian, a papież byli władni dać kapelusze kardynalski ludzom, którzy nie mieli nie tylko wyższych, ale i niższych święceń duchownych.

Co dziwi się we lwowskim okresie jego życia? Teodor jest biedny jak mysz kościelna, bez oparcia w rodzinie, która pozostała w Rosji. Pisze książkę kryminalną, osnutą na tle życia w Mandzurii. Sensacyjne „kryminalne” wątki przewijają się również w jego powieściach historycznych. Jest fenomenalnie uzdolniony, ale z czegoś trzeba żyć. Zostaje zmu-

przed wybuchem wojny. Zgłosił się od razu do Komendy Uzupełnień, ale ponieważ posiadał kategorię „C” — odprowadzają go z kwitkiem: dostanie zawiadomienie, jak przyjdzie jego czas. — Kiedy? — Nie wiadomo. Poszedł do oficera wyższej rangi, który, jak się okazało, był czytelnikiem *Aecfusa*. Objawił on więcej życzliwości i poinformował, że otrzyma wezwanie w okolicy Bożego Narodzenia. — A do tego czasu? Jest cywil, może poczekać.

Czasu, jak się okazało, nie było tak wiele. W Boże Narodzenie Lwów znajdował się we władzy radzieckich żołnierzy. Dyplomacje magisterskie i doktoranckie, omawiające jego twórczość, podsumowują tamten okres jednym zdaniem: „Teodor Parnicki znalazł się w głębi Związku Radzieckiego”. Dziś wolno już więcej napisać, i na przykład Zygmunta Lichniaka to uczynił. Pisarz został aresztowany we własnym mieszkaniu przez NKWD tej samej nocy, kiedy zgarnięto polskich pisarzy, wśród nich Władysława Broniewskiego, Aleksandra Wata i innych. Był rok 1940. Parnicki przebywał w sześciu więzieniach, doczekał się w Czernichowie rozprawy sądowej, „połuczył” osiem lat więzienia. — Za co? — Kto to wówczas wiedział... Ale nie ma zwyczaju dodawać sobie męczeńskiego splendoru, nie skarży się na złe traktowanie. Raczej przeciwnie — traktowano go względnie przyzwolnie. Pamięta, że był przesłuchiwany przez brutalnego nieukę i zdecydował się odmówić zeznań. Powiedział śledczemu, że jest nie przygotowany do rozmowy z historykiem, nie zrozumie go. I,

diplomaty, nadając status rezydenta. Z czego żyć, w jaki sposób nadal studiować, czytać, pisać? Nie nadaje się do pracy w biurze czy na poczcie. Na szczęście żyją tam Polacy, którzy się dorobili. Zyskuje w nich mecenasów doceniających jego pasję do literatury historycznej, a także dostrzegających kompletne zagubienie w realiach codziennego życia.

Przyjaciele umożliwiają mu egzystencję, zresztą dosyć mizerną. Mogłoby ją zmienić, dopracować na przykład angielski i hiszpański, które nieźle znał, i pisać do prasy miejscowej, próbować wydawać w tych językach książki. Ale uparł się, że będzie pisał po polsku i tworzyć polską powieść historyczną. Codziennie przepisuje po kilka stron prozy staropolskiej dla zachowania kontaktu z językiem.

Z tego właśnie okresu życia opowiadał nam zabawną historię. Jego urodziny obchodzili zazwyczaj wraz z nim meksykańscy Polonusi. Jednego roku zapomniano o dacie 5 marca. Pozostał sam. Postanowił wieczór urodzinowy spędzić na samotnej kolacji w restauracji „Prendes”. Droga do niej prowadziła przez długi pasaż, w którym znajdowała się księgarnia. W jej witrynie zobaczył książkę J. Burckhardta *Od pogaństwa do chrześcijaństwa*, o której marzył. Bez namysłu sięgnął do kieszonki i kupił ją, ale na kolację już nie starczyło pieniędzy. Wypił w barze na stojąco dwie tequile (wódka z agawy) i ugotował sobie w domu porcję makaronu.

Właśnie w restauracji „Prendes” jedliśmy w 1949 r. wraz z mężem i z Teodorem kolację. Były jakieś znakomite pierożki, ponoć specjalność meksykańska, i popiliśmy tłuste danie obrzydliwą dla mnie w smaku tequilą. Nie mówiliśmy wtedy o szansach wydawania jego książek w Polsce. Był to czas grozy stalinowskiej, lata strachu, kiedy nawet decydenci nie sypiali spokojnym snem. Ale już w 1956 r., dzięki staraniom PAX-u, wydają Parnickiego w Polsce. Było co publikować! Napisał w Meksyku trzynasto powieści historycznych, wśród nich *Koniec «Zgody Narodów»* (wydany w Paryżu w 1955 r.), a także *Słowo i ciało*.

Kiedy mówi o swoim piśmarstwie, nie zaprzecza, że znajdował się zawsze pod znacznym wpływem freudyizmu, teorii podświadomości. Jest też zdania, że kondycja biologiczna twórcy ma znaczący wpływ na jego dzieła; inaczej pisał w Jerozolimie, odmiennie w Meksyku. Wiek sprzyja pierwiastkom biograficznym, np. Rafał w późniejszym okresie swojego życia odzwierciedlał siebie w portretach. W powieściach Parnickiego znajdujemy wraz z postępem lat coraz więcej elementów biograficznych — to m. in. owe nie kończące się wędrówki, poszukiwania ojca, losy „mieszkańców”. Lubi opowiadać o szarej kaczce, która żyje wśród czarnych i białych ptaków, musi zatem żyć intensywniej, by przeżyć...

W roku 1963 przyjeżdża Parnicki po raz pierwszy do kraju. Jesteśmy wówczas z mężem w Paryżu. Na wiadomość, że statek, którym podąża, zatrzymuje się w Hawrze, jedziemy ze stolicy Francji bładym świątem do odległego portu. Teodor jest już wówczas po raz drugi żonaty. Wziął ślub w Meksyku „per procura” z Elą, zamieszkującą w Londynie.

W Hawrze długo szukaliśmy statku „Cyprian Norwid”. Parnicki był błąd, skupiony. Jechał na pierwsze, po prawie czterdziestu

latach, spotkanie z krajem. Był przecież bardzo związany z Meksykiem, zauroczony tym krajem i ludźmi, którzy go w trudnych latach wspomagali. Najwidoczniej jednak rozmowy z polskimi wydawcami i spotkaniem z czytelnikami utwierdziły go w przekonaniu, że nie ma dla pisarza innego miejsca na ziemi niż własny kraj. Do tego wniosku dochodził w 67 roku życia. Wraca na stałe do Polski. Nie jeździ na wczasy, nie uczestniczy w konwentykach, nie interesują go salony i inne plotki, a mam prawo podejrzewać, że nie zna nawet składu kolejnych rządów w naszym kraju. Pracuje! Pojawia się nowa jakość w jego twórczości: powieść historyczno-fantastyczna.

Zwiedzał kiedyś opactwo tynieckie, które stanowi miejsce akcji *Tylko Beatrycze*. Na powitanie pisarza wyszedł benedyktyn, ksiądz Sezanek, i w pierwszych słowach podziękował mu za to, że dodał klasztorowi 30 lat życia. Powstałe opactwa datuje się w 1045 roku, zaś u Parnickiego dramat toczy się o trzydzieści lat wcześniej. Pisarz usprawiedliwił się, że przyjął tę datę „na wiarę” od znakomitego historyka, jakim był Stanisław Zakrzewski...

Autor powieści historyczno-fantastycznych kwestionuje np. spalenie Joanny d'Arc na stosie. Uczynił to już kiedyś Fryderyk Schiller — dla dobra fabuły, Parnicki jednak przypuszcza, że święta Joanna opuściła Francję i uciekla do Ameryki. Co więcej, nie wymyśla tej wersji, powołuje się na jakieś stare dokumenty. A czy Krzysztof Kolumb nie odkrył Ameryki przed historyczną datą 1492 r., gdy znając już drogę do nowego kontynentu podróżował do Indii i Chin? Nie jest w swoim twierdzeniu osamotniony, bo dwaj historycy, radziecki i angielski, lansują podobną tezę. Kwestionowanie ustalonych faktów historycznych prowadzi do pytania: A gdyby tak inaczej, niż w podręcznikach, co by się wówczas wydarzyło? W swoich książkach próbuje czytelnika wciągnąć w taką grę intelektualną.

W którymś z wykładów, wygłoszonym w Uniwersytecie Warszawskim, zadał przekorne pytanie: — Co by się stało, gdyby Konstantyn Wielki żył o 25 lat krócej, a jego bratanek Julian Apostata żył 25 lat dłużej od historycznej daty śmierci? Przeczytałam to zdanie i pobiegłam do telefonu: — Teodor! O co ci właściwie chodzi? Zdziwił się. — Pomyśl sama! Konstantyn był pierwszym cesarzem, który zmienił na korzyść stosunek do chrześcijaństwa. Gdyby żył krócej, nie dokonałby zmian, które przesądziły o rozwoju wyznawanej dziś przez ogromną większość Polaków religii. Jeśli natomiast Apostata żył dłużej o 25 lat, może udaloby mu się, jako przeciwnikowi nowej religii, zepchnąć chrześcijaństwo do podziemia? Hipoteza owa znalazła wyraz w książce, o której napisaniu marzył przez trzydzieści lat. Nosi tytuł *Sam wyjdę bezbranny*.

Są snobi, którzy ogłaszają wszem i wobec: — Ja czytuję Parnickiego. Ponoć jeszcze większym snobizmem jest jednak w pewnych kołach oświadczenie: — Ja Parnickiego nie czytuję... Tak czy owak, jest to postać niezwykle — i niezwykle piśmarstwo.

listopad, 1988 r.

WILHELMINA SKULSKA

ZIMOROWICZA

szony „pójść na etat” do lwowskiego „Kurier Porannego”, gdzie drukuje powieść pt. *Trzy minuty po trzeciej* w odcinkach, za „kawalek” po 10 złotych, a nawet i więcej (ale za 50 groszy można było zjeść nieźle drugie danie)...

Prof. Konrad Górski powie mu wówczas, że łączy go niedobra miłość z literaturą, a ktoś inny zauważy, iż również z uniwersytetem. Parnicki jednak wie dokładnie, czego chce. Fragment pierwszej historycznej powieści pt. *Hrabia Julian i król Roderik* (1934, wyd. 1976) publikują lwowskie „Sygnały”. *Aecfusz*, ostatni Rzymianin kandyduje do Nagrody Młodych Polskiej Akademii Literatury. Nie wygrywa, ale Parnicki otrzymuje w 1939 r. kilkumiesięczne stypendium, umożliwiające odbyć podróży po Bułgarii, Grecji, Turcji i Włoszech.

Kiedy znalazł się w Rzymie, przeżył satysfakcję, która utwierdziła go w pożytku studiowania historii. Był tam pierwszy raz w życiu, pamięta piękny upał, który nie zachęcał do zwiedzania miasta. Dopiero pod wieczór, gdy żar zelżał, odważył się iść na pocztę, żeby dowiedzieć się, czy nie ma dla niego przesyłki z Warszawy. Zatrzymał się przed jakimś kościołem gotyckim i zapytał pierwszego z brzegu przechodnia o jego nazwę. Znajdował się przy Santa Maria Sopra Minerva. Natychmiast umiejscowił ten punkt na mapie historycznej Rzymu, mógł się już poruszać bez pytań i przewodnika, trafił bezbłędnie do kościoła, do którego uczęszczała żona *Aecfusa*, ostatniego Rzymianina. Spacerował po mieście do trzeciej nocy, błogosławiąc swoje lektury historyczne, których nigdy nie miał dosyć...

Do kraju wrócił na cztery dni

co ciekawsze, przesłuchiwał go w końcu śledczy, który posiadał wykształcenie historyczne. Wtedy złożył zeznania, co zresztą nie miało żadnego wpływu na wysoki wyrok więzienny.

Odsiedział prawie dwa lata, do czasu, kiedy rząd radziecki zawarł umowę z rządem londyńskim. Wtedy więzień skomunikował się z prof. Stanisławem Kotem, przebywającym w Kujbyszewie jako ambasador „londyńczyków”. Profesor znał Parnickiego z jego działalności literackiej, wiedział, że jest znawcą literatury rosyjskiej, a także znakomicie opanował język. Potrzebny mu był taki pracownik we współpracy z Rosjanami. Wprost z więzienia pisarz „idzie w dyplomację”. Zostaje mianowany attaché kulturalnym ambasadą polską. Redaguje także pismo „Polska”, dziedząc tę funkcję po Ksawerym Pruszyńskim.

Po zerwaniu stosunków z ZSRR ambasada kujbyszewska ewakuuje się do Teheranu. Parnicki jedzie przez Irak i Syrię, zatrzymuje się w Jerozolimie. Czas wojny nie zmniejsza jego zainteresowania historią. Wie, że w Świętym Mieście znajduje się wspaniała biblioteka hebrajska, dysponująca bogatą dokumentacją z epoki starożytnego Rzymu. To jest to! Po studiach w Jerozolimie pisze *Srebrne orły* (1944), które doczekały się już dziesiątego wydania.

Jako pracownik dyplomatyczny znalazł się Parnicki — jest rok 1944 — w Meksyku. Ale rząd londyński przegrał, jego placówki dyplomatyczne ulegają likwidacji. Pisarz pozostaje na bruku. Meksyk odbiera mu uprawnienia dy-

O CALAMY o d ZAPOMNIENIA

Minęło właśnie równe 50 lat od wydania przez słynną oficynę warszawską Jakuba Morkowicza „Poematu o Warszawie” Światopełk Karpieńskiego. Starannie jak zwykle u Morkowicza opracowana książeczka, ozdobiona fotografiami Tadeusza Przypkowskiego (tego z Jędrzejowa, od słonecznych zegarów) ukazała się w bardzo niewielkim nakładzie. W Drukarni Naukowej Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie, na Rynku Starego Miasta pod numerem 11 odbito 500 egzemplarzy numerowanych na papierze ręcznie czerpanym i 3300 egzemplarzy na bezdrzewnym papierze mirkowskim. Parę miesięcy później wybuchła wojna. Przypuszczamy, że niewiele egzemplarzy poematu dochoowało się do naszych czasów. Pragniemy wydobyć ten utwór z półwiekowego zapomnienia. Jesteśmy zdania, że jest tego wart, zarówno od strony wspomnieniowej, jak i ze względu na jego czysto poetyckie walory. Oznaczony numerem 883 egzemplarz „Poematu o Warszawie”, którym się posłużyliśmy dla celów niniejszego jubileuszowego przedruku, jest jedyną książką, jaką jej właścicielowi udało się wynieść z powstańczej Warszawy.

ŚWIATOPELK KARPIŃSKI POEMAT O WARSZAWIE

Związany we wczesnej młodości z Łodzią (urodził się w niedalekim Łasku w 1909 roku) Światopełk Karpieński był jedną z barwniejszych postaci naszego przedwojennego życia literackiego. Po ukończeniu łódzkiego gimnazjum przeniósł się do Warszawy i od początku lat trzydziestych stał się dostarczycielem świetnych tekstów dla kabaretów i pism satyrycznych, takich jak „Cyruлик Warszawski”, czy „Szpilki”.

W pewnym momencie zetknął się z młodszym od siebie o pięć lat Januszem Minkiewiczem (niektórzy mówili, że miało to miejsce w podchorążówce, gdzie Karpieński był przełożonym Minkiewicza) i odtąd stanowili nierozłączną parę. Razem pisywali znakomite szopki polityczne i razem odtąd szli przez życie, zarówno literackie, jak i nocne. Ulubionym terenem ich działań była słynna warszawska „Adria”.

W 1936 roku Karpieński doczekał się uznania w postaci Nagrody Młodych Polskiej Akademii Literatury, co wtedy było wyróżnieniem cennym i bardzo się liczącym. Wydał kilka zbiorów wierszy, satyr i humoresek: „Ludzie wśród ludzi”, „Trzyście wierszy”, „Mieszczańskie poematy”, „Kreda na parkanie”, „Ściana śmiechu” i „Poemat o Warszawie”. Drukował również zabawne i oryginalne felietony w prasie codziennej.

W 1939 roku brał udział w obronie Warszawy, a potem znalazł się w Wilnie, gdzie Minkiewicz przez krótki czas był kierownikiem teatryku satyrycznego. Zmarł w tym mieście w maju 1940 roku w okolicznościach, które miejscowemu kółku plotkarskiemu dały okazję do skandalizujących póżeptów.

PROLOG

Poezjo, kędy wicher skrzydła z turni strąca,
Jak słowo przezroczyście, jak ciało gorąca,
Zanim kiedyś w epickie wmiędziesz mnie zawieje
Uchyl cynowej misy, niech się mowa leje
Potokiem, co mi taflę ciszy rozkołysze,
Od ust — strzelistym łukiem — do strof, które pisze,
A na ostatniej karcie tego poematu
Niechaj wiersz się z „Sofiówką” całuje cytata,
Niby z prastarą rzeką tej klasycznej mowy —
Od strony skalnych natchnień — bratni dopływ mowy...

Będzie rzecz o Warszawie... Nim nożyce Parki
Przetną mi nić żywota, na swe wątle barki
Biorę ten trud niemały, żeby dłonią drzącą
Zamknąć obraz stolicy w obrazach tysięcy.

Nie jestem z tego miasta. Moje gwiazdy pierwsze
Żalobił dym kominów, zakwesił wiersze
O czarnej i złej Łodzi, która z hukiem pali
Swe ceglaste godziny na fabrycznej tysiacy.

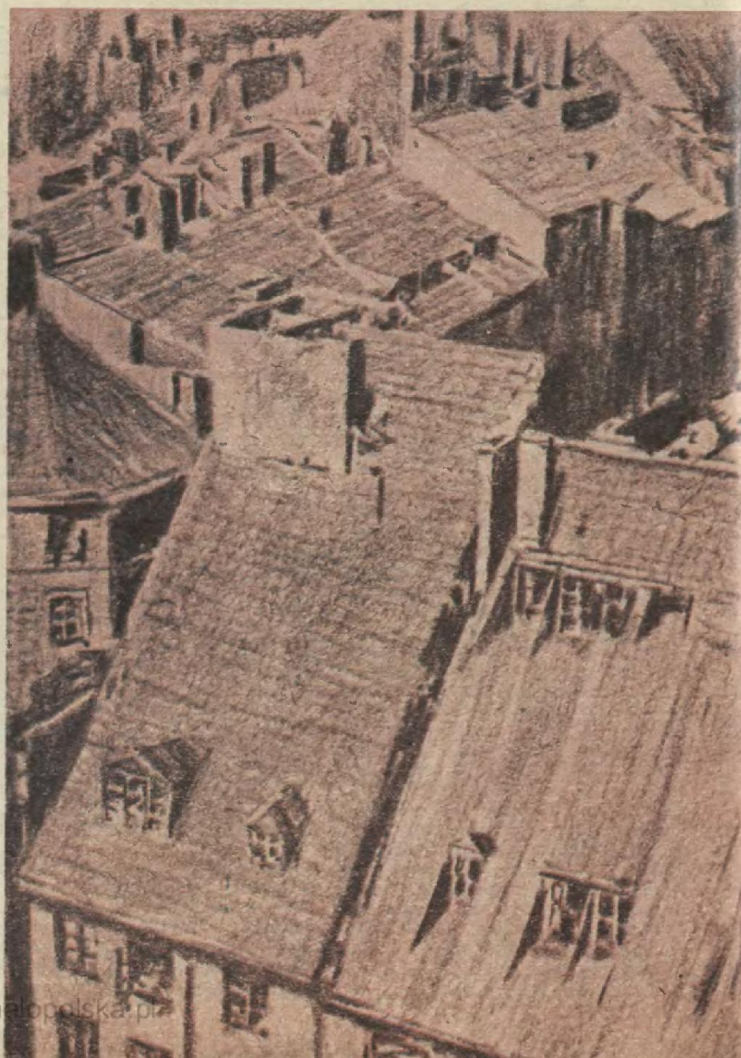
Dziś, odkąd do stolicy wwiodył mnie nadzieje,
Jej tzy rymują łzami, śmiechem jej się śmieję,
Sławie te strome bloki i w strzypach rudery,
Sterczące obok siebie, jak zmieszane sfery —
Te ulice, po których już chodzili w cieniu
Ci, co dzisiaj je zdobiją wykuci w kamieniu
I patrz na przechodniów, odgadując z góry.
Którego z nich ma przyszłość zakuć znów w marmury.
Te doliny wieczorów i wzgórze-poranki...
Jej dzień do siostry równam, a noc do kochanki,

I wielbię Cię Warszawo, tak bogato zgrzebna,
Ze kto Cię raz powitał, nigdy nie pożegna...

POEMAT

Tacy smutni i tłumni idziecie przez życie,
Ze opuszczacie głowy i w ziemię patrzycie.
Spojrzyjcie śmiechem w niebo, ustami do góry,
Na dachy, co na strzepy rwą warszawskie chmury.

Dachy na głowach domów są — porównań musze,
Niby na szczytach strojów różne kapelusze.
Jedne zawile w kroju, w myśl dawnej urody
Nakrywają domostwa starożytnej mody,
Z lotu ptaka je dojrzyś, kiedy bez ordynku
Skaczą jedne przez drugie, aż na Starym Rynku
Zwarte w ciżbę, sterczące — kamienny prostokąt —
Patrz, głowa przy głowie, ale na co?... Dokąd?...



Stare nakrycia domów z ubiegłych stuleci,
Gdzie obok nietoperzów fruwały poeci...
Na tutejszych poddaszach miauczały księżycy...
Tu nocowały gwiazdy, gdy szedł świt w ulice,
A zamiast anten zwisał gąszcz pajęczyn płowych,
Nawijanych na szpulki przez duchy krawcowych.
Dalej dachy Powiśla... Tutaj tratwy dachów
Płyną wezbranym brukiem do wiślanych piachów,
Wrócy krążą jak mewy, maszty w wietrze nuca...
To port, z którego fale uszły i nie wróca.

A inne?

Dachy Hożej, Wspólnej, Wróblej dachy
O! Namioty mieszczaństwa ze świszczącej blachy,
Szumiące sponad domów, jak garnków pokrywy...
Unieś... A buchnie odwar duszny i szczęśliwy...
(Przed bramą, kiedy nuda łamie się z niedzielą.
Stoi ślubna karetą, wsiada frak i welon).

W tych stronach rowy ulic, niebem w dachach cięte,
Trwają jak równe grzędy — nie strumienne, kręte.
Na nich kostki kominów rozrzucone sino,
Ażby kominarze grywali w domino.

Niech opadną gołębie z obłoków Warszawy,
Na Hożej znajdą dzisiaj błękitniejsze sprawy,
Na Wspólnej i na Wróblej zamieszkać powinny,
Skrzydłami bić o szyby i nurkować w rynny,
I spadać na ulice, plosząc brudne dzieci,
I rozkwitać trzepotem, gdy wóz wiezie śmieci,
Ale nigdy nie wędznąć wśród zimowych oków,
Bo gołębie — to paki, to kwiaty obłoków...
A co to są obłoki? Myślę proszę państwa,
Ze westchnienia poezji na niebach mieszczaństwa.

Tak! Dachy romantyczne, staromodne dachy,
One wiedzą, jak schody, na współczesne gmachy,
Kędy dach jak stół prosty masywny i gruby
Nakrywa światłocienie, szesciany i kuby.
Szkło w betonie, a słońce w tym szkłe o wieczorze
Tonie jak złota lilja na czarnym jeziorze.
Błoki pełne oddechu, w niebie wyrąbane,
Gdzie metal geometrie trzyma w ryzach szklane.

Oto są «Szkłane Domy». Trwają w równych szybach,
O nich to ongi marzył Cezary Baryka,
Aż zaciskając pięści, jak żeglarz u steru
Prowadził nawę tłumu do bram Belwederu.

Dzisiaj w sannie tramwajów, w koncercie klaksonów,
Gdy noc polyka słodkie landryny neonów
I miasto wyschłe usta ulic ciszą płucze,
Śnieżycą orłem białym w zaułkach się tłucze,
Wichura smaga jezdnię, mróz do bram się skrada,
A dachy płyną... jadą... Skalista armada...
Dokąd?

...Styczniowa ciemność białą nutą śpiewa...

— Tam?

...W łazienkowskim parku pustka, śnieg i drzewa...

Płyną...

Z Hożej, z Podwala... Z Powiśla i z Alej,
Minęły plac Trzech Krzyży... Płyną jeszcze dalej...
Domy, czy może groby?...
Pochód ich miarowy...

Aż pochylają dachy, niby czapki z głowy,
Przed dworem z drzew parkowych, szklącym się siwizną,
Kędy zamieszkał Człowiek, który był Ojczyzną.

Te kolumnady ganku — ubrane w ogrody,
Jak w leśne wieńce kędy szum — liści rapsody
Koncertem starych wiazów, bukietem kasztanów,
O dziejach swych dziedziców i chwilowych panów,
Aż na srebrne kolumny sine cienie kładzie,
Niby motyle nocy na dnia kolumnadzie, —
Kiedy mijasz wzruszony i wejdiesz na taras,
Bliskość pól za drzewami czujesz w sercu zaraz,
Bo przybywasz wprost z miasta do wiejskiego dworu,
Gdzie wszystkie okna komnat w oczy sielskość biorą,
Każda noc się gwiazdami ku posadzkom czał
I myśli ci bezsenne we wspomnienia mai:
Oto księżyc sprzed laty w ówczesne promienie
Spowija błąd pałac i parku sinienie,
Na szybach Belwederu sen się czerni z nocą,
Jedynie jedno okno światła lampy złocą,
A przez nie Cień, zgarbiony, surowy i szary,
Kładzie się na uśpione, słowiańskie bezmiary,
Otula polne dale, rzeki, knieje kryje,
Nad Kraków głowę skłania, sercem w Wilnie bije,
Nad cały brząsk tej ziemi światem się rozsuwa...
I zbudziła się Polska, a On jeszcze czuwa,
Aż słońce wyjdzie z mroku, który jest nad nami...

Ciemno nam, gdy Belweder z czarnymi szczybami,

Noc się do lamp nałata, niby sen do żrenic,
Girlandy świateł spadły jak wieńce z kamienic.
Siny mrok na ulicach, aż po dachy leży,
Księżyc spogląda z góry, jak turysta z wieży
I zwolna się dopala... Jedyni... Wysoki...
Bledszy pod gęstym niebem niż nocne obłoki.
Wtedy leśne ciemności, wtedy ciałe wiejskie
Na wylot przepływają przez godziny miejskie.



Aż z nocy granatowej, jak reflektor z morza,
Pastelowym pożarem wyróżzowi zorza.
I oto znowu domy widzisz i ulice,
Sine, jak uśmiech śpiących, niejasne, jak szkice.

Najpierwsze kół turkoty bulgocą daleko:
To wozy świt przywożą, wioząc w bańkach mleko.
Po jaskrawych jaskiniach, w muzycznych pieczarach
Jeszcze nocą wiruje walc w pijanych parach,
A już po śliskiej jezdni goni z opon sykkiem
Policjant rowerowy za babą z koszykiem.

Białe anioły sklepów pod żaluzje włożą,
Kładą skrzydła na wagach i warzywa ważą.
Wstydlive ranne słońce pali już rumieniec,
W domach budzą się windy, te serca kamienic.
Jakieś stopy po schodach grają wczesne gamy,
I ludzi, niby pestki, wypływają bramy...

Wtedy w halach targowych gwar jak słońce wschodzi,
Stragany giną w tłumie, jak wioska w powodzi,
Już tysiąc rąk się w koszach pełnych jarzyn nurza;
Poprzez stogi owoców idzie wrząca burza.
Drób wzbół śnieżycę pierza. Wreszcie tłum odpływa...
Jeszcze nad brukiem kura fruwa na wpół żywa,
Jeszcze na krwawej ładzie srebrna ryba tańczy,
A już ktoś zbiera z ziemi kilka pomarańczy.

W tej chwili śpiewające, czerwone tramwaje,
Rozwożą ku przygodom jak w dalekie kraje.
U dobrych konduktorów kupimy przesiadki,
Na ostatnim przystanku by się przesiąść w kwiatki,
W te bzy, jak łyzy słowicze, w wilgotne jaśminy,
I w niebiańskie minuty i w zielne godziny...
Całować młode wargi, zrywać mokre chabry...
Lecz nie... do biur jedziemy, do szkół i do fabryk!

Oto swój dzień powszedni trawić już zaczyna
Miasto sterczące z równin, jak z kwiatów maszyna;
Wy, cząsteczki składowe, jadące w tramwajach,
Nie śnijcie o błękitach, uśmiechach i majach.
Hej! Mutry w melonikach, śrubki w kapeluszach
Spieszcie, bo motor miasta zaraz z szumem rusza...
Osma na trzy minuty... Czas tu się nie cofa...
Nie traficie na miejsca — będzie katastrofa...

Teraz w stronę obłoków, co na dachach leżą,
Usta ulic w uśmiechu rzędy domów szczerzą,
Szyby dzwonią o szyby w blasku i błękicie,
Drzwi tańczą na przeciągach i tak się wietrzycie
O, zatechle mieszkania, jak groty na wietrze
Z łopotem stalaktyd... Powietrze... Powietrze...

A po pustych pokojach, stoły, krzesła, łóżka,
 Łażą wkońco... Sprzątanie... Aż pierwsza poduszka,
 A za nią wszystkie inne od kuchennej strony
 Jak krowy na pastwiska wlażą na balkony.
 Nieraz wtedy pytamy, widząc, że się biela:
 Czy pościel — obłokami? Obłoki — pościelą?
 Oto na jasnych żaglach wydętych firanek
 Odkotwiczone domy opuszczają ranek,
 Odbijają od jezdnii, jak z portów fregaty,
 W migotliwe południa, w płonące klimaty.

Już dyszy złotym pyłem, jak zapachem morza,
 Królewska, Marszałkowska, Wspólna, Wróbla, Hoża...
 Zatraskują się okna wszystkie w całym mieście,
 Od drzwi i od firanek wiatr odpływa wreszcie,
 Sprzęty są już na miejscach, a z balkonów owych
 Powracają poduszki, jak leniwe krowy.
 Jeszcze gdzieś fruująca po oknach dziewczucha
 Skrzydłami ścierek w szyby tłucze, niby mucha,
 A już miasto podpywa, jak nad złotą studnię,
 Nad pachnące gorącym asfaltem południe,
 A słońce, jak drwal jasny, przez szyby się wdziera
 I w posadzkach siekierą przereźble otwiera.

Gdy wśród ceglanych godzin pragniesz leśnej chwili,
 Szum wilgotnych ogrodów gąszczów ci uchyli.
 Przywabia cię galezie przez ogrodzeń kraty,
 Liściastymi łapami z traw zrywając kwiaty,
 Rozpruje ci się zieleń na kręte ścieżyny
 I pójdiesz... Z pełną nutą do miejskiej godziny...
 Przez te łąki w doniczkach o brzegach różowych,
 Zgarniając sponad głowy deszcz liści majowych,
 Które roją drzewa aż na dno wilgoci.
 Mijając groty cienia, gdzie się słońce złości,
 Wisząc u szpar poszycia, niby stalaktyty,
 Wyjdiesz owiany lasem i z miasta omyty
 Nad trawniki błękitne jak żółte sadzawki,
 Tam, zygziem zmęczenia przetrznieś fałdę ławki,
 Lekko zdejmiesz kapelusz i jakże bezradnie
 Pomyślisz, że są młyny i że na wsi ładnie...

Turkot miasta zacichnie ukwiecony w dali,
 A mózg odległy obraz znajdzie i utrwali:
 Stoisz nad stawem z flintą, cichy naksztalt drzewa,
 Od wieczorowej wody koncert trzcin ci śpiewa.
 W czerwonym zrębie słońca skwierczy rój komarów,
 Leniwiej mgły się snują, niżli kurz przez parów
 I tańczą tataraków niebieskie płomienie...
 — Dalej już jak w zwierciadle widzisz to wspomnienie:
 Wachlarz szumu nad głową i zryw dubeltówki...
 Srebrnym nurtem po niebie... Cyranki?... Krzyżówki?...
 I wystrzał w serce wiatru... Teraz pojmniesz może,
 Że ten strzał był na jezdni, że w karburatorze,
 Ze tutaj są Łazienki... Wstań, zostaw te ławy,
 Jak książki wpółotwarte, którychś nie ciekawy,
 Niech je czytają owe marzenia leniwe
 W szkolnych czapkach, w beretach, lub te oczy siwe,
 Co w żwirze wypatrują ćwierkliwych rozruchów,
 By starczą ręką żwawo usypać okruchów.
 I śmignijmy w głąb parku, jak bez troski dzieci,
 By spotkać się w klimacie minionych stuleci,
 Przy pałacu w obłokach, rzeźbionym z marmuru,
 Łabędziom na mieszkanie, kolibrom do wtóru,
 Tak lekkim, że sąsiedni staw się ani skłoni,
 Gdy odbicie kolumnad nosi jak na dłoni.

Pierwszego tu wrażenia nikt nigdy nie zatrze,
 Że nie wiesz, czy na jawę patrzysz czyś w teatrze...
 Czy z za zielonych kulis ku martwej widowni,
 Z łbem kosmatym a rudym jak płomień u głowni,
 Nie wpłasa faun zbudzony u najbliższej studni
 I kopytami w marmur rzeźbił zadudni,
 Aż jędrnej trzon kolumny ogonem owinie
 I zagra na patyku, jak na okarynie...
 A wtedy z piwnic stawu, jak spod mroków sceny
 Na oleodruk wyjdą warszawskie Syreny...
 Ale to chwila jeno i mija wrażenie,
 Oto prawdziwe życie choć życie na scenie:
 Posagi tu w klonowiu sterczą jak w jesieni
 I zółkną kryjąc nagość w strzepy sinych cieni,
 Murszeją na zielono, grzybieją na złoto,
 A łabędzie jak gęsi włoścą się z tęsknotą,
 Obkładają trawniki, jak białe anioły,
 Leniwie śledzą dzieci, co zwały ze szkoły...
 Wstają... Człapią po ścieżkach... Chcą się bawić piaskiem,
 Aż nagle drzwi pałacu wiatr otwiera z blaskiem,
 Więc kładą się wpatrzone w ów blask niespodziany,
 Myśląc: kto też opuści marmurowe ściany?
 Czy panowie błękitni i różowe panie,
 W cukierni słodkich strojów, w rokokowej pianie,
 By, perłac po tarasie jak menuet długi,
 Rozfrunąć się po parku: pawle i papugi...
 Czy też para baranków, bielszych niż obłoki,
 Wyjdzie na płaski taras przez portal szeroki
 I na czarnych racicach ślizgając się w żwirze
 Podbiegnie do posągów i stopy polizze?
 Nie — to wyszedł dozorca... Drzewa się kołyszają,
 Białe łabędzie szyje smukłe łuki piszą,
 Cały park się kolebie słonecznie, szeroko,
 Pałac odpływa z wolna, jak łabędź w szlafroku...

Kiedy wejdiesz do wnętrza ujrzyś zadziwiony,
 Że w źródłanych posadzkach kaplą się plafony.
 Parkiety ci wirują słonecznie i płasko,
 Podpływając pod stopy tym płomiennym blaskom,
 Które wołają przez okno, niż przez drzwi do sali,
 I gdy palisandrowych dotkną się spirali,
 A musną geometrie śliskiego hebanu,
 Wnet lekko o powierzchnię spłoszą się lustrzaną
 I zbudziwszy zwierciadła, z odbicia w odbicie,
 Zagrają złotą plamą klaszcząc na suficie,
 Aż nagle w fałdy portjer spiyną smugą jasną,
 Zaplaczą się w kotary i łysną i zgasną...
 Jaka to zwinną droga, któż o niej nie powie:
 Tak tylko chadza słońce, albo kochankowie.

Inne pałace miasta, marmurowe cudy,
 Otaczały drewniane stajnie, kłitki, budy,
 Pomieszczenia dla koni, bydła i fagasów,
 Ku wygodzie trafniejszej możnych owych czasów.
 Potym, z tego pospólstwa zlej architektury,
 Wyrosły trzypiętrowe kamieniczne mury,
 Domostwa świeżych mieszczan. Stąd w nowszej dzielnicy
 Często pałac z podwórza, a dom od ulicy,
 I w odrapanym wnętrzu budowli stylowej,
 Warczy pokątny warsztat, czy ruch wre sklepowy.

Lecz niektóre z nich jeszcze żyją jasnym życiem,
 Więc u chłodnych kolumnad sznury aut ujrzycie,
 A przez korony klonów, upiętych cieniście,
 Rzędy okien w ulice jarzą się rzęsiste,
 Krusząc się z blaskiem gmachów, kędy pięter fale
 Rozgwieździły już miasto lampozbiorem w dale...

Złamała się Warszawa na wysokiej skarpie,
 Ku Wiśle wartkim brukiem prąd uliczek szarpie,
 I porywa rudery w gęsty tabor zbite,
 Na to życie zatęchłe, deskami poszyte...
 Na te godziny przasne, tłumne i niczyje,
 Kędy wiatr żółtym kurzem szare twarze myje...

Wśród tych ruin w łachmanach, jak zamarłe muchy,
 Jacyś w ciżbach bolesnych i w ekatach głuchych,
 W krajobraz ścian wlepieni sterczą, jak przez wieki.
 Nad nimi płyną dachy, a pod nimi ścieki...

U zaułków szczerbatych, u chodników kusznych
 Martwo rosną nad brukiem, jak czarne kaktusy.
 Tworzą wyschłe ukwiały, czy napuchłe krzewy,
 Tacy ślepi na deszczu czy słońca zalewy,
 I tylko, gdy po jezdni turkot gruzów wali,
 Kołyszą się jak rafy... Tak się będą chwiali,
 Wodzili spojrzieniami w zamyśleniu tępych
 Za brukiem hukiem wozów rwącym tentent stępem...

Gdy hałas cały w kurzu zniknie za zakrętem
 Pogasną rozkołysy jak nigdy nieknięte
 I znowu owe tłumy, z okrzykiem kamiennym
 Będą rzeźbić Powiśle milczeniem brzemienym.
 Czy znasz z podróży złotych szkolnej geografii
 Piwnice głębin morskich, poszycia i rafy?
 Pokłady den zielonych, światy stronnych dali?
 Groty ciał nieruchomych? Podłogi z korali?
 ...Wszak czytałeś... By potem, strojny w czernie sennie
 Zapadać w rybnych wieńcach w słupy wód bezdenne!

Jakże inne dno miasta wiersz mój urealni:
 Wieczór płucze Powiśle siną farbą z pralni,
 Strzepy dachów na niebie suszą się i murach,
 Niby bielizna nędzy sztywna i ponura...
 Z za węglów mrok wyrasta mokra ścianoroślą,
 Jeszcze domy ćmią gwarem, lecz już w szynkach głośno.
 I właśnie z dna rumowisk, ze szczelin podwórka,
 Zapieje gdzieś harmonja tango, czy mazurka
 I nim zdąży z za szyby landrynowa puszka
 Kolorami zadzwonić w dziecięce serduska,
 Nowa noc jak jezioro wezbrane przypliwem
 Przeleje groble ulic żywiołem leniwym.

Gdzieś po ulicy Topiel, jak po miejskiej toni
 Schodzą anioły latarni, każdy z gwiazdą w dłoni,
 I tańczą jednonogie, świecąc w oczy zbliśka
 Parom co tu się snują w miłosnych uściskach,
 Albo śpiewnym pijakom, co o chwiejnym murze
 Stapają w plamy blasku, jak strojniś w kałuże.

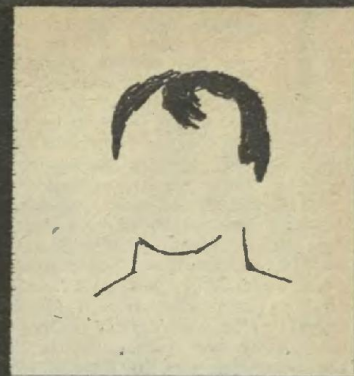
Owe pochody świateł, chwiejne, migotliwe
 Kołują ulicami poprzez gwiazdną niwę,
 Stają przy grobach domów, jak złote gromnice,
 Odwijają z ciemności zamarłe ulice
 I czarnym karnawalem przez sine obszary
 Wychodzą na nadbrzeżne liljowe bulwary,
 By klucząc po zieleńcach jasno i w okolo
 Pluskać światłami w Wiśle z gwiazdami pospołu...

DALSZY CIĄG ZA TYDZIEŃ

FRYZURA TEŻ OKREŚLA CZŁOWIEKA

Spróbuj odgadnąć nazwiska słynnych ludzi, jedynie na podstawie owłosienia ich słynnych głów. Jest ich w sumie szesnaście — osiem „nie naszych” i osiem polskich. Są wśród nich władcy, uczeni i artyści, a także jeden emeryt znany tylko z „Przekroju”.
Miłej zabawy! Rozwiązanie u dołu strony.

RYŚ. ZBIGNIEW LENGREN



1



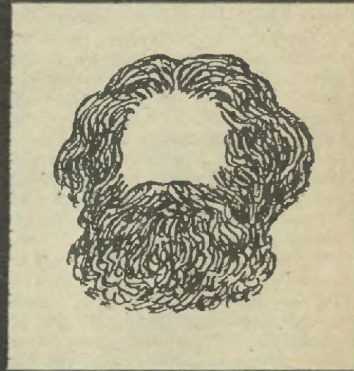
2



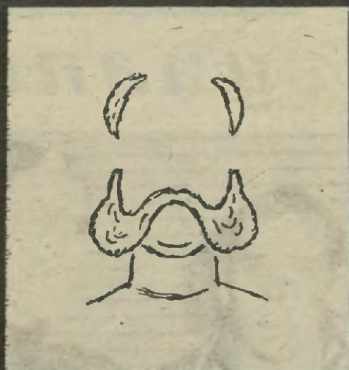
3



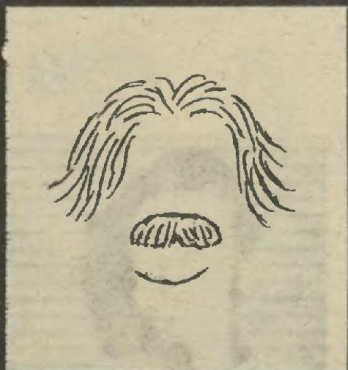
4



5



6



7



8



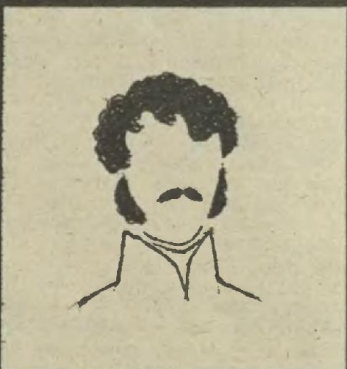
9



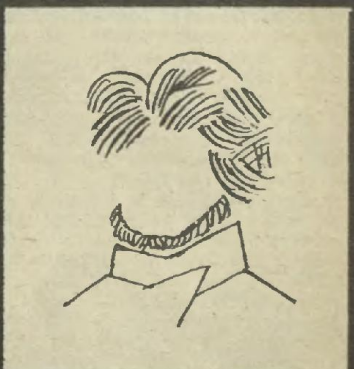
10



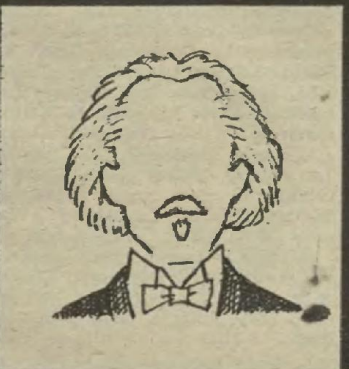
11



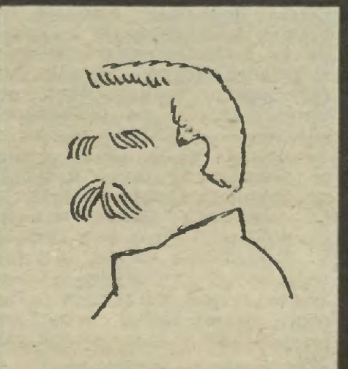
12



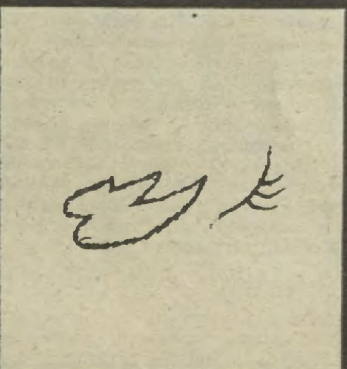
13



14



15



16

1) Napoleon Bonaparte, 2) Lew Tol-
stoj, 3) Wilhelm II, 4) Ludwig van Bee-
thoven, 5) Karol Marks, 6) Franciszek
Józef, 7) Albert Einstein, 8) Charlie
Chaplin,
9) Mikołaj Kopernik, 10) Jan III So-
bieśki, 11) Hugo Kollataj, 12) Józef
Poniatowski, 13) Adam Mickiewicz,
14) Ignacy Paderewski, 15) Józef Pił-
sudski, 16) profesor Filutek.

Idea była w zasadzie najsłuszniejsza. Wiadomo już od wieków, iż Polska nie leży na szlaku wielkich zdarzeń kulturalnych i bodaj każdy polski artysta, który chciał zrobić autentyczną, światową karierę, musiał najpierw przeprowadzić się tam, gdzie krzyżują się drogi sławnych impresariów, gdzie występy na scenach czy estradach dają nie zaściankową, lecz co najmniej europejską popularność, gdzie są znawcy, jest publiczność, no i są pieniądze. Nie wiadomo, czy słyszałby ktoś dzisiaj o Chopinie, gdyby we właściwym czasie nie przeniósł się do Paryża, nie inaczej postąpili później: Paderewski, Rubinstein, Małcużyński, dzisiaj — Zimmerman. Przenieśli się z kraju wielcy skrzypkowie — Huberman i Szeryng, podobnie sławni śpiewacy — od Braci Rezsze i Sembrich-Kochańskiej, przez Kiepurę, aż po Zylis-Garę. Z dyrygentów — choćby nasz największy, Rodziński, z aktorek — Pola Negri, z reżyserów — Ryszard Bolesławski, potem Polański, potem Skolimowski, a z pisarzy — niemal wszyscy: od Mickiewicza i Słowackiego, aż po Miłosza i Mrożka. Rozumiał to także Penderecki, który w kraju osiadł na dobre dopiero wtedy, gdy pozycję w świecie miał już nie do zachwiania. Trzeba dać losowi szansę; stare polskie porzekadło: „siedź w kącie, znajdują cię”, akurat w tym przypadku jest zupełnie bez sensu, zresztą w ogóle nie grzeszy przesadną mądrością.

Tak więc, Marek i Wacek wyjeżdżając do Paryża, postąpili słusznie, tyle że ich racje miały się okazać oczywiście dopiero po pewnym czasie, początkowo nie było im łatwo. Wielkie stolice kochają ludzi wielkiego sukcesu, natomiast nie zwykły troszczyć się o tych, którzy ten sukces dopiero sobie planują; jeżeli są rzeczywiście zdolni, dadzą sobie radę bez niczyjej pomocy, atmosfera wielkiego świata powinna im wystarczyć, jeśli zaś zdolni nie są, to po co zwracać sobie nimi głowę?... Ulokowali się początkowo w małym hoteliku, z nadzieją, że być może już wkrótce przeniosą się do Ritza. Wyszło trochę inaczej: musieli przenieść się do umeblowanego mieszkanka odnajmowanego prywatnie, mały hotelik też bowiem okazał się za drogi; pieniądze topniały, nadzieje na podbicie świata, lub przynajmniej Francji, topniały również. Oczywiście, nie byli zupełnie bez pracy; niejednokrotnie występowali w programach telewizji francuskiej, kilkakrotnie w Hiszpanii — w tym także na Majorce jako atrakcja galowego koncertu festiwalu piosenki, w Kopenhadze, gdzie do nagrania półgodzinnego programu zaprosił ich — wraz z Krysią Mazurówną — Marian Marzyński z warszawskiej TV, który mniej więcej w tym samym czasie co oni wyjechał z Polski, tyle że już na stałe. W Sztokholmie uczestniczyli w telewizyjnym show popularnej angielskiej piosenarki Lulu, a w rezultacie otrzymali propozycję wyjazdu do Anglii, na tournée z inną gwiazdą brytyjskiej piosenki, Cillą Black — w ostatniej chwili jednak kontrakt nie doszedł do skutku z powodu protestu angielskich związków zawodowych, sprzeciwiających się angażowaniu cudzoziemskich artystów...

Coraz częściej zaczęli też występować w RFN — zwłaszcza w Baden-Baden; przepiękna miejscowość kuracyjna, idealnie usytuowana — w pobliżu Stuttgartu, Strasburga i Bazylii — słynie w świecie z ciepłych źródeł leczniczych, posiada nie więcej niż 50 tysięcy stałych mieszkańców, na-

tomiast mnóstwo kuracjuszy, turystów i... utracjuszy spędzających czas w jednym z najsłynniejszych w Europie kasyn gry. Marlena Dietrich nazwała je najpiękniejszym w świecie — istotnie, salony gry przypominają raczej salony zamków nad Loarą, cudownej piękności jest także teatr w Domu Zdrojowym, w stylu Ludwika XIV. Wszystko wspaniale odrestaurowane, zadbane, bogate, ostatecznie pieniądze płyną tu niezmiennie szerokim strumieniem. To właśnie ze względu na kasyno Marek i Wacek tak bardzo lubili przyjeżdżać do Baden-Baden i w rezultacie tak często tu bywali, iż przyznano im nawet... dożywotni wolny wstęp do kasyna. Trudno powiedzieć, aby przyniosło im to jakieś odczuwalne oszczędności — wręcz przeciwnie; no, bo niby jeśli wstęp wolny, to wypada skorzystać, a jeśli już się wejdzie, to wypada grać, no, a jeśli się gra?

Wacek uwielbiał wszelkiego typu gry hazardowe. Znał wszystkie kasyna w Europie, we wszystkich grywał. W większości przegrywał — prowadził zresztą skrupulatny wykaz własnych strat i zysków; te pierwsze tak znacząco przewyższały te drugie, iż swym wykazem nie chwalił się przed nikim, a już najmniej przed Markiem, który nie pochwałał takiego sposobu pozbywania się pieniędzy, będąc człowiekiem bardziej zrównoważonym i bardziej oszczędnym. Tak czy inaczej, aby móc przegrywać, trzeba było grać... na fortepianach. W Saarbrücken wraz z orkiestrą Helmuta Zachariasa występowali w programie transmitowanym przez Eurowizję; w Wiesbaden — w programie Dalidy i Karela Gotta; na wyspie Sylt nagrali jeden z najdziwniejszych programów w swej karierze: dwa fortepiany dowieziono na plażę, Marek i Wacek, niezwykle wytworni, we frakach, parę utworów grali... na dnie morza. Po prostu w czasie odpływu fortepiany ustawiono wśród wodorostów i musieli na mokrym piasku — grali na nich, lecz około czwartej po południu musieli szybko uciekać, chlapiąc lakierkami po wodzie, ponieważ fala przypląwu zaczęła się gwałtownie przybliżać. Woda, to zresztą była ich, ponieważ, specjalność. W telewizji duńskiej, przez instrumenty, przy których siedzieli (oczywiście, były to atrapy, grali z playbacku) przelewano gigantyczne ilości wody, imitując sztormową falę; w telewizji w Helsinkach — w studiu wybudowano basen, fortepiany znajdowały się na dwu pływających po wodzie tratwach; w pewnym momencie Marek skakał do wody ze swej tratwy, dopływał do Wacka i drugą część zaczętego utworu kontynuował, grając z nim na cztery ręce. Tym razem, na szczęście, ubrano ich już nie we fraki i lakierki, lecz w kostiumy kąpielowe, stylizowane na lata 1920.

W RFN zaczęli powolutku zyskiwać pewną popularność, co w rezultacie zaowocowało kontraktem z wytwórnią Polydor i nagraniem dla niej pierwszego long-playa: „Piano Firework” — „Fortepianowy fajerwerk”, który ukazał się w roku 1969; w zasadzie powtórzyli na nim utwory nagrane kilkanaście miesięcy wcześniej dla Polskich Nagrań, jedynie z dwiema drobnymi zmianami: odpadły adaptacje „Chciałabym, a boję się” i Beethovenowskiego „Allegretto”, na to miejsce weszły parafrazy „Marzeń miłosnych” Liszta i Preludium b-moll Chopina.

Mieli więc pracę, nie stali na uboczu, ale nie była to jeszcze kariera, o jakiej myśleli. Pojedyncze koncerty, najczęściej wspólne z innymi artystami, występy nie we własnych programach telewizyjnych, lecz „obok”

gwiazd — to, oczywiście, nie dawało im pełnej satysfakcji, nie mówiąc o tym, że nie przynosiło również zawrotnych zarobków — jedynie tyle, że wystarczało to na biedniutką paryską egzystencję. W roku 1970 udało im się załatwić rzecz bardzo dla nich korzystną, mianowicie: mieszkanie w Cité des Arts — w czymś w rodzaju domu akademickiego dla studentów i stypendystów szkół artystycznych z całego świata. Dom był (jest zresztą nadal) cudownie położony, na nabrzeżu Sekwany, naprzeciw wyspy św. Ludwika, a jego pokój, to po prostu znakomicie wyposażone garsoniery — z łazienką, kuchnią, salonikiem i sypialnią — wszystko dosłownie za grosze, obliczone przecież na studenckie kie-

Wacek na lekcji u prof. Zbigniewa Drzewieckiego (1962 r.).



PARVŹ

CZYLI

zaczynanie



Na zapleczu „Olympii”, z Jacquesem Brelm (1967 r.).

szczenie. Żył się tam wspaniale — wśród cudownych ludzi (sami młodzi artyści różnych specjalności), i w gromadzie zmieniających się ustawicznie sublokatorów; do Paryża dojeżdżało mnóstwo ich znajomych i przyjaciół z Polski, którzy korzystali z gościnności i wygodnego lokum; zdarzało się, że w pokoju Marka i Wacka nocowało pokotem, na podłodze, po kilkanaście osób. Było wesoło!

Zaczynały się w ogóle jak gdyby nieco lepsze czasy, a Wacka szczególnie ucieszyła propozycja, jaką otrzymali z Cannes: w sierpniu 1970 grali przez dwa tygodnie w Palm Beach Casino — zatem znów w jednym z miejsc, o jakich Wacek zawsze marzył i w jakich nigdy się nie nudził, nawet jeśli przyszło mu w nich spędzić całą noc.

A więc bajeczne Palm Beach Casino, na skraju bulwaru Croi-

sette. Galowe kolacje na cele charytatywne, znów damy obwieszone sklepami jubilerskimi i wyportowani mężczyźni, znów herby, znów liberie i krzyżujące się nazwy najwykwintniejszych dań: Le Suprême de Loup à l'Ecoissaise, lecz przedtem Le Cantaloup Glacé au Porto; Le Quartier d'Agneau Persillé może być, lecz lepiej Les Haricots Verts Frais de la Vallée, szampan Charles Heidsieck Royal z dobrego rocznika, lecz również Le Pouilly Fumé „Ladoucette”... Cichuteńki stuk srebra starał się nie przeszkadzać, gdy Marek i Wacek, w białych smokingach, z kwiatami w butonierkach, smakowitym daniem towarzyszyli smakowitą muzyką. Zwłaszcza Wacek cenił takie kolacje, cenił dobre jedzenie i znał się na nim — choć był tak szczupły, że na to nie wyglądał. Mawiał, że pracą, którą naprawdę by polubił, byłoby opra-

cowywanie dla Michelina przewodników po europejskich restauracjach — wędrowanie po Europie i smakowanie wyszukanych dań, degustacja najlepszych win, ocena dyskretnej i zwinnego obsługi, no, a przy okazji mogłyby zawsze skoczyć na chwileczkę do pobliskiego kasyna.

W Cannes miał pod tym względem idealnie, ledwie dwadzieścia kilometrów do Monte Carlo, a na miejscu wcale nie gorsze Palm Beach; czy mógł się opierać pokusie? Mógł, lecz jak długo? Gdy ostatniego dnia pożegnali już dyrekcję lokalu i w portfelach unosili honorarium za dwa tygodnie grania, Wacek zdecydował się wstąpić jeszcze na parę minut do kasyna. Marek pojechał do hotelu; nazajutrz mieli występ w Wiesbaden, Chcieli wcześniej wyjechać samochodem, postanowili pójść spać przed tym ciężkim dniem. Wacek zresztą też nie myślał siedzieć długo przy rulecie, też potrzebował snu, no, ale na chwilę?

Około 3 nad ranem zorientował się, że przegrał całe honorarium. I to tak dokładnie, iż nie miał na taksówkę i musiał piechotą wracać do hotelu; drobiazg, ledwie 3-4 kilometry. Rano, dobudzony przez Marka, nie odważył się przyznać do wczorajszej totalnej porażki. Szepnął tylko:

— Kup jakieś papierosy. Pieniądze mam w walizce, nie chce mi się teraz wyciągać, później ci zwrocę.

Marek kupił, jednakże za chwilę zatrzymali się, aby nabrać benzy-

muzyki duetu z jej tańcem nie sprawdziło się — żadna telewizja (poza przyjacielem Marzyńskim w Kopenhadze) nie zainteresowała się taką formułą spektaklu. Krystyna musiała więc szukać pracy na własną rękę, gdy zaś rozeszły się ich drogi zawodowe, gdy z konieczności widywali się coraz rzadziej, zajęli każde swoimi sprawami, każde z nich zaczęło też życie prywatne, osobiste układać sobie po swojemu. Wacek poznał młodą studentkę warszawskiego Studium lingwistyki stosowanej, Joannę Walentynowicz; wyjechała z kraju na jakiś czas, aby pogłębić znajomość języków, pracowała przez parę miesięcy w Londynie, w chińskiej restauracji (choć to angielski, nie chiński był jej specjalnością), potem dotarła do Paryża i Wacek spotkał ją na towarzyskim spotkaniu u przyjaciół. Spotkał, zainteresował się nią — a ona nim. Zaczęli przebywać ze sobą coraz to częściej i częściej, snuli już nawet pewne plany na przyszłość.

Marek również nie był w Paryżu samotny. W roku 1969 poznał ładną brunetkę z artystycznej rodziny, Agatę Preyzner. Mieszkała w Paryżu już od czterech lat; w Warszawie usiłowała dostać się na Akademię Sztuk Pięknych, nie przyjęła jej jednak z braku miejsca, rok później wystartowała z kolei do Szkoły Teatralnej — z takim samym lub raczej z podobnym rezultatem: przyjęto ją, lecz skierowano na studia do Krakowa... Nie chciała tam studiować, nato-

Dlatego też chętnie przyjął ofertę, z jaką zgłosiło się do nich małżeństwo z Düsseldorfu, Ingrid i Dirk Tillenowie. Obserwowali oni od pewnego czasu działalność obu pianistów, dostrzegli pewną nieporadność, jaką przejawiali w załatwianiu i organizowaniu swoich spraw, uważali, że mogą osiągnąć znacznie więcej, niż dotychczas osiągnęli, krótko mówiąc: zaproponowali im przystąpienie do ich agencji impresaryjnej. Dla Marka i Wacka oboje byli całkowicie obcymi ludźmi, nigdy dotychczas nic o nich nie słyszeli, lecz — szczerze mówiąc — nie mieli żadnego wyboru, toteż zaakceptowali współpracę z Tillenami, i oni przejęli odtąd wszelkie ich interesy na zachodzie Europy. „Na zachodzie Europy” — to może za dużo powiedziane. Tillenowie mieli dobre kontakty i mieli wypracowaną już niezłą pozycję jedynie na terenie RFN i Austrii, no — może jeszcze w Szwajcarii. Z góry zatem skreślili ze szlaków artystycznej ekspansji Marka i Wacka Francję, jako teren dla nich nie do zdobycia. Uzgodnili też, że po wygaśnięciu kontraktu z Polydorem, duet nie będzie go odnawiał, natomiast podpisze kontrakt z Electrolą — na nieco lepszych, korzystniejszych warunkach. Producentami ich następnych płyt mieli być teraz Tillenowie — pierwsza mogła ukazać się dopiero w roku 1973, aby być w zgodzie z Polydorem, ale za to Tillen zaplanował na ten rok wydanie od razu dwu longplayów. Chodziło o to, aby Marek i Wacek weszli na rynek zachodniemiecki przebojem; ze sporym rozgłosem przygotowywał im jednocześnie duże tournée po RFN — ich pierwszą, prawdziwie profesjonalną trasę koncertową na Zachodzie. Wacek mówił potem: „Za prawdziwy nasz pierwszy recital uważamy koncert reklamowy w maju 1972 w Düsseldorfie. Był poprzedzony dużymi plakatami, prospektami, wywiadami, zdjęciami, anonansami w prasie, sześcioma występami w telewizji. W efekcie — mieliśmy pełną salę; zdobyliśmy Düsseldorf. W RFN trzeba bowiem zdobywać poszczególne miasta osobno, nie wystarczy sukces w jednym z nich... Zdobywanie następnych przyszło z czasem, natomiast Polydor pożegnał ich szybkim wydaniem podwójnego albumu, w którym za „Sonderpreis”, czyli specjalną, okazyjną cenę, sprzedawał obie wydane u siebie płyty; chciał po prostu wydręnować rynek z zapotrzebowania na Marka i Wacka, nim konkurencyjna Electrola wyjdzie z ich nowymi nagraniami.

Tournée po RFN przyniosło autentyczny, wielce obiecujący sukces — współpraca z agencją Tillenów zapowiadała się więc jak najlepiej, sale były pełne, recenzje doskonałe, a to w pewnym stopniu wpłynęło na decyzję Wacka... powrotu do kraju. Powody tej decyzji były, jak sądzić, dwójakie. Po pierwsze, po trzech latach pobytu za granicą i po doświadczeniach ostatnich miesięcy doszedł do wniosku, że mają minimalne szanse kariery na rynku francuskim, natomiast — wielką szansę zdobycia wspaniałej pozycji w RFN. W RFN jednak na stałe mieszkać nie zamierzał, a jeśli tak czy tak miał dojeżdżać tam „w interesach”, to wolął to robić z Warszawy, nie z Paryża. Od „swow-ich”. Bo po drugie (lecz na pewno ważniejsze) musiał już wracać ze względów, jeśli można się tak wyrazić, zasadniczych.

Musiał wrócić, bo największą fascynacją jego życia nie była wcale muzyka, grał, bo lubił fortepian, cieszyło go to, bawiło, pozwalało czuć się obywatelom świata, dawało niezależność finansową,

niemniej tak naprawdę żył nie muzyką, żył Polską. Polskimi sprawami. Nie wyobrażał sobie już dłuższego pobytu za granicą; wiele rzeczy martwiło go u nas i gniewało, niemniej od żadnej z nich nie chciał uciec, każdą chciał przeżyć razem z innymi, bo zawsze miał świadomość, że jest częścią tego społeczeństwa i tego kraju. W przeciwnieństwie do trzeciorzędnych artystów, o ustach pełnych gazetowych frazesów, nigdy nie uważał się za „ambasadora polskości”, czy „polskiej kultury”, ale jednocześnie bodaj nikt tak jak on nie umiał cudzoziemców przekonywać do Polaków; jego pasją było wyjaśnianie im naszych skomplikowanych spraw i obrona naszych narodowych cech, nie zawsze przecież będących w poważaniu u innych. Musiał też wrócić ze względu na rodzinnych. „Klan Kisielewskich” — to rodzina złączona niezwykle silnymi więzami, utrzymująca bliskie, codzienne kontakty także i dziś, gdy każde z dzieci założyło już własny dom. Znakomicie się rozumieją, mają wspólne zainteresowania, wspólnych przyjaciół, z rodzicami, z ojcem, dyskutują na zasadzie równorzędnych partnerów — Wacek uwielbiał takie dyskusje ponad wszystko!

W Paryżu zostawił Krystię Mazurównę, która już urządziła się jako w Paryżu, z mężem — francuskim muzykiem. Marek natomiast postanowił pojechać z nim do Polski, lecz wiedział, że szybko tutaj wróci. Jemu odpowiadał Paryż, on czuł się tutaj dobrze, zresztą — może też i dlatego obierali różne strony, że Joasia Walentynowicz jechała do Polski, zaś Agata Preyzner znalazła właśnie znakomitą pracę w prestiżowym wydawnictwie Gallimarda, a jej ilustracje i grafiki zyskiwały tutaj coraz lepszą opinię?

18 maja 1971 dali jeszcze koncert w Cité des Arts, gdzie przeżyli tyle wspaniałych dni. W sali im. Edmonda Micheleta, nazwanej tak ku pamięci zmarłego niedawno ministra stanu do spraw kultury, wystąpiły tego dnia dwa duety fortepianowe, mieszkające w tym artystycznym domu. Francuzki Catherine Colard i Anne Queffelec grały na dwu fortepianach muzykę poważną — Brahmsa, Griega i Szostakowicza, a Marek i Wacek — swoje parafrazy. Pisał w „Przekroju” — dość naiwnie, choć miło — Zygmunt Broniarek: „U Francuzek zadziwia wysoka jakość gry, ale i coś, co się odbiera bardzo sympatycznie: oto przy fortepianach siedzi dwóch młodych chłopców, zaszczepiających prawdopodobnie zapatrzonych w obie Francuzki, lecz na koncercie — w nuty: są istotnie od przewracania stron w partyturze. Nie potrzebują takiej instytucji nasi dwaj pianiści — wszystko umieją na pamięć — i Mozarta, i Beethovena, i Mendelssohna, i Moniuszkę i nawet... nieodżałowanego Komedę. Gdy tylko uderzają w klawisze — sala dosłownie zamiera. Technika wprost cudowna, melodie przepiękne, a do tego — obaj pianiści — to aktorzy, komicy, którzy potrafiają jednym przejściem — od rytmu gwałtownego, burzliwego, szybkiego — uderzyć lekko i wywołać śmiech i oklaski. Był to sukces tak samo kompletny jak sala; najbardziej chyba podobały się „Przańszczki” i „Oczy czornorzyje” wykonane oryginalnie, z werwą i tempem oszalałającym. Gratulacjom nie było końca”.

Takie to było to pożegnanie Paryża. Wiosną 1972 ruszyli do Polski; jeden na stałe, drugi — tylko na chwilę.

(Fragment książki „Marek i Wacek — historia przewodniczą”, która ukaże się nakładem wydawnictwa „Pomorze.”)

od ZERA

ny. Zawsze, gdy razem podróżowali samochodem, benzynę płacili po połowie, tym razem Wacek znów musiał kręcić:

— Wiesz, pieniądze w walizce... Zapłać, wieczorem ci oddam.

Przyjechali do Wiesbaden około piątej po południu, do koncertu pozostało im około trzech godzin. Wacek postanowił więc wykorzystać ten czas, jak umiał najlepiej. Pożyczył od Marka jeszcze trochę marek pod pretekstem, że ma jedynie franki, a nie chce ich wymieniać, pobiegł do kasyna i... w dwie godziny odegrał to, co wczoraj stracił, nawet z małą nadwyżką! Ot, życie!

Był urodzonym hazardzistą, przeczytał wszystko, co na temat hazardu napisano. „Gracza” Dostojewskiego i „24 godziny z życia kobiety” Zweiga cytował z pamięci w obszernych fragmentach, a w szufladzie miał własne archiwum wycinków prasowych dotyczących hazardowych afer. Zajrzał tam kiedyś: były to przeważnie wycinki z „Expressu Wieczornego” — wynotowałem sobie kilka tytułów: „Rozbił bank w Monte Carlo i zmarł w nędzy”, „Urzędnicy kasyna — oszustami”, „Rozbicie banku w jugosłowiańskim kasynie gry”, „Popłoch w kasynie w Monte Carlo: trzej kreziusi z Arabii usiłują rozbić bank”, „Też rekordzista — 66 lat w więzieniu” (o facie, który m. in. został „skazany na dożywocie za zamordowanie partnera przy grze w pokera”)...

Ich życie zawodowe coraz bardziej koncentrowało się na terenie Republiki Federalnej, natomiast życie towarzyskie i uczuciowe — w Paryżu. Stosunki Wacka z Krystyną Mazurówną całkowicie się rozluźniły; doszli oboje do wniosku, że zamierzone przez nią i przez Wacka łączenie

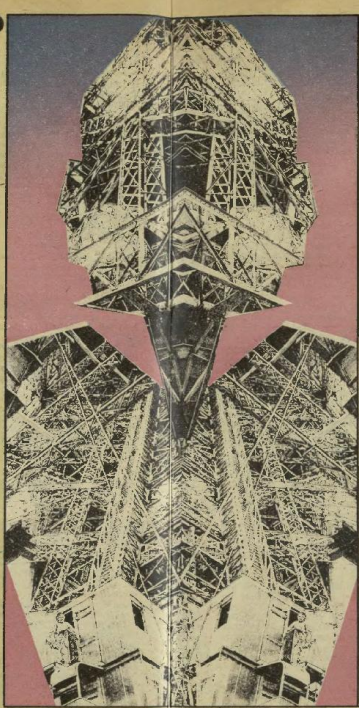
miast gdy w roku 1965 otworzyła się przed nią szansa wyjazdu do Paryża do École Supérieure d'art moderne, to, oczywiście, z niej skorzystała. Kiedy Marek ją spotkał, skończyła właśnie studia, rysowała i malowała świetne ilustracje do książek, projektowała plakaty reklamowe i rozglądała się za jakąś interesującą a stałą posadą. Obaj pianiści byli więc zaangażowani uczuciowo, niestety, obaj musieli myśleć nie tylko o sprawach serca; kontrakt z Polydorem domagał się nagrania kolejnej płyty.

Repertuarowo drugi longplay dla Polydora opracowywali jeszcze na identycznej zasadzie co pierwszy — znów adaptację klasyki i rozrywkowych melodii. Z tych pierwszych przygotowali m. in. tematy z „Lohengrina”, „Traviaty”, „Carmen” i II Rapsodii Liszta, z pop music — modną w owym czasie melodię z „Love Story”, jazzowy standard „Tea For Two” Youmansa, „Raindrops Keep Fallin' On My Head” Bacharach, „In the Summertime” Dorseta, itd. Tym razem opracowali wszystko z orkiestrą Hansa Bertrama, który był zarazem producentem całości, nazwanej „Classical and Pop Pianos”. Czy była to dobra płyta? Można, naturalnie, odpowiedzieć na to słowami szefa nagrań od Barcelaya: „Jeśli ją kupują, to znaczy, że dobra, jeśli nie — znaczy, że zła”. Chyba jednak nie zawsze taka opinia jest słuszna. Na rynku, na którym tak wiele się dzieje i tak wiele sprzedaje, sama jakość już dzisiaj nie wystarcza — konieczna jest reklama, promocja, a tej jak gdyby Polydor duetowi nie zapewniał; coraz bardziej odczuwali brak kogoś, kto troszczyłby się o ich interesy i kto umiałby się odnaleźć w tej dzungli, jaką jest światowy show business.

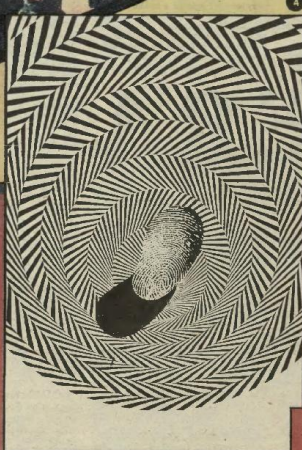
Bez tytułu...



2



Z tytułem...



Bez tytułu... Z tytułem...



Wybrań sobie, drogi Czytelniku, że oto jesteś organizatorem maratonu filmowego. Możesz pokazać wszystkie dzieła, które do tej pory zostały nakręcone w kraju i za granicą. Wybór filmów — dzięki dobremu układowi towarzyskim — masz nieograniczony. Natomiast z plakatem, które mają reklamować filmy, jest pewien kłopot: okazało się, że nie ma na nich napisów. Chociaż sytuacja jest trudna, masz się przecieć na kłopot, masz wybrać, potrafisz uzupełnić brakujące tytuły filmów.

Jeśli jesteś gotów, zapraszamy do naszej zabawy. Wypełnij kupon, naklej go na kartkę postową i wyślij jak najszybciej do redakcji „P”.

Trafne i dowcipne propozycje otrzymają udział w losowaniu komputera.

Bez tytułu...	Z tytułem...
1.	
2.	
3.	
4.	
5.	
6.	
7.	
8.	

Nazwisko i imię _____

Adres _____



PRZYPISY

tyczy narodzin, i to takich, jakimi zawsze powinny być narodziny dziecka oczekiwanego z miłością i szacunkiem, niosącego światu nadzieję. Chodzi tu o ludzi biednych. Starofrancuska ballada ukazuje Marię i Józefa nieśmiało-szukających w Betlejem jakiegoś schronienia na miarę swoich możliwości; zewsząd odsyłani — miejsca zachowuje się dla lepszych, bogatszych klientów — zostają w końcu przyjmowani przez jednego z właścicieli, który „mieniłby ubóstwa”.

Boże Narodzenie jest świętem ludzi dobrej woli — jak to określała piękna formuła, którą nie zawsze, niestety, odnajdujemy we współczesnych wersjach Ewangelii — od głuchoniemych służy ze średniowiecznych opowieści pomagającej Marii w położu, poprzez Józefa ogrzewającego nad słabutkim ogniem pieluski Nowo Narodzonego, aż po przepięknych pasterzy, którzy dostępują zaszczytu wizyty aniołów.

Jest świętem zbyt często pogardzanej i prześladowanej rasy, ponieważ Nowo Narodzony z wielkiego chrześcijańskiego mitu pojawia się na ziemi jako dziecko żydowskie (używam, oczywiście, słowa mit z szacunkiem, jak uży-

wają go współcześni etnolodzy, w znaczeniu wielkich prawd, przekraczających nasze możliwości zrozumienia, ale potrzebnych do życia).

Jest Boże Narodzenie także świętem zwierząt, które uczestniczą w cudownym misterium tej nocy: święty Franciszek i kilku innych świętych przeczuło wagę tego wspaniałego symbolu, lecz zbyt wielu przeciętnego formatu chrześcijan zlekceważyło i nadal lekceważy zawarte w nim natchnienie. To święto ludzkiej wspólnoty, ponieważ za kilka dni mamy Trzech Króli, z których jeden, jak głosi legenda, był czarnoskóry, stanowi więc tym samym alegorię wszystkich ludzkich ras, przynależących do Dzieciątka różnorakie dary.

To święto patetycznej nieco radości, bowiem adorowane Dzieciątko stanie się kiedyś Człowiekiem Cierpliwym. Wreszcie święto samej Ziemi, którą często na ikonach wschodniej Europy przedstawiano bijącą pokłony w progu groty, wybranej przez Dziecię na miejsce swego urodzenia, święto Ziemi, która w tej własnej chwili przekracza w swym biegu punkt przesilenia zimowego i prowadzi nas ku wiosnie. Dlatego właśnie, zanim Kościół ustalił ten dzień jako datę narodzin Chrystusa, był on w czasach antycznych świętem Słońca.

Dobrze chyba przypomnieć te znane wszystkim sprawy, o których tak wielu z nas zapomina.

1976

Przekład

DANUTA TOPCZEWSKA-BARANOWSKA

Oto

naśdzedł okres skomercjalizowanej Gwiazdki. Dla wszystkich niemal — wyjąwszy biedaków, co daje sporo wyjątków — Boże Narodzenie to ciepły, jasny przystanek pośród szarości zimy. Dla większości współcześnie obchodzących wielkie chrześcijańskie święto sprowadza się ono do dwóch rytuałów: kupowania, mniej lub bardziej dobrowolnie, użytecznych lub niepotrzebnych przedmiotów, oraz objadania się i napychania osób z najbliższego otoczenia — wszystko w nierozłącznej mieszaninie uczuć, na którą w równym stopniu składa się chęć robienia przyjemności, ostentacja i własna potrzeba miłego spędzenia czasu. Ale nie zapominać o starym bardzo symbolu wieczności świata roślinnego, ścinanych w lesie zielonych zawsze choinkach, które umierają w ciepłe mazutu oraz o kolejkach linowych wylewających narciarzy na dziewicze śniegi.

Nie będąc ani katolicką (poza urodzeniem i tradycją), ani protestantką (wyjąwszy kilka lektur i wpływ kilku wielkich ludzi), ani zapewne nawet chrześcijanką w pełnym tego słowa znaczeniu — skłonna jestem obchodzić to przebogate w znaczeniu święto wraz z orszakami świat pomniejszych: świętego Mikołaja, nordyckiej świętej Lucji, Oczyszczania Najświętszej Marii Panny oraz Trzech Króli.

Poprzedzamy jednak na Bożym Narodzeniu, które jest świętem nas wszystkich. Do-

SPÓŁCZEŃSTWO STANU PRZEJŚCIOWEGO

(dokończenie ze str. 12)

dualnej twórczości w każdej dziedzinie życia, nie tylko w sztuce i nauce, ale na każdym stanowisku pracy. Każda jednostka jest na tyle autonomiczna (i na to zgadzają się wszystkie teorie człowieka czy to marksistowskie, czy chrześcijańskie), że może zdecydować, czy czynić zło czy dobro. Wiemy z badań nauk społecznych, że ludzie działają sensownie wtedy, gdy mają poczucie ważności ich sensownych działań, gdy te działania zbliżają ich do realizacji celów życiowych i aspiracji. Każda jednostka dysponuje zasobem sił, zdolności, umiejętności i wiedzy, z których może uczynić bardzo różnicowany użytek, zasobem inicjatywy i przedsiębiorczości. Wskazuje się przykład Stanów Zjednoczonych jako kraju, w którym w XIX wieku dokonała się koncentracja wyselekcjonowanych osób zdolnych i przedsiębiorczych, którym ustrój Stanów Zjednoczonych zapewniał swobodę działania, sukcesu lub klęski na własną odpowiedzialność. Socjologowie wskazują również, że ustroje, w których ograniczenia, restrykcyjne, eliminujące wagę inicjatywy jednostki, dokonują w tym zakresie kontraselekcji i wytwarzają postawy roszczeń, oczekiwań, bierności i niedołęstwa. Ale, jak już wykazywałem, we wszystkich warunkach jednostki dysponują pewnym zakresem swobody działania i mogą sobie w indywidualny sposób rozwiązywać swoje sytuacje życiowe. Nie sądzimy także, że Polacy negatywnie wyróżniają się od innych narodów. Trzeba tylko, by te cechy pozytywne, które posiada każdy obywatel Polski, były przez nich wykorzystywane. Sądzimy, że ten okres przemian, jaki obserwujemy w zintensyfikowanej postaci w r. 1988, stworzy zachęty do większej aktywności nie tylko politycznej, ale także gospodarczej, społecznej, kulturalnej, przyczyniając się do podniesienia jakości życia jednostek i siły narodu. Bowiem sądzę, że Spencer miał rację — wprawdzie budowa może zapewnić pewną trwałość cegłom w budowa-

nym w mury, ale jeżeli są one zbudowane — nie potrwają długo. Społeczeństwo złożone z jednostek rozgoryczonych, sfrustrowanych, biernych nie poradzi sobie z tymi wyzwaniami, które wskazaliśmy w poprzednim rozdziale. Zatem, by wychować i wykształcić takie jednostki dzielne i sprawne w działaniu, trzeba rozpocząć od instytucji i grup wychowujących, zaczynając od rodziny.

4.

Dysponujemy wielu opracowaniami naukowymi poświęconymi rodzinom różnych klas społecznych oraz wybranym zagadnieniom i procesom w tych rodzinach zachodzących. Stwierdzamy więc, że osłabła rola wychowawcza rodziny, gdyż rodziny zostały wplecione w konflikt wychowawczy między szkołą a Kościołem. Rodzina jest tu trzecią najważniejszą instytucją wychowującą, w większości współdziałającą z Kościołem, ale wiele czynników osłabiło jej wpływ. Przede wszystkim praca zawodowa matek, trudności mieszkaniowe, rodziny nie posiadające własnego mieszkania mają ograniczone możliwości wychowywania, a liczba takich rodzin szybko rośnie — wpływ masowej kultury działającej na młode pokolenia głównie przez telewizję, zmiany programów szkolnych powodujących, że rodzice są bezradni wobec trudności, jakie ich dzieci spotykają w nauce, kultura młodzieżowa jako wytwór cywilizacji konsumpcyjnej, wykorzystującej młodzież dla stworzenia specjalnego i bardzo lukratywnego rynku, wreszcie luka międzypokoleniowa wynikająca z przyspieszonego rozwoju cywilizacyjnego, powodująca, że dzieci i rodzice żyją w odrębnych światach.

Czy więc rodzina może być źródłem sił społecznych pozwalających lepiej sprostać wyzwaniom XXI wieku? Oczywiście, biorąc pod uwagę aktualny stan rzeczy w Polsce w roku 1988. Otóż, mimo działania wymienionych wyżej czynników, rodziny ciągle wytwarzają poważne siły wewnętrzne wynikające z więzi uczuciowych, powiązań biologicznych, zależności społecznej, więzi obyczajowej, obowiązków moralnych, konieczności ekonomicznych. Rodzina dokonuje nie-

tylko pierwszej socjalizacji noworodka i wprowadza go do kultury, uczy zasad współżycia, a także „lokuje” dziecko w różnych hierarchiach społecznych i ekonomicznych, stanowi dla niego podstawę egzystencji aż do usamodzielnienia. Dziecko pozbawione wsparcia rodziny, wychowywane w domach dziecka i przez inne instytucje, przebiega się przez życie z daleko większym trudem. Wzrost biologiczny między rodzicami a dziećmi, więź seksualna między małżonkami, poczucie obowiązku moralnego wobec całej rodziny, wspólne obyczaje i tradycje, zdolność przeciwstawiania się naciskom zewnętrznym, stosunkowo szeroki zakres autonomii zachowań wewnątrz rodziny, powiązanie statusu ekonomicznego jednostki z ekonomicznym położeniem rodziny — wszystko to są czynniki stanowiące w większym lub mniejszym stopniu o sile rodziny jako części składowej społeczeństwa.

Jednakże w społeczeństwach, a raczej państwach opiekuńczych, te siły wewnętrzne rodzin zostają zmniejszone i jakby „rozbrojone”. Instytucje państwowe biorą na siebie część tradycyjnych obowiązków rodziny, zwłaszcza troskę o los młodego pokolenia, opieka społeczna, bezpłatna oświata, opieka nad zdrowiem, zapewnienie zatrudnienia i inne świadczenia publiczne osłabiają działania rodziny w tym zakresie, zastępując je wysuwaniem roszczeń, gdyż państwo opiekuńcze zdejmuje z rodziny obowiązki uważane tradycyjnie za podstawowe. Jednakże kryzys gospodarczy, powodujący, że państwo nie może się wywiązać ze swoich zobowiązań, przywraca rodzinom ich tradycyjne obowiązki, z tym jednak, że brak im i środków materialnych, i poczucia moralnego, i sił wewnętrznych do ich wykonywania. Możemy stwierdzić, że poważny odsetek rodzin polskich znajduje się w takiej sytuacji, kiedy osłabiona działalność opiekuńcza państwa zmusza je do podjęcia zadań, dla których spełnienia brak im istotnych warunków. To, co się nazywa kryzysem rodziny, jest więc w poważnym stopniu skutkiem przejęcia przez państwo wielu tradycyjnych obowiązków rodziny, a następnie z ich niedostatecznego wykonywania z powo-

du załamania się rozwoju gospodarczego. Na nasze pytanie, czy rodzina może być źródłem sił społecznych przyczyniających się do sprostania wyzwaniom XXI wieku, musimy odpowiedzieć, że w aktualnym stanie rzeczy tylko w ograniczonym zakresie.

Funkcje ekonomiczne rodzin skupiają się w gospodarstwach domowych. Od lat głoszą pogląd, że w nich rozstrzyga się wiele spraw naszej gospodarki, ale mało mam słuchaczy traktujących ten pogląd na serio. Mało kto sądzi, że gospodarstwa domowe mogą stać się ważnym czynnikiem wychodzenia z kryzysu, że reforma gospodarcza musi objąć także sposoby prowadzenia gospodarstw domowych — oczywiście, nie przez reglamentację, ale przez wykorzystanie ich możliwości. Gdyż gospodarstwa domowe są bardzo cennym sprawdzianem stanu gospodarki i zarówno jej poprawa, jak i degradacja są przede wszystkim odnotowane w gospodarstwach domowych i stąd też wychodzą pierwsze sygnały niepokoju społecznego, wywołanego stanem gospodarki.

W nich bowiem kształtuje się świadomość gospodarza narodu, one mogą stwarzać pozory intensyfikacji kryzysu, z nich wychodzi niezadowolone społeczne kumulujące się w stan rewolty. Planowa gospodarka socjalistyczna działała przede wszystkim w skali makro, nie dbając o to, aby stworzyć metody oddziaływania na poszczególne gospodarstwa domowe, by użytkowały racjonalnie i oszczędnie środki spożycia mające do dyspozycji, by oszczędnie obchodzili się z własnością osobistą, by wychowywały młode pokolenia w duchu dorabiania się przez stałą kumulację posiadania, itp. Nie liczone się też z faktami, że te gospodarstwa domowe kształtują opinie o polityce gospodarczej władzy, że sprawują społeczną kontrolę planowania gospodarczego, oceniają kwalifikacje szefów gospodarki, itp. Właściwie trudno zrozumieć, dlaczego ekonomiści tak byli zafascynowani produkcją w skali makro, środkami produkcji, a nie dostarczali, że losy socjalizmu rozstrzygają się w rodzinach i ich gospodarstwach domowych. (cdn.)

JAN SZCZEPAŃSKI

Kiedyś wieczorem, tak będzie koło siódmej, siedzę w restauracji zwanej Mindy i wtrącam faszerowaną rybę, którego to dania jestem szczególnym amatorem, aż tu nagle wchodzi ich trzech w czapkach, jak następuje: Harry zwany Koniem, Mały Izidor i John Hiszpan.

Jeśli o nich chodzi, to nie są to goście, z którymi specjalnie mi zależy na kontakcie, bo często dochodzą mnie pogłoski, że zachowują się nieładnie, nawet, jeśli te pogłoski nie są prawdziwe. W rzeczy samej mówią, że wielu obywateli Brooklynu byłoby bardzo zadowolonych, gdyby Harry Koń, Mały Izidor i John Hiszpan wynieśli się stamtąd, jako że oni zawsze coś robią takiego, co się uważa za cios dla społeczności, choćby napady, trochę dżgania i strzelania, bombka tu, bombka tam, no i ogólne panoszenie się.

Jestem naprawdę zdziwiony, że ich widzę tu, na Broadwayu, bo wiadomo dobrze, że gliny z Broadwayu z natury uwielbiają pomiać takimi, no ale to Mindy, no i ja też tu jestem, więc od razu głośno pozdrawiam ich na całego, bo nigdy nie chcę wyjść na niegościnnego, nawet wobec takich z Brooklynu. Zaraz podchodzą do mojego stolika i siadają, a Mały Izidor nabiera paluchami spory kawałek mojej faszerowanej ryby, ale ja nie zwracam uwagi, bo z jedyne go noża na stole korzystam właśnie ja.

No i tak siedzą, patrzą się na mnie bez słowa, a sposób, w jaki mi się przyglądają, przyprowadza mnie o nerwówkę. Wreszcie myślałem sobie, że może oni są trochę zakłopotani, siedząc w restauracji tej klasy co Mindy, z tymi wszystkimi porządnymi ludźmi dookoła, więc zwracam się do nich bardzo grzecznie: — Miły wieczór. — Co w nim takiego miłego? — pyta Harry Koń, szczupły mężczyzna o ostrych rysach i ostrym spojrzeniu.

No, jak się tak do mnie mówi, to już mi się widzi, że wieczór wcale nie jest miły, i próbuję powiedzieć coś innego na wesoło, podczas gdy Mały Izidor ciągle nadziewa moją faszerowaną rybę na swoje paluchy, a John Hiszpan podwędza mi kartofla.

— Gdzie mieszka Big Butch? — pyta Harry Koń.

— Big Butch? — mówię tak, jakbym tego imienia nigdy w życiu nie słyszał, bo w tym naszym mieście to nie jest dobry pomysł odpowiadać na pytanie bez zastanowienia, no bo czasami można dać dobrą odpowiedź nie temu facetowi, albo złą dobremu. — Big Butch, gdzie mieszka? — pytam ich znowu.

— Tak, gdzie on mieszka — odzywa się Harry Koń, bardzo niecierpliwy. — Chcemy, żebyś nas do niego zaprowadził.

— Chwilczkę, Harry — mówię bardziej niż ciut ciut zdenerwowany. — Nie jestem pewny, czy dokładnie pamiętam budynek, w którym mieszka Big Butch, no i dalej, nie jestem pewien, czy to ucieszy Big Butcha, kiedy sprowadzę do niego ludzi, zwłaszcza trzech z jednym razem i zwłaszcza z Brooklynu. Wiesz, że Big Butch ma trudny charakter i nie można przewidzieć, co mi powie, jak mu się nie spodoba to, że was do niego przyprowadzam.

— Wszystko jest w porządku, koszerne — mówi Harry Koń. — Nie musisz się niczego bać. Mamy dla Butcha propozycję w sprawie interesu, więc nas tam zaraz zaprowadź, albo będzie szkoda, że komuś z obecnych fest dołożę.

No cóż, jako jedyny z obecnych, któremu mógłby o tej porze do-

B
U
T
C
H

PILNUJE DZIECKA

Damen Bunyon (1894-1946), znany dziennikarz i pisarz amerykański, zasłynął głównie jako autor cyklu opowiadań o wybrzykach i przygodach *Guys and dolls* („Facetów i laleczek”) z Broadwayu. Jednym z bohaterów prezentowanego tu opowiadania, należącego do tego cyklu, jest *Big Butch*, opisany niedawno w „Przekroju” w rubryce *Największej oszłości świata*.

łożyć — to chyba ja, myślę, że będzie rozsądnie, jak ich zabiorę do Big Butcha, zwłaszcza że resztki mojej faszerowanej ryby znikają w gardle Małego Izidora, a John Hiszpan kończy kartofle i macza kromkę w mojej kawie, tak że już nic dla mnie nie zostaje.

No to prowadzę ich na Zachodnią Czerdziestą Dziewiątą, blisko Dziesiątej Alei, gdzie Big Butch mieszka na parterze starej kamienicy, i kto jak to, a nie sam Big Butch we własnej osobie siedzi na podeście przed drzwiami. Faktycznie to wszyscy z sąsiedztwa, włącznie z kobietami i dziećmi, wysiadują na tych podestach, bo to całkiem znany obyczaj w tej dzielnicy.

Big Butch ma na sobie tylko

podkoszulek i spodnie i jest bez butów, no bo Big Butch lubi, żeby było mu wygodnie. Co więcej, Butch pali cygaro, a obok niego na podeście, na którym jest kocyk, leży maleństwo niezbyt ubrane. Maleństwo wydaje się spać, a Big Butch od czasu do czasu złożoną gazetą odpędza komary, które chcą nadgryźć malucha. Te komary przylatują w gorące noce zza rzeki po stronie Jersey i chyba bardzo lubią małe dzieci.

— Cześć, Butch — mówię, gdy zatrzymujemy się przed podestem.

— Ciii! — mówi Big Butch, wskazując palcem na maleństwo i robiąc więcej hałasu tym swoim wyciszaniem, niż lokomotywa spuszcza para. Potem podnosi się

i podchodzi na palcach do trotuaru, gdzie my stoimy i ja mam nadzieję, że Butch czuje się dobrze, bo jak Butch nie czuje się dobrze, to się nie patyczkuje z nim. Mierzy ze sześć stóp i dwa cale w górę i kilka stóp wszcz i ma wielkie włochate łapy oraz podłe spojrzenie.

W całym naszym mieście Big Butch jest znany z tego, że w żadnym razie nie wolno z nim źle kombinować, więc duży ciężar mi spada z karku, gdy widzę, że on wydaje się znać tych trzech z Brooklynu, no i bardzo przyjacielsko kiwa do nich głową, zwłaszcza do Harry'ego, zwanego Koniem. I zaraz też Harry czyni Butchowi jak najbardziej zadziwiająca propozycję.



Wygląda na to, że duża kompania węglowa ma swoje biura w starym budynku na Osiemnastej Ulicy po zachodniej stronie i że w tym biurze jest kasa, czyli sejf, a w tym sejfie — wypłata dla personelu w gotówce na dwadzieścia tysięcy dolarów. Harry Koń wie, że te pieniądze tam są, ponieważ jego osobisty przyjaciel, który jest kasjerem kompanii, włożył je tam dzisiaj późnym popołudniem. Wygląda na to, że ten kasjer miał układ z Harrym, Małym Izydorem i Johnem Hiszpanem, żeby go puknęli żdźbko, jak niósł wypłatę z banku do biura dziś po południu, ale coś nie wyszło i nie trafili na umówione miejsce, więc kasjer musiał zanieść cały ten szmal do kasy bez żadnej pukanki, no i to wszystko tam teraz leży w dwóch grubych plikach.

Osobiście wydaje mi się, gdy tak słucham opowieści Harry'ego, że ten kasjer to musi być bardzo nieuczciwy człowiek, żeby takie układy robić, że go postrzelą, a potem zabiorą mu firmowy szmal, no, ale naturalnie to nie mój interes, więc nie biorę udziału w konwersacji.

No i wygląda na to, że Harry Koń, Mały Izzydor i John Hiszpan pragną wydostać te pieniądze z sejfu, ale żaden z nich nie zna się na otwieraniu kas. I wtedy, kiedy tak stali na Brooklynie głowiąc się, co też zrobić w tej nagłej potrzebie, Harry nagle przypomniał sobie, że kiedyś Big Butch żył z otwierania kas.

Potem dowiedziałem się, że Big Butch był w swoim czasie uważany za najlepszego kasjarza na wschód od Missisipi, ale prawo go dopadło i posyłało do Sing Singu za to, że kasy i kiedy już miał za sobą trzy wejścia i wyjścia stamtąd, to już miał tego po dziurki w nosie, zwłaszcza że wydali coś, co się nazywa Prawo Baumesa w Nowym Jorku, a prawo to mówi, że jak facet idzie cztery razy pod rząd do Sing Singu, to ma tam pobyt załatwiony do końca życia i nie ma o czym gadać.

No to Big Butch rezygnuje z zarabiania na życie otwieraniem kas i zajmuje się biznesem, takim na małą skalę, jak szmugiel i handel piwem, od czasu do czasu trochę szkockiej whisky, i robi się z niego uczciwy obywatel. Co więcej, żeni się z panną, która jest córką sąsiada, i tu myślę, że to mądrzeństwo na podeście musi być z tego mariażu między Big Butchem a Mary, bo widać, że jest paskudne. No, tak w ogóle, to ja mało kiedy uważam, żeby maledźstwa wyglądały jak kwiatuszki.

Wreszcie wychodzi na to, że cały pomysł Harry'ego Konia, Małego Izzydora i Johna Hiszpana polega na tym, żeby Big Butch otworzył sejf kompanii węglowej i wyjął pieniądze na wypłatę, a oni gotowi są dać mu pięćdziesiąt procent z tego za fatygę, biorąc pięćdziesiąt dla siebie za znalezienie firmy, opłatę kosztów niezbędnych, czyli działkę kasjera też z tych swoich pięćdziesiąt procent, co mi się wydaje całkiem korzystną propozycją dla Big Butcha. Ale Butch tylko potrząsa głową przecząc.

— To już przeżytek — mówi Butch. — Nikt już teraz nie utrzymuje się z kas. Teraz robią te szafy aż za dobrze, całe w drutach alarmowych, w ogóle robią dużo kłopotów. Teraz zajmuję się uczciwą robotą i to mi idzie. Wście, chłopaki, że nie mogę mieć kolejnej wpadki po tych trzech razach, a w dodatku muszę pilnować dziecka. Moja stara pojechała wieczorem do Bronxu na stypę pani Clancy i może tam być całą noc, bo bardzo lubi stypy i dlatego muszę pilnować Johna Ignatiusa Juniora.

— Słuchaj, Butch — mówi

Harry Koń — to jest łatwizna, nie robota. Szafa jest staromodna i możesz ją otworzyć wykalczką. Nie ma na niej drutów, bo nigdy przedtem nie trzymali tam więcej niż dziesięć centów. Tak się akurat złożyło, że trzeba było te dwadzieścia kawałków złożyć tam na wieczór, bo mój kumpel kasjer nie chciał się z nimi nosić, zwłaszcza że nasze umówione spotkanie nie wyszło. To będzie robota jak piórko, leciusia, no i gdzie można trafić dziesięć kawałków bez żadnego wysiłku.

Widzę, że Big Butch bardzo poważnie myśli o tych dziesięciu kawałkach, bo przecież w tych czasach nie można sobie pozwolić na przepuszczenie takiej okazji, zwłaszcza jak się robi w piwie, a to jest teraz bardzo, bardzo trudny interes. Ale wreszcie potrząsa znowu głową i odzywa się tak:

— Nie — mówi — odpuszczam to, bo muszę pilnować dziecka. Moja stara jest bardzo, ale to bardzo czuła na tym punkcie i nie zostawia małego Johna Ignatiusa Juniora ani na chwilę. Jak Mary wróci do domu i zobaczy, że nie pilnuję małego, to mi wyszykuje dużą drakę. Lubię, jak mi od czasu do czasu wpadnie parę uczciwych groszy, a kto nie lubi, ale — mówi Butch — John Ignatius Junior ma pierwszeństwo.

Potem odwraca się i odchodzi na podest, jakby chciał powiedzieć, że koniec dyskusji, siada obok Johna Ignatiusa Juniora, akurat w porę, żeby przegnać komara usiłującego ucieść w dół jedną z nóg bobaś. Każdy widzi, że Big Butch bardzo lubi to maledźstwo, chociaż, jeśli o mnie chodzi, nie dam pięciu groszy za żadnego bachorka, chłopca czy dziewczynkę.

No i tak, Harry Koń, Mały Izzydor i John Hiszpan są bardzo rozczarowani, stoją rozmawiając i nie zwracając na mnie uwagi, aż tu nagle John Hiszpan, który do tej pory niewiele miał do powiedzenia, wydaje się mieć jakiś świetny pomysł. Rozmawia z Harrym i Izydorem, wszyscy promieniają na jego słowa i wreszcie Harry idzie do Big Butcha.

— Ciii! — hałasuje Butch, wskazując na małego, gdy Harry otwiera usta.

— Butch, słuchaj — mówi szepem Harry — możemy zabrać małego ze sobą, no i będziesz mógł go pilnować oraz zrobić robotę.

— To jest pomysł, naprawdę — odśpiewuje Butch. — Chodźmy do środka omówić wszystko.

Podnosi dziecko i prowadzi nas do swojej dziury, wyciąga trochę niezłego, choć lekko zaprawionego, piwa i siadamy w kuchni gadając szepem. W kuchni jest kołyska, więc Butch kładzie malucha do niej, a ten od razu zasypia na klawo, podczas gdy my rozmawiamy. Jak tak patrzę, że mały tak mocno śpi, rozpoczynamy domniemywać, że Butch dał mu trochę tego samego zaprawionego piwka, które nam serwuje, bo ja już czuję, że mam kapełkę w zubie.

W końcu Big Butch mówi, że skoro można zabrać Johna Ignatiusa Juniora ze sobą, to nie ma powodu, żeby nie mógł pójść i otworzyć im kasę, tylko że musi mieć pięć procent więcej, aby odłożyć na dziecko, jak wróci, a to ze względu na kochającą żonczkę, na wypadek gdyby to bardzo się rozgadała nad tym, że maluch był w nocy na powietrzu. Harry Koń uważa, że te pięć procent to ciut przyduzo, ale John Hiszpan, poczciwy chłop, mówi, że tak czy siak dzieciaka trzeba wpuścić na dół, skoro będzie z nimi na skoku, a Mały Izzydor wydaje się zgadzać z tym. No, to Harry już nie ma obiektywności i rzecz staje na pięciu procentach dla małego.

Ponieważ nie chcą zaczynać przed północą, to jest jeszcze dużo czasu i Big Butch wyciąga trochę

więcej tego zaprawionego piwka, a potem szuka narzędzi, którymi otwierał kasy, ale mówi, że nie robi tego od dnia narodzin Johna Ignatiusa Juniora i że tych narzędzi używał do budowy kołyski.

Chyba już jest dobra pora, abym pożegnał się z wszystkimi, ale coś mnie tam trzyma, i do dziś nie wiem co, bo ja osobiście nigdy przedtem nie myślałem o braniu udziału w rozpruwaniu kasy, zwłaszcza w towarzystwie nieletniego, ponieważ uważałem takie postępowanie za przynoszące ujmę na honorze. Kiedy się później nad tym zastanawiałem, to jedyną przyczyną było chyba zaprawiane piwko, ale muszę powiedzieć, że mocno się zdziwiłem, kiedy około pierwszej rano znalazłem się w taryfie razem z trójką z Brooklynu, Big Butchem i maledźstwem.

John Ignatius Junior jest owinięty kocykiem i ciągle śpi, jak ta lala. Butch ma ze sobą torbę narzędzi i coś, co przypomnia mi dużą płaską książkę, a tuż przed wyjściem Butch wręcza mi jakiś pakunek i mówi, żebym się z tym obchodził bardzo ostrożnie. Daje też Izzydorowi małą paczkę, którą ten wtyka do tylnej kieszeni w spodniach i gdy Izzydor siada w taksówce, coś wydaje dźwięk jak lłkająca owca — „la-la”, a Big Butch robi się zły, bo chyba Izzydor siedzi na łalce Johna Ignatiusa Juniora, która mówi „mama” jak się ją naciśnie.

Big Butch chyba kombinuje, że jakby Johnowi Ignatiusowi Juniorowi zachciało się zabawy, gdyby się obudził, to coś dla niego będzie miał i dobrze się składa, że tej gadającej lalczki szlag nie trafił, bo w przeciwnym razie Mały Izzydor chyba by nieźle oberwał po ryju.

Pozwalamy taksówce zawieźć nas o jedną przecznicę dalej od miejsca na Zachodniej Czerdziestej Dziewiątej, pomiędzy Siódmą i Ósmą Aleją, a resztę drogi idziemy pieszo parami. Ja idę z Butchem, niosąc swoją paczkę, a Big Butch targa małego, torbę z narzędziami i to coś płaskiego, co wygląda jak książka. O tej godzinie na Osiemnastej Zachodniej jest tak cicho, że można usłyszeć szum własnego myślenia i myślę sobie, właśnie całkiem jasno, jaki to ze mnie palant, żeby iść na taką robotę, zwłaszcza z tym dzieckiem, ale mimo to idę, tak czy siak, co dowodzi, jaki to duży palant ze mnie.

Na Zachodniej Osiemnastej prawie nikogo nie ma, gdy tam docieramy. Jedyna osoba — to gruby facet, który opiera się o ścianę w środku przecznicy, a na nasz widok odmaszerowuje. Zdaje mi się, że to strażnik tej kompanii węglowej oraz także osobisty przyjaciel Harry'ego Konia, i dlatego spływa, kiedy my nadchodzimy.

Przed wyjściem z domu Butcha uzgodniliśmy, że Harry Koń i John Hiszpan zostaną na zewnątrz jako kapuści, czy ktoś nie idzie, a Butch ma być w środku i otwierać kasę; Mały Izzydor ma iść z Big Butchem. Nikt nic nie mówi, gdzie ja mam być w tym czasie, widzę więc, że gdziekolwiek bym był i tak jestem outsiderem, ale gdy Butch daje mi do niesienia pakunek, domyślam się, że chce, abym był z nim.

Zadna to fatyga wejść do biura kompanii węglowej, które jest na parterze, ponieważ wydaje się, że strażnik zostawił drzwi otwarte. To miły i uczynny gość ten strażnik. Bardzo uczynny i miły, bo po jakimś czasie wraca i pozwala, aby Harry Koń i John Hiszpan solidnie go skrepowali, wsadzili chustkę w usta i wyrzucili na podwórze w okolicy biura, tak, żeby nikomu nie przyszło do głowy, że on ma coś wspólnego z przuciem

kasy, na wypadek, gdyby ktoś przyszedł o to zapytać.

Okna biura wychodzą na ulicę, a sejf, który Big Butch ma otworzyć na życzenie Harry'ego Konia, Małego Izzydora i Johna Hiszpana, stoi pod tylną ścianą i widać go przez okno od ulicy. Jest tam mała żarówka słabo świecąca nad szafą, tak, że gdy ktoś przechodzi na zewnątrz, jak na przykład strażnik, to może zajrzeć przez okno i oglądać sejf cały czas, chyba że jest ślepy. To nie jest zbyt wysoka szafa i widzę, jak Big Butch szczyrzy zęby w uśmiechu na jej widok, dlatego też domyślam się, że taki sejf — to dla Butcha żaden sejf, tak właśnie, jak twierdził Harry Koń.

Gdy tylko Big Butch, bobas i Mały Izzydor oraz ja wchodzimy do biura, Big Butch podchodzi do szafy i rozkłada tę dużą płaską książkę, która okazuje się być czymś w rodzaju ekranu pomalowanego z jednej strony na dokładny kształt ściany przedniej kasy. Big Butch ustawia ten ekran na podłodze przed frontem prawdziwej kasy, zostawiając sporo miejsca między nimi. Chodzi o to, żeby nikt przechodzący ulicą na zewnątrz przed oknem nie widział Butcha przy pracy, no, bo jak już człowiek zabiera się do otwierania kasy, to musi mieć całkowicie dyskretne i ze wszech miar prywatne warunki.

Big Butch kładzie Johna Ignatiusa Juniora na kocyku rozłożonym na podłodze za fałszywym przodem sejfu, wyjmując narzędzia z torby, podczas gdy Mały Izzydor i ja wlazimy do ciemnego kąta, ponieważ nie starcza miejsca dla nas za ekranem. Ale widzimy wszystko, co Butch robi i pragnę powiedzieć, że o ile przedtem nigdy nie widziałem zawodowego kasjarza przy pracy, i nigdy więcej nie chcę takiego oglądać, to ten Butch robił wszystko jak prawdziwy artysta.

Zaczyna od wiercenia wokół cyfrowego zamka, pracując bardzo szybko i bardzo cicho, aż tu nagle John Ignatius Junior siada na kocyku i wydaje wrzask. Oczywiście, to jest w najwyższym stopniu niepokojące dla mnie, więc osobiście czynnym tam do niego pomachuję, żeby go uspokoić, bo ja się bardzo denerwuję. Ale te hałasy małego nie robią wrażenia na Butchu. Odkłada narzędzia, podnosi Johna Ignatiusa Juniora i zaczyna szeptać: „No, no, no, moje mału-mału-siupki. Tacia jest z tobą. No już, już dobrze.”

Cóż, dla mnie to brzmi bardzo nonsensownie w takiej sytuacji, a na Johnie Ignatiusie Juniorze nie robi wcale wrażenia. Nadal się wydiera i chyba dość głośno, bo widzę, jak Harry Koń i John Hiszpan przechodzą przed oknem z minami bardzo zaniepokojonymi. Big Butch podzucca Johna Ignatiusa Juniora w górę na rękach, gaworzy po dziecinnemu, co, jak na wysokiej klasy kasjarza, brzmi niegodnie, aż wreszcie szepce do mnie, żebym podał mu paczkę, którą mam ze sobą.

Otwiera zawiniątko i coś widzi mi, jak nie butelkę ze smoczką pełną mleka. Jest tam jeszcze małutki cynowy rondel, który Butch mi podaje, szepcząc, abym gdzieś w tej dziurze znalazł kran i nalal wody. No, to potykałem się po ciemku w pokoju za biurem, parokrotnie o coś wałę, aż znalazłem kran i napelniam rondel. Zabieram go do Big Butcha, a ten przysiadł w kukli z dzieckiem na ręku i wydobywa coś w rodzaju małej butli gazowej, zapala zapalniczkę do cygar i zaczyna podgrzewać wodę ze stojącą w niej butelką.

Big Butch trzyma palec w rondelku z wodą i po chwili bierze w usta smoczek, pociągając tyk, żeby zobaczyć, czy mleko już cie-

ple, tak, jak to robią różne koblaki, co mają małuchy. Widać, że mleko jest dobre, więc Butch podaje Johnowi Ignatiusowi Juniorowi butelkę, a ten zaczyna ssać. Naturalnie, musi przestać się drzeć, więc Butch wraca do roboty nad sejfem, a John Ignatius Junior siedzi na kocyku, ciągnie z butelki i wygląda mądrzej niż całe stado sów na drzewie.

Chyba ten sejf jest trudniejszy, niż komukolwiek się wydaje, lub też narzędzia Big Butcha nie są tak dobre, bo stare, zardzewiałe i używane do budowy kołyski. W każdym razie łamie kilka wiertel, poci się nielicho i nic z tego. Później Butch coś tam mówił, że on był jednym z pierwszych w kraju, co otwierali kasy bez ładunków wybuchowych. Żeby robotę zrobić jak trzeba, to należy znać budowę kasy, celem dowiedzenia się do zapadek, a ten tu sejf mimo że stary, to dla niego jest nowy, no i on sam już wyszedł z wprawy.

W międzyczasie John Ignatius Junior kończy butelkę i zaczyna od nowa coś tam dziać, więc Butch daje mu do zabawy jedno z narzędzi, a po chwili narzędzie to jest znowu potrzebne Butchowi i próbuje zabrać je Johnowi Ignatiusowi Juniorowi, ale ten tak się wydziera, że Butch musi mu się zostawić do czasu, kiedy uda mu się wykraść je małemu, a to wszystko powoduje dalszą zwłokę.

Wreszcie Big Butch rezygnuje z wiercenia i szepetem mówi nam, że będzie musiał podsycać trochę prochu, żeby obluźować zamek, a nam to nie przeszkadza, bo już mamy dość tej całej wizyty i pełnienia bajduł przez Johna Ignatiusa Juniora. Jeśli o mnie chodzi, to najchętniej byłbym w domu w swoim łóżku.

No i Butch gmera w torbie, szukając czegoś i chyba to, czego szuka, to buteleczka z jakimś materiałem wybuchowym, którym można nadwerzeć zamek szafy odrobiny, i na pierwszy nie może znaleźć buteleczki, ale wreszcie odkrywa, że ma ją John Ignatius Junior i że właśnie gryzie korek, toteż Butch stacza z nim walkę, żeby John Ignatius Junior oddał zgubę.

Wreszcie umieszcza środek wybuchowy w jednej z wywierconych dziur koło zamka i wkłada spłonkę, a tuż przed odpaleniem Butch podnosi Johna Ignatiusa Juniora i podaje go Małemu Izydorowi, mówiąc, żeby poszedł do pokoju za biurkiem. John Ignatius Junior nie bardzo lubi Małego Izydora, i wcale mu się nie dziwie, bo zaczyna się niezłe wiercić i wydaje wrzask w ramionach Małego Izydora. Nagle staje się bardzo cichutki, i chociaż tego nie mogę udowodnić, coś mi mówi, że Mały Izidor zatkał małemu dziób ręką. Butch dochodzi do nas w tylnym pokoju, a z Johna wydobywa się dźwięk, gdy Butch przejmując go od Izydora. Myślę sobie, że to dobrze, że ten maluch nie potrafi powiedzieć, co Izidor z nim wyrabiał.

— Trochę prochu tam podsypałem — mówi Butch — i nie będzie więcej hałasu, niż strzelali palcami.

Ala w chwilę później słychać ogromne BUUUM z biura i całe to obójście trzęsie się, a John Ignatius Junior zanosi się śmiechem. Może myśli, że to 4 lipca, czyli narodowe święto.

— Chyba trochę przydużo nala-dowałem — mówi Butch, a potem wbiega do biura z Małym Izydorem i ze mną oraz Johnem Ignatiusem Juniorem śmiejącym się na całego. Drzwi szafy kołyszają się luźno na zawiasach i całe miejsce wygląda trochę pokiereszowane, ale Big Butch nie traci czasu, wsadza łapska do sejfu, wyciąga dwa

wielkie pliki gotówki i wsadza je za pazuchę.

Gdy wychodzimy na ulicę, Harry Koń i John Hiszpan podbiegają bardzo podekscytowani, a Harry tak się odzywa do Butcha:

— Co jest? — mówi Harry. — Mam obudzić całe miasto, czy jak?

— Może trochę przesadziłem z tym ładunkiem — mówi Big Butch — ale chyba nikt nie nadchodzi, więc ty i John Hiszpan idziecie Osmą Aleją, a reszta pójdzie do Siódmej i jak będziecie szli spokojnie, jak ludzie, co nie wtykają nosa w nieswoje sprawy — to wszystko będzie w porządku.

Ala ja czuję, że Mały Izidor ma dość towarzysztwa Johna Ignatiusa Juniora, bo mówi, że pójdzie z Harrym Koniem i Johnem Hiszpanem, więc zostajemy z Big Butchem oraz Johnem Ignatiusem Juniorem i oddajemy się w drugą stronę. Zaczynamy iść, aż tu nagle zza węgła gna dwóch gliniarzy w kierunku, w którym idą Harry Koń, Mały Izidor i John Hiszpan. Chyba usłyszeli to trzęsienie ziemi, które Big Butch spowodował i leca zobaczyć, co się dzieje.

Ala wygląda na to, że gdyby Harry Koń i pozostała dwójka szli spokojnie, tak jak im Butch mówił, to gliny zostawiłyby ich w spokoju, bo nie przyszłoby im do głowy, że ktoś może rozwalac szafy pancerne w tej okolicy przy użyciu materiałów wybuchowych. Ale w chwili, gdy Harry Koń widzi gliniarzy, traci głowę, wyciąga spłuwę i zaczyna walić, no i zaraz John Hiszpan też wyjmując swoją i robi to samo.

Za chwilę dwóch mundurowych leży z kulkami w ciele, ale inni przybywają zewsząd, gwizdają i sami trochę pukają, no i jest dużo zamieszania, a szczególnie, gdy ci, którzy nie gonią Harry'ego Konia, Małego Izydora i Johna Hiszpana, zaczynają przeszukiwać teren i znajdują kumpla Harry'ego, tego strażnika, całego powiązanego i leżącego tam, gdzie go Harry zostawił, a strażnik wyjaśnia, że jakieś łobuziaki wysadziły kasę, której pilnował.

Cały ten czas idziemy z But-

chem w przeciwnym kierunku, w stronę Siódmej Alei, Big Butch niesie Johna Ignatiusa Juniora na rękach, a ten wrzeszczy na całego. Chyba nadal wspomina to wielkie BUUUM, które go tak rozbawiło, że chce usłyszeć więcej BUUUM! Tak czy owak bije wszelkie swoje rekordy wrzasku i gdy tak idziemy, Big Butch mówi do mnie:

— Ja nie polecę — mówi — bo jak mnie gliny zobaczą jak śmigam, to mogą zacząć do mnie pukać i mogą trafić Johna Ignatiusa Juniora, a oprócz tego mleko mu się w brzuszku zburzy i będzie rzygał. Moja stara zawsze mówi, żeby z nim nie ganiać, jak jest pełen mleka.

— No tak, Butch, ale ja nie jestem pełen mleka i nie mam nic przeciwko temu, żeby mi się coś wzburiło, więc jeśli nie masz nic naprzeciw, to za najbliższym rogiem dam nogę.

Ala właśnie zza rogu Siódmej Alei, do którego zmierzamy, wychodzi dwóch czy trzech gliniarzy z dużym grubym sierżantem i jednym takim, co mu dech zaparło, jakby długi sprint musiał wykonać, i ten, zdyszany, wyjaśnia sierżantowi, że ktoś rozwalili szafę trochę dalej i postrzelili paru gliniarzy w ucieczce.

I oto idzie Big Butch z Johnem Ignatiusem Juniorem na rękę i dwudziestoma kawalkami za pazuchą oraz swoją piękną listą wyroków w rejestrach.

Bardzo mi żal Big Butcha, no i siebie, i mówię sobie, że jak się z tego wykaraskam, to tak długo jak będę żył, z nikim innym nie będę trzymał tylko z duchownymi. Pomyślałem, że i tak mam lepiej niż Big Butch, bo ja nie będę musiał siedzieć całe życie w Sing Singu. I pamiętam, że się zastanawiałem, co za ten skok przy-walał Johnowi Ignatiusowi Juniorowi, który wrzeszczał jak najęty, a Big Butch mówił do niego: — No już, już, moje ty tirli-pirli-plum. I potem słyszę, jak jeden z gliniarzy odzywa się do grubego sierżanta: — Może ich sprawdzić? Mogą mieć coś z tym wspólnego.

No więc myślę, że to już chyba będzie zęgnaj dla Big Butcha, Johna Ignatiusa Juniora i dla mnie, ale gruby sierżant zamiast położyć łapę na Big Butchu — tylko wskazuje na Johna Ignatiusa Juniora i ze współczuciem pyta: — Zębki?

— Nie — mówi Butch. — Nie zębki. Kolka. Oto właśnie pan doktor, którego wyciągnąłem z łóżka, żeby mu pomógł i teraz idziemy do apteki po jakieś lekarstwo.

No to ja jestem bardzo zdziwiony na te słowa, bo, oczywiście, nie jestem doktorem i jeśli John Ignatius Junior ma kolkę, to dobrze mu tak. Mam jedyną nadzieję, że nie będą mnie wypytывать o żadne stopnie lekarskie, a tu gruby sierżant mówi: — To fatalnie. Wiem, co to jest. Mam w domu trójkę takich Ale — mówi — coś mi to bardziej wygląda na zębki niż na kolkę.

Potem Big Butch, John Ignatius Junior i ja udajemy się w swoją stronę, a ja słyszę, jak gruby sierżant mówi do tego gliny całkiem sarkastycznie: — Tak! Oczywiście, facet rozwal szafę pancerną z dzieckiem na rękul Oj, będzie z ciebie detektyw, oj będzie.

Przez kilka dni nie widzę Big Butcha i dowiaduję się, że Harry Koń, Mały Izidor i John Hiszpan wrócili na Brooklyn w porządku, z tym że trochę tu i tam gliny ich postrzelali, a ci mundurowi, których oni trafili, są tylko lekko uszkodzeni. Jeśli o mnie chodzi, to Big Butcha miałem nie oglądać przez wiele lat, aż tu pewnego wieczora on sam przychodzi do mnie jakiś taki zadowolony.

— Słuchaj — mówi do mnie Big Butch — nigdy bym wiele nie dał za to, że glina coś może wiedzieć i znać się na czymś, ale ten gruby sierżant na któregośmy wtedy wpadł, to bardzo, ale to bardzo cwana gapa. Miał rację, że to zębki bolały Johna Ignatiusa Juniora, no bo, popatrz, wczoraj wyciął mu się pierwszy ząbek.

Tłumaczył

BOGUSŁAW P. LAWENDOWSKI

MIESZANKA FIRMOWA

I NIECH TAM ZAGOSCI DUCH MARSZAŁKA...

(S) Na terenie dawnej posesji Józefa Piłsudskiego w Sulejówku znajdują się następujące budynki: willa „Otradno” — pierwszy dom pp. Piłsudskich, dworek „Milusin” — dar żołnierzy dla Marszałka, oraz willa „Bzów”, d. Adlutantura. „Otradno” — to obecnie dom kwaterekowy, w dworku „Milusin” zaistniało się przedszkole, w Adlutanturze — przychodnia zdrowia. Wszystkie obiekty znajdują się w tzw. enklawie historycznej miasta Sulejówka. Towarzystwo Przyjaciół Sulejówki (któremu energicznie przeszedł Andrzej Staszewski) podjęło inicjatywę na rzecz utworzenia w dworku „Milusin” muzeum Marszałka Piłsudskiego. Stworzenie kompleksu muzealnego (z „Milusinem” jako obiektem centralnym) wymaga wybudowania przedszkola, przychodni zdrowia i wykwaterowania lokatorów z willi „Otradno”. Zaplanowano wzniesienie nowego budynku przedszkola — gotowa jest dokumentacja i wmurowano już akt erekcyjny w czasie uroczystości, która się odbyła 13 listopada br. Miasto wyasygnowało poważną kwotę — ok. 300 mln zł na 1993 r. — ale zbyt to mało w stosunku do potrzeb. Pomocną jest każda inicjatywa, która by zaowocowała dotacjami umożliwiającej przyspieszenie przekazania społeczeństwu kompleksu muzealnego upamiętniającego pierwszego Marszałka Polski. Jako jeden z pierwszych popierał z inicjatywą Zbigniew K. Rogowski. Zwrócił się mianowicie do najpopularniejszego w polskim eterze w Chicago dziennikarza, Roberta Lewandowskiego — było to w symbolicznym dniu 11 listopada br. — aby zapożycował do radoków w swoim programie radiowym i

TV o nadsyłanie pieniędzy na realizację marszałkowskiego kompleksu. Red. Lewandowski, wysoko oceniając inicjatywę warszawskiego dziennikarza, obiecał włączyć się w akcję. Prezes Stowarzyszenia, Andrzej Stawowski, wystosował już do red. Lewandowskiego oficjalny list w tej sprawie. Robert Lewandowski dzięki apelowi w eterze zebrał ostatnio ponad 18 tys. dolarów na rzecz fundacji papieskiej w Watykanie.

O AIDS — Z RĘKĄ NA PULSIE

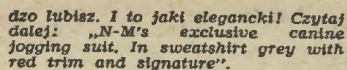
(rog) Wszystko, co stanowi obecnie ostatnie słowo na temat genetyz choroby, badań i aktualnych osiągnięć w walce z AIDS, przynosi niezwykle potrzebna książka dwu polskich lekarzy — dr. hab. Aleksandra B. Skotnickiego i prof. dr. hab. Wacława Kornaszewskiego. Obaj prowadzili badania związane z chorobą AIDS za granicą: pierwszy m. in. w Waszyngtonie, drugi w Zairze, należącem do krajów o najwyższej zachorowalności na AIDS (pełni tam funkcję dziekana wydziału lekarskiego na uniwersytecie w Kinshasie i kierownikiem kliniki chorób zakaźnych i tropikalnych). Obaj naukowcy spotkali się w stoicy Zairu (dr Skotnicki przedstawił tam wyniki badań i doświadczeń z wirusem AIDS prowadzonych w USA) i wtedy powstała zamysł napisania wspólnie książki na temat „dżumy XX w.”. Praca lada dzień pojawi się w księgarniach.

Wydawnictwo Ossolineum doceniając doniosłość publikacji, pobili swolsty rekord wydawnictwa: druk trwał zaledwie kilka miesięcy! Nadmieniamy, że dr Kornaszewski pracuje nadal w Zairze, zaś dr Skotnicki także członek Rady ds. AIDS przy ministrze zdrowia i opie-

ki społecznej, jest pracownikiem naukowo-dydaktycznym w Klinice Hematologii AM im. M. Kopernika w Krakowie.

ODKRYCIE W SZAFIE

(rog) „Tango Milonga” Jerzego Petersburskiego pt. „Oh, Donna Clara” jest jedynym utworem polskiego kompozytora muzyki rozrywkowej, jaki stał się przebojem światowym. Wśród setek kompozycji Petersburskiego, dwie były zupełnie nieznane (nawet najbliższej rodzinie) i zostały ostatnio odkryte w... szafie — na dnie nie użytkowanego mebla wypchniętione bibliotekami, pamiętkami i papierami. Oto wódwa po kompozytorze, przed laty znana piosenkarka Sylwia Klejdysz, „wyłowila” dwie płyty (jeszcze 33-obrotowe) nagrane przez Petersburskiego przed wielu laty w Argentynie, gdzie kompozytor mieszkał w latach 1948-68. Na jednej z nich znajduje się utwór, który Petersburski grał przed gen. Sikorskim w Bagdadzie (był wtedy żołnierzem II Korpusu) na kilka dni przed jego podróżą, tragicznie zakończoną w Gibraltarze. Druga płyta zawiera wianek przebojów — z Tangiem Milonga oraz Niebieską chusteczką i Ostatnią niedziłą do dzisiaj popularnymi szlagierami w ZSRR (Chusteczka zyskała popularność również we Francji i w Anglii). Nawiasem mówiąc — syn kompozytora, Jerzy, pragnie pójść w jego ślady i w 1993 r. zdawać będzie do Akademii Muzycznej (wydział kompozycji). Petersburski jr już zresztą komponuje i jeden ze swoich utworów zaprezentuje w wielokrótywystroju w telewizyjnym „Butliku”.



— Mam nadzieję, że to do nas nie dotrze. A gdyby nawet, to mój pan nie będzie ze mnie robił przebie-
rańca. Poza tym, że śmieszne, to mu-
si być bardzo niewygodne...

— Nie martw się, pomyślano i o tym. Dresy, nie dość, że piękne w kolorach, są robione w różnych rozmiarach, tak że mogłabyś sobie wybrać strój na miarę. Piszą oni przecież w tym katalogu, żeby „For size, measure your dog from back of neck to base of tail. Sizes: 10", 12", 14", 16", 18", 20". Available in Cosmetics".

Rozmowy z Erą - bułterierką

— Pamiętam, że kiedy twój sławny amerykański pociotek Spuds McKenzie został zaliczony do grona najlepszych ubranych w USA, to zamiast posłać mu gratulacje, robiłaś w „Przekroju” cierpkie uwagi...

— Myślę, że jego to wcale nie bawi, ale nie ma wyjścia — musi to robić, tak! ma obowiązek. My, psy zawsze staramy się rzetelnie wykonywać to, czego oczekuje od nas nasz pan. Nadal jednak twierdząc, że ubieranie nas nie ma sensu. No, może nie będę mówiła za wszystkie rasy, ale co do nas — bulterierów, to do prawdy nie potrzebujemy poprawiać sobie urody jakimś szmatkami. Przypomnij pan, że z nasza figura...

— Ale chodzi także o zdrowie! O, popatrz, mam tu wycinek z katalogu, ku jakiejś wielkiej firmy handlowej, amerykańskiej rzecz jasna i tu jest coś w sam raz na gwiazdkowy prezent dla ciebie. Jakis buletterier, zatrudniony tam za modela, prezentuje „dog jogging suit”, czyli taki dres specjalnie do biegów. A ty biegi bar-

Ty się chyba do tych strojów niepotrzebnie z góry uprzedziłaś. A tu, sama widzisz — piękny dres, nawet z kapturem i rozmiary na każdą figurę, od 10 do 20 cali.

— Wolalabym nie musieć w tym chodzić. Proszę sobie wyobrazić, że w tym worku chciałabym się wytarczać, bo mnie akurat grzbiet zaswędzia!...

— Ja cię wcale nie namawiam. Opo-
wiadam tylko, żebyś wiedziała, jak
się dba o psy w Ameryce.

— To ja już lepiej zostanę w Polsce.
— Proszę bardzo, ale powiedz szczerze, czy gdybyśmy chcieli wydać na ciebie trochę pieniędzy i zrobić ci jakiś prezent, to naprawdę nie ma niczego, co by cię ucieszyło?

— O, jest!
— ???
— Kawalek dobrej, surowej wolo-
winy.

— A oprócz tego?
— Drugi kawalek wołowiny.

(k)

„ŻYJ I POZWÓL UMRZEĆ”

czyli James Bond po raz pierwszy...

Moi Drodzy!

No, więc i na naszych ekranach narzeczni mamy Bonda — jedną z legend współczesnego kina sensacyjnego. Co prawda nie jest to arcyBond „klasyczny” z tych pierwszych, które spopularyzowały w świecie cały długi cykl filmów z superagentem wywiadu brytyjskiego, ani nie jest to Bond całkiem nowy, lecz gdzieś mniej więcej „ze środka”, sprzed piętnastu lat, no, ale dobre i to. Z serią Bondowska, opartą na powieściach Iana Fleminga (40 milionów sprzedanych egzemplarzy, z 11 językami), zainicjowaną w roku 1963 — na dwa lata przed pierwszym pisarzą — w pierwszych siedmiu filmach główną rolę grał Sean Connery (wybra- ny podobno spośród ponad 1000 kandydatów), ale mimo oszalałej popularności, jaką zdobył sobie jako James

Bond — a może właśnie z jej powodu? Kto wie? — zrezygnował z kontraktu, który znosił mu złote jaja, na rzecz bardziej ambitnych filmów i bardziej różnorodnych ról.

Po nim przejął postać mało znany aktor austriacki - George Lantieri, z czego wynika, że ten film nie sprawdził się i producent powrócił do koncepcji, z której początkowo zrezygnował: zastąpił Sean Connery telewizyjnym „Świętym”, Rogerem Moore'em. I właśnie pierwszy Bond, w jakim wystąpił (a przetrzymać ich śledem — tak jak Connery), to oglądany teraz u nas „Żył i pozwól umrzeć”.

Zmiana aktora spowodo-
wała automatycznie
pewną zmianę koncepcji
zarówno samej postaci,
jak i całej serii z Bon-
dem. Tajny agent, dzia-
łający pod kryptonimem
007 stał się mężczyzną

bardziej eleganckim, bliższym „dowcipnym”, choć — naturalnie — na szczeblu stric ze swej nadludzkiej sprawności. Zaczęto też odchodzić od formuły filmów szpiegowskich na rzecz filmu sensacyjnego, z elementami horroru. Taki też jest i ten, w którym James Bond stara się — skutecznie, rzecz jasna — unieszkodliwić groźnego władcę przestępczego podziemia, zamierzającego zdezorganizować i zniszczyć całą amerykańską gospodarkę. Jest trochę scenerii Nowego Jorku i trochę egzotyki, James Bond dopada bowiem swego przeciwnika na Karabach, a tam — tubylice, węże, krokodyły i... brzo-
wacz, który pośięgł się zgnazach. Wszystkie przeciw Bondowi i pięknej wróżce Solitaire (musi być piękna, jeśli gra ją Jane Seymour), która przepowiada przyszłość (łącznie z przewidywanymi kursami akcji na giełdzie)...

Film — jak na Bondę przystało — jest efektywny, pełen napiecia, chociaż... odczuwa się już upływ czasu. Dzisiejsze kino potrafi pobudzać bicie naszych serc znacznie bardziej, niż myślnymi środkami, które ale nie pętnasie lat to w filmie cała epoka. Zmianie aktora w roli Bondy producenci starali się wspiąć, jak mogli: reżyserii podjął się Guy Hamilton (ten, który zrealizował najśłynniejszy z „klasycznych Bondów”, mianowicie „Goldfinger”), a o skomponowanie muzyki poproszono Paula McCartneya. Ten jednak niepiśmielny tytułowy tytułowiec, reszta bowiem zając zaprzęża, niolegdy z Beatlesami i Georgow i Martinow. Wszystkie te inwestycje szczerze im film wynagrodzi: w pierwszym okresie eksploatacji przyniósł 35 milionów dolarów zysku, o czym powiadamia Państwa — przejęta i podenerwowana — Wasza

Alexander

O
D
α
KOLEKCJA
WŁASNA
PRZEKROJU
autor:
HOFF

Na zdjęciach:

Urszula
Krzyżanowska,
Barbara
Prokopiuk,
Piotr Student

Fotografował:

Andrzej Satel

Tym razem — jak zwykle zresztą — wydaje mi się to zbliżone do cudu, ale jednak naprawdę wszystko, co tu widzicie na zdjęciach, jest faktem, nie fikcją, nie fantazją i jednym, jedynym egzemplarzem zrobioną na pokaz, do zdjęcia, aby telewizyjnie sylmowała itd. Co też zresztą jest bardzo trudne i ja, jak nikt, podziwiam ludzi, którzy robią nawet i pojedynczy udany model.

Wszystko, co tu widzicie, było, jest i będzie w sprzedaży w Hofflandzie w ciągu grudnia, czyli każdy, kto tam wpadnie, będzie mógł coś wywać na sylwestra i dalsze uroczyste wieczory, za złotych niewymyślnie. Ale jak to? Przecież są one właśnie wymyślnie na takie cudne rzeczy. W Hofflandzie możemy się ubrać seksownie i wytwornie, subtelnie i ekstrawagancko, prowokująco i nostalgicznie, spokojnie i zwariowanie, a przede wszystkim gwarantowanie modnie. W tym celu nie musisz kraść, zmuszować, pracować dodatkowo na nocki, uczyć cudze dzieci angielskiego po 4 tys. za godzinę, zmywać garnków w restauracjach na Soho i... nawet dźwigać kurtek z Istambułu. Wystarczy, jak wzięliśmy premię kwartału albo: zastróżnika, wciągniesz mocno brzuch i w



Fig. 1 — sukienki-koszulki, lewa czarna z jedwabiu, dopasowana do bioder i marszczony kłoz, całość w stylu lat 30; prawa obcisła z elastiku (amarant, fioletowa i czarna), b. seksowna, świetnie leży, już nowa długość — nad kolano. Sukienka może być noszona z bolerkiem, marynarką, itp.

Fot. 2 — podkowsy: oto ten nowy modny fason, specjalnie poszerzone biodra i potem zwężana ku dołowi; lewa — to sukienka (nawet jest w środku wypchana na biodrach, żeby miała linie); bez rękawów, znakomicie leży, jest fioletowa i zielona; prawa — to spódnica mocno skrojona w podkowie, noszona z bolerką i paskiem.

Fot. 3 — sukienki z długimi rękawami, b. gładka góra, szeroki marszczony dół, czarna z jedwabiu i szfion stylonowy zielony na spodzie, b. spokojny, elegancki fason.

Fig. 4 — suknie z draperiami, lewa z draperią na biodrach, prawa — to modna draperia odsłaniająca ramiona, długie rękawy, doły w kontrastach, szaro-srebrna.

Fig. 5 — krótkie spódnice przezroczyste, fioletowe, czarne i zielone (na spodzie), lewa marzeczka, prawa w fałdy, na karczku, z bolerkami.

Fot. 6 — lewa, b. ciekawa suknia z czarnego jedwabiu, cała góra drapowana do bioder, dół marszczony, prawa — to przezroczysta białka z beśkinką, noszona z paskiem do lekko błyszczącej waskiej spódnicy.

Fot. 7 — długie spódnice z tafty szarej i złota-
wej, lewa z męską koszulą z tejże tafty, prawa z
bluzką koszulową, lekko dopasowaną, bez podu-
szek, kołnierzyk z klapkami.

Fot. 8 — spódnice długie na karczках, krótszym i dłuższym, z bołerkami, lewa — to komplet w paski, prawa przezroczysta, ale są i z tafty. A oto nasi kochani producenci: „Tarnów”, „Vespo” — rzeczy mekle.

Rzeczy damskie: „Zoliborzanka” (fot. 1, lewa z fot. 5 i prawa z fot. 2), „Moda” (lewa z fot. 2, 3, 4) oraz „Spółem” — cała reszta. Wszystkie materiały są z fabryki „Pierwsza” w Łodzi.

HOF

Karnawał

w Hofflandzie



WOJCIECH BARTOSZEWSKI, ur. 12 VI 1935 w Wąbrzeźnie, ukończył tam liceum ogólnokształcące, a potem Studium Medyczne w Toruniu, uzyskując zawodowy tytuł pracownika socjalnego. Od 1977 pracuje w Wąbrzeźnie w ośrodku opiekuna społecznego przy tamtejszym ZOZ, obejmującym 5,5 tysiąca podopiecznych, a co jego zdaniem bardzo istotne, sam mieszka na tym terenie. Własne zajęcie zawodowe uważa za niezwykle ciekawe i pożyteczne. Żonaty, dwoje dzieci.

... Pierwsze myśli wysłałem do „P.” w 1978 roku. Już 10-lecie. Co by z tego zostało, gdyby to wrzucić w młynek sensu? Ale i tak się cieszę... Takie drobne radości, że czasem ma taką właśnie formę, a nie inną, że czasem zaskoczy.

... Czasami produkcja aforyzmów to rodzaj „dadaizmu”. Ale po paru latach wytwarza się w człowieku taki mechanizm, że jeśli pojawi się jakieś pojęcie, np. szczęście, miłość czy samotność — to zawsze ono za sobą pociąga dziwne skojarzenia i zazwyczaj przychodzi to od środka.

... Potrzebne są rytualne jakby działania. Najpierw trzeba wywalczyć sobie czas, pewne odosobnienie, a przede wszystkim dobry nastrój. Choćby w zacisznym kącie kawiarni. Aforyzm — to przecież forma zabawy, czasami gry słownej, ale zawsze trzeba zasiąść do swojej wewnętrznej kontemplacji. Myśl — to nie tylko komentarz do rzeczywistości, którą trzeba trochę przetrawić.

... Jak doszedłem do tej formy? To odległa przeszłość. Zwykle przeglądam ostatnie strony gazet. Lubię je, bo zwykle nie są długie i nudne. Kiedyś, chyba w 1978, w IKP znalazłem informację o konkursie na nową wersję starego przysłowia. Zabawa trwała kilka lat. Zwyczajem otrzymywał książkę. Co tydzień posyłałem po kilkadziesiąt wersji i moja półka trochę się zapełniła. Przyzwyczaiłem się do tej formy. Interesuje mnie także forma malej prozy poetyckiej. Czasem się udaje.

MYŚLI

MYŚLI LUDZI WIELKICH I ŚREDNICH ORAZ PSA FAFIKA były pasją założyciela „P.”, Mariana Eilego. Prowadził je przy szerokiej współpracy Czytelników. I obecnie rubryka *Myśli* ma swoich stałych autorów, którzy regularnie i cierpliwie przysyłają aforyzmy, nie stawiając żadnych żądań, czasem tylko prośbę, by choć jedna myśl z tego zbioru trafiła na łamy.

Dzisiaj przedstawiamy dwóch spośród najwytrwalszych i najoryginalniejszych aforystów „P.”. Różnią się wiekiem, wykształceniem, zawodem, charakterem i, oczywiście, sposobem myślenia. Łączą ich natomiast olbrzymie przywiązanie do tej osobliwej formy literackiej, jaką jest aforyzm.

Oto więc dwa tuziny nowych myśli aforystów „P.” oraz zanotowane przez Stellę Varcaby monolog i dialog o życiu i aforyzmach.



ŚLAWOMIR WRÓBLEWSKI, ur. 7 V 1929 w Sosnowcu, w rodzinie inteligentnej. Działalność i młodość spędził w Zagłębiu Śląsko-Dąbrowskim. Ukończył szkołę techniczną w Katowicach, a potem Politechnikę Śląską w Gliwicach na kierunku elektrotechniki górniczej. Po kilku latach pracy na Śląsku (m. in. jako słygar w kopalni Nowy Wirek w Kochłowicach, gdzie zaczęły powstawać myśli czarne i złote), a także po debiucie poetyckim w 1960 przeniósł się na Wybrzeże. Tam ukończył na politechnice kierunek elektrotechniki okrętowej, był potem m. in. inspektorem kontroli technicznej w Stoczni im. Lenina. Od 20 lat jest redaktorem merytorycznym redakcji naukowej Wydawnictwa Morskiego w Gdańsku, ze specjalnością maszyny i silownie okrętowe. Przygotował około 70 książek naukowych i fachowych, także w wernjach obcojęzycznych, poświęconych ostatnim zdobyciom techniki, łącznie z urządzeniami do nawigacji satelitarnej.

— Co pan najpierw napisał: wiersz liryczny czy myśl?

— Zaczęło się od wierszy. Debiutowałem w 1956 roku, ale te wiersze były pełne pesymizmu. Może to się brało z kopalni, bo wtedy pracowałem w kopalni. Aforyzmy też nie były właściwe — surrealistyczne. Nikt nie chciał ich drukować. Prawdziwy rozwój aforyzmów zaczął się od chwili, gdy przeniósłem się na Wybrzeże.

— To wpływ morza?

— Rzeczywiście, dał, linia horyzontu, swista abstrakcja skłaniały do innych rozmyślań. Łączyło mi się to także z matematyką: takie połączenie mikro- i makroświata.

— Wtedy zaczął je pan drukować?

— Dopiero od 1973 r. w „P.”. I nie wysyłałem ich nigdzie indziej, choć czasem w prasie spotykam powtórki.

— Czy pan pamięta swoje aforyzmy?

— Rozpoznaje, ale powtórzyć potrafię tylko niektóre. Mam ich kilkanaście tysięcy.

Tonący w słowach aforyzmów się chwyta.

Ludzie weseli ustawiają się w koło, smutni — w kolejkę.

Kiedy przemija niezwykłość, pozostaje cudowna zwyczajność.

Suma błędów — to też dobry początek.

Przeszkody zmuszają nas do stawiania coraz wyższych barier.

Najtrudniej wyznaczyć sobie cel przy pomocy posiadanych środków.

Sprawiedliwość wzbogaca nawet najbiedniejszych.

Jesteśmy groźni do szczytu, później schodzimy ścieżkami utartych rezygnacji.

Myśli krążą nad uprzedzeniami.

Z samej prawdy nie wyżyje nawet kłamstwo.

Aforystyka — to słownik truizmów, które udało się sprzedać.

Żłodziwie myśli siedzą za kratkami cudzej wyobraźni.

... Bardzo często zdarza mi się zapisywać takie skojarzenia w czasie godzin pracy. Wiele rzeczy piszę np. jadąc na rowerze, a spędzam tak sporo czasu, po 20, 30 kilometrów. Bywa, że muszę ostro przyhamować, wyłączyć notes i zapisać, żeby nie uciekło.

... Dla mnie wzorcem, kimś, kto mnie bardzo pociąga i w filozofii, i w sensie pisania jest Elias Canetti. Z jego tomikami się nie rozstaję. On niektóre rzeczy rozbudowuje nawet na kilkudziesięciowerszowe całości, a obok wypowiada krótką sentencję. Ukazuje to skalę możliwości i jego doświadczenia intelektualne. Ale to Elias Canetti.

... Aforystyka się upowszechnia. Niektóre aforyzmy przypominają wprawdzie rozkazy, ale i politycy korzystają teraz z takich krótkich, dobitnych powiedzeń. Czas są jakby aforystyczne. Nadmiar gadaniny — to kapitalne podłoże dla aforyzmów. Pikanne, dobitne zdanie bywa trafniejsze niż wielki artykuł. Np. Teleexpress cały czas szuka takich kołczastych puent. U góry różyczka, a niżej kołec. Aforystyka naprawdę zdobywa teren.

Aforystyka — to żaden wielki cud, choć ma swoich geniuszy i potentatów. Pokorni uczniowie muszą jednak zapomnieć o doskonałości mistrzów i próbować samemu.

... Aforyzmy pisze się łatwiej, bo są mniej osobiste od poezji. Zawsze dają do uogólnienia, zwracają się ku powszechnemu przywarom. Łatwiej człowieka zganić i napiętnować, odgrywać kuglarskie sztuczki ze słowami, niż pisać wiersze i zawrzeć tam cierpienie czy radość.

... Ja swoich aforyzmów nie liczę, bo się boję. Ktoś powie, że takie pisanie — to dziwactwo, idiotyzm, ale to przecież raczej miłe spędzanie czasu. Nikogo nie krzywdzi, a wymaga tylko minimalnej przychylności najbliższego otoczenia. Paradoks leczy z nudy, z miażdżonego kołowrotu życia, z ciągłego powtarzania tych samych zdań. Z tego języka, co tak już jest gładki, że rzeczywistość się zeń ześlizguje. Aforyzm — to jakby pazurek, który zostawia na gładkiej powierzchni ryse, mikroskład. I to stanowi pewną pociękę.

Najłatwiejszy przystęp ma człowiek do samego siebie, lecz u samego siebie najtrudniej coś wskórać.

Aluminium — to lekkoduch metali.

Tylko przechodzone tematy nadają się na każdą nogę.

Ludzkość formuje olbrzymi wzór, w którym objaśnieniem symboli zajmuje się filozofia.

Każdy kapelusz chodzi w aureoli ronda.

W kryzysie szyjemy za szerokie rękawy, aby sypać z nich niedostatkiem.

Czystą głupotę zauważa się dopiero po wypraniu mózgu.

Aforysta jest jak ząb: gryzie myśli, ich trawienie zostawiając innym.

Okazje zwykle czekają przy drodze konieczności.

Ułamek piętrowy — to karkołomny dowcipniś kalkulacji.

I słońce się uśmiecha, tylko nie pozwala tego dostrzec.

Z tego, czym się otaczasz, największą wartość ma powietrze.

— A czym różnią się od innych?

— Ja potrafię myśl zagaścić. Jestem jakby kondensatorem, a wielu aforystów — to po prostu rozpylacze.

— Studia techniczne pomogły panu w tworzeniu aforyzmów?

— Bez wątpienia. Nauczyły mnie ostro i precyzyjnie oceniać zjawiska, dały zdolność krótkiego definiowania i podstawę do dalszego drążenia w próżni świata.

— Czy aforyzm może zdawić świat?

— Tylko pod warunkiem, że będzie grzeszył intelektem.

— Porównuje się pan z kimś?

— Nie, bo każdy człowiek jest inny. Zresztą nie lubię się mierzyć. Przypomina to pobór do wojska.

— Ale jakoś umieszcza się pan w pejzażu polskich aforystów?

— Tak. Należę do pospolitego ruszenia aforystów polskich. Daleko mi do czołwki. Zupnie jak w życiu: jedną nogą na straconej pozycji, a drugą — w poszukiwaniu oparcia. W rezultacie — pozycja bez wyjścia.



Najradośniejszy czas w roku, kiedy kalendarz liturgiczny wskazywał dzień święcony jako pamiątkę narodzin Chrystusa, nie zawsze przypadał na trzecią dekadę grudnia. Aż do IV wieku naszej ery w ówczesnym chrześcijańskim świecie Boże Narodzenie obchodzono 6 stycznia. Dopiero papież Kalikst II swą bullą przeniósł dzień ten w kalendarium chrześcijańskich świąt na 25 grudnia, w okresie zimowego przesilenia.

Czas, kiedy po najdłuższej nocy w roku dnia zaczynało przybierać, był w obrzędach wszelkich europejskich narodów okresem świętym radośnie i wesoło. Wiele zwyczajów związanych z rzymskimi Saturnalia — świętami ku czci Saturna, Pana Czasu — przeniesiono w czasy chrześcijańskie. Towarzyły więc Bożemu Narodzeniu wspólne uczty, kiedy to przy stole nie powinno zabraknąć nikogo i służba, a nawet niewolnicy wyczyszczali razem z chlebobawcami. Obdarowywano się wówczas prezentami, pod powalą domów zawieszano gałęzie wiecznie zielonych drzew, palono ognie i kolorowe świece.

Bywały pewne potrawy i owoce spożywane tradycyjnie przez Rzymian w dni Saturnaliów, które trafiły na chrześcijańskie stoły stając się przysmakami, jakich nie mogło zabraknąć w dni Bożego Narodzenia. A więc obfitość bakalii z migdałami i orzechami (w starożytności symbolizowały zdrowie i długowieczność), słodkie ciasto pieczone z miodem w kształt kragłych placków przypominających słoneczną tarczę, dorodne jabłka i owoce granatu. Te ostatnie wyrażały życzenia bogactwa i wszelkiej obfitości dla domu i wszystkich biesiadników.

Chociaż kulturoznawcy uważają, że choinka jest zwyczajem nie sięgającym dalej niż początku XIX wieku, niektórzy etnografowie badający obyczaje angielskie z czasów renesansu są zdania, że na Wyspach Brytyjskich wieszano przybrane złożonymi orzechami gałęzie drzew iglastych na długo przedtem, zanim Niemcy uznali pięknie oświetlone i przyozdobione szpilkowe drzewko za symbol Bożego Narodzenia.

Nawet angielscy purytanie, którzy za czasów Cromwella przez lat kilka zabronili radosnych obchodów tego święta, zastępując zabawy, podarki i biesiady wspólnym gromadzeniem się na modły i pobożne pieśni, nie zrezygnowali z takich właśnie dekoracji swych domów w świąteczne dni, tłumacząc zachowanie tego zwyczaju wersemet z Księgi Izajasza: *Chwała Libanu do Ciebie przyjdzie jodła i bukszpan, sosna spolem, aby ozdobić miejsce świętości mojej.*

Na szczęście dla tych, których

TE DNI GODAMI ZWANE



spojrzenie na życie nie było tak surowe jak purytańskich kaznodziej, tylko przez pięć lat nie wolno było w Anglii palić świątecznych ognia, przyrządzać smacznych potraw i ponczu, śpiewać wesołych pieśni i zapraszać się nawzajem, kiedy kalendarz wskazał 25 grudnia.

W tradycji angielskiej wiele było też opowieści związanych z tym okresem roku, na polu o historycznych, na polu o legendarnych postaciach, jak król Artur i jego rycerze, wróżka Morgana, a także o rusalkach, błędnych ogniach, zjawach i duchach, które w późniejszym czasie zmieniły się w tak ulubione przez Anglosasów opowieści wigilijne. Najsympliczszą z nich napisał, oczywiście, Dickens, a w ślad za nim zaczęli świąteczne baśnie tworzyć i inni pisarze. Poczynając od czasów wiktoriańskich zbiory takich historii, pięknie ilustrowane i w ozdobnej oprawie, przygotowują na każdą Gwiazdkę najbardziej znane angielskie oficyny, z przeznaczeniem na prezenty świąteczne. Podobno angielska rodzina królewska posiada w pałacu Buckingham kilka szaf z półkami zapelnionymi wyłącznie tego rodzaju książkami, przesłanymi jako wigilijny podarek przez wydawców.

Niepowtarzalny, radosny nastrój tych dni, kiedy darowane są wszelkie urazy i zapomniane złe chwile, inspirował artystów od czasów renesansu poczynając.

Tworzono więc elegijne sceny narodzin Chrystusa, ale oprócz nich także rodzajowe przedstawienia świątecznych biesiad, rozdawania prezentów, przyjacielskich spotkań, chwil rodzinnej radości przy zastawionym stole, nad którym zwisają wieńce z jedliny. Malowali takie obrazy holenderscy mali mistrzowie z XVII stulecia, francuscy artyści doby rokoka i angielscy malarze czasów wiktoriańskich.

A że Boże Narodzenie wiązało się zawsze z melodią radosnych pieśni — zarówno wyrosłych z religijnego ducha kołęd, jak i bar-dziej świeckich kantyczek czy pastorałek, również i kompozytorzy stworzyli wiele muzycznych dzieł opartych na motywach popularnych melodii śpiewanych w owe święta. Słynny jest *Wielki Koncert g-moll opus 12* Arcangelo Corellego ze sławnym *Largo Pastorale*, o którym mówiono, że jest to melodia podtyktowana kompozytorowi we śnie przez aniołów. Wiele filharmonii na całym świecie ma w repertuarze pod koniec grudnia skomponowane w 1734 roku *Oratorium na Boże Narodzenie* Jana Sebastiana Bacha, utwór o poważnej, ale, pogodnej, rozlewnej melodii.

W dawnej Polsce święta Bożego Narodzenia, zwane godami, obchodzono przez dni osiem, dopiero w XVII wieku skrócono je do dni czterech, a w roku 1775 — do dwóch.

Tak jak i w innych krajach słowiańskich i tu istniały wierzzenia i obyczaje świąteczne, jakich relikty przetrwały do dziś dnia. Z zapomnianych już w naszych czasach świątecznych wierzeń można wymienić te, które żywe były jeszcze w epoce renesansu i jako takie opisywane w ówczesnej literaturze. A więc, gdy zabrzmią dzwony na Pasterkę, woda w studniach i jeziorach zamieniała się w wino, a tam, gdzie leżały ukryte skarby, ukazywały się nad ziemią ogniki.

Noc wigilijna była też czasem rozmaitych, nieraz dość złośliwych żartów i psot, w jakich celowali zacy i rzemieślnicza cze-ladź: dolewano więc do naczyń z święconą wodą w kościołach inkaustu lub farby, co sprawiało, że wierni, żegnając się, plamili sobie czoła i ubrania, podpinano kłęzącym mieszczkom obręby powłóczystych szat, tak że gdy nieświadome tego panie wstawały, ukazywały ku radości psotników halki i pantaloony. Figte takie karanio — ale niezbyt surowo — pozbawieniem świątecznych przysmaków, czy koniecznością odgarniania śniegu sprzed kościołów i plebanii, gdyż były goły przede wszystkim czasem radości, sytości i wzajemnego wybaczenia sobie wszelkiego zła, aby z ufnością i dobrocią wobec wszystkiego co żyje, wstąpić w Nowy Rok. Wer.

— Szuka pan sobie jakichś poprzedników, wzorców?

— Przede wszystkim nie czytam sławnych aforystów, żeby nie robić podświadomych plagiatów. Interesują mnie zjawiska przyrody, krajobrazy, zaduma nad wszechświatem, ale staram się nie zapominać o humorze. A także upiększać aforyzmy poezją.

— Pan pisze aforyzmy, które są niezależne od kontekstu, nie stanowią wzmocnienia jakiejś tezy, obserwacji czy skojarzenia. Mają jakby byt niezależny. Inna więc musi być zarówno technika myślenia, jak pisanie.

— Aforyzm, to zaledwie kilka słów, ale powinien łączyć różne obrazy i mieć jeszcze dodatkowy blask, który to wszystko utrwali...

— Czy pan ma jakąś normę aforyzmów? Czy dla pana dzień bez aforyzmu, to dzień stracony?

— Staram się napisać tyle, żeby choć jeden zmieścił się w rubryce „P”.

— Aforystyka — to pańska jedyna pasja?

— Nie, jeszcze maluję. Moje obrazy to takie konkrety, osadzone na osiach fantazji. Po namalowaniu nie wiem, co zrobić z obrazem, bo nigdy bym go nie zawiesił na ścianie. Bardzo lubię gołe białe ściany i nawet gwóźdź w niej podsuwa mi czarne myśli.

— Co pan sądzi o polskiej aforystyce?

— Powinna chyba powstać polska szkoła. Jest tylu mądrych, wykształconych Polaków, wielkich indywidualistów, mistrzów słowa i fantazji. Rozpamiętywanie wieków trudnych doświadczeń powinno ich skłonić również do racjonalnego myślenia...

— Pańskie pragnienia?

— Podróż. Mógłbym całe życie mieszkać w pociągu. Stukot kół zastępuje mi zegarek, którego nie muszę nakręcać.

— Plany na przyszłość?

— Doktor Joachim Glensk, autor antologii „Współczesna aforystyka polska” (Wyd. Łódzkie, 1987), zamierza wydać dalsze tomy: „Aforyzmy o aforyzmach”, „Aforyzmy o Niemcach i Niemcach”, a także „Encyklopedię aforystyk światowej”, z uwypukleniem w niej aforystów polskich. Może znajdą się w nich i moje myśli... W najbliższej przyszłości chciałbym tłumaczyć z hiszpańskiego książkę niezwykłego już profesora Akademii Sztuk Pięknych w Santiago de Chile, pana Tadeusza Kowaleczki, *Jan z Kolna*, zawierającą nowe ślady i dowody świadczące o polskim pochodzeniu przedkolumbijskiego odkrywcy Ameryki.

— Czy trudno panu pisać aforyzmy?

— Nie, bo jestem małomówny. Poza tym tu najważniejsza rzecz — to szybko postawić kropkę, żeby ostatnie słowo poza nią nie wstawało.

WIELKI!

KONKURS „PRZEKROJU”

pod pikantnym
tytułem

KTO leży w tym ŁÓŻKU

?

W dwudziestu łóżkach leżą znane powszechnie z historii lub literatury postaci (niekoniecznie osoby i niekoniecznie pary). Nasze konkursowe postaci wypowiadają przed zaśnięciem po kilka zdań, ponieważ ludzkość od wieków najważniejsze rozmowy zwykła przeprowadzać nie tyle przy okrągłych stołach, ile raczej w przytulnych łóżkach.

Z poszczególnych dialogów należy wysnuć odpowiednie wnioski i odgadnąć, kto z kim leży w danym konkursowym łóżku. Ostateczne wyniki tych rozmyślań należy wpisać starannie w rubryki zamieszczonego w rogu kuponu, opatrzyć swoim imieniem i nazwiskiem, dokładnym miejscem zamieszkania i przesłać do redakcji „Przekroju”: 31-012 Kraków, ul. Reformacka 3, z dopiskiem KONKURS, do dnia 10 lutego włącznie. Decydować będzie data stempla pocztowego!

Wszystkie prawidłowo rozwiązane kupony wezmą udział w losowaniu nagród: 50 egzemplarzy książki Lucyny Ćwierczakiewiczowej „365 obiadów”, przygotowanej do druku przez Jana Kalkowskiego i jego dedykacją opatrzonej, wraz z 50 zestawami przypraw ofiarowanych laureatom konkursu przez FRUTAROMĘ. A więc kuchenną przeszłość można będzie w praktyce wzbogacić przyprawami dzisiejszymi. Zdobywca I nagrody otrzyma telewizor kolorowy.

1.

— Urzekające wale pobudowałeś na trasie naszej przejażdżki, drogi Grigorij. Bardzo efektownie się prezentowały, nie przeczę, ale mogłeś jeszcze dodać jedno albo dwa sztuczne miasta. Wrażenie byłoby o wiele większe, nie sądzisz?

— Masz rację pani moja, jak zwykle jesteś mądra i Wleczka.

3.

— Drogi Jean, zapamiętaj sobie raz na zawsze, że kiedy następnym razem będziesz jechał służbowo do tej swojej Vienny, to ja jadę razem z tobą.

— Bój się Boga! A do kogoś ja będę listy pisywał?

5.

— Skończ z tą pozą, Sire! Czy w łóżku też masz zamiar trzymać ciągle prawą rękę za pasuchą?

— Marie, douceur de ma vie, jestem gotów trzymać rękę nawet na koldrze, moja ty miss Polonia spod Łowicza.

2.

— Czemu się ode mnie odwracasz tak demonstracyjnie?

— Bo czuś cię, Auroro, tytuniem. Czekałem tylko, kiedy zaczniesz palić w łóżku. A ja od tego kaszlę i kaszlę coraz bardziej. Mojemu fortepianowi też dym dobrze nie robi na struny.

4.

— Ziemkowi kudły porosły długachne okrutnie, mężu mój.

— Najwyższy czas, Rzepciu, co by mu je postrzygać, jako zwyczaj prądawny nakazywa.

6.

— Mgła jest dzisiaj tak straszna w Londynie, że nawet w naszym apartamencie na Baker Street kompletnie nie nie widać. Czy możesz mi w związku z tym podać swoją lupę, przyjacielu?

— A na cóż ci moja lupa, przyjacielu? — Może przy jej pomocy odnajdę wrzście swoje skrzypce, żeby coś zagrać na dobranec w tym melancholijnym dniu.

7.

— Ty byś tylko ciągle z dziecianną radością pociągał za sznurek...

— A ty byś tylko ciągle jak głupia bawiła się w punkt zbiorowego żywienia drobiu.

8.

— Całe szczęście, że fał wyrzuciły na naszą bezludną wyspę to zabłąkane łóżko. Nie jest zbyt wygodne, jak na dwie osoby, ale zawsze lepsze to, niż spanie na gołym piasku. Dobrze, że nie ma tu nikogo trzeciego, bo już by się nie zmieścił.

— Muszę ci powiedzieć, że to skandal. Ten cały D. D., który nas wymyślił i wpakował w tę trudną sytuację, mógłby nam chociaż coś do spania zorganizować. Autorzy są bealitośni, mój drogi Ro...

JEDYNY! WYJĄTKOWY! GWIAZDKOWY!

9.

— Czy ty nie musisz iść czasem trochę popanować? Jeszcze z mego powodu będziesz miał przykrości od tych zwirowanych antysemitów. Ja to rozumiem, im się może moje pochodzenie nie podobać.

— Grunt, że mnie się podoba. A że poświęcam ci sporo czasu, to tym się nie martw. I tak zdąję przerobić ten kraj z drewnianego na murewany.

12.

— Przestańcie śpiwać na okrągło o tych chejakiach co szumią. Jest na nie lochroń i lepiej o nich ceprom nie pomyślać, pęde tymi świętymi świętami. Niech se kupiom świecaka.

— A ty deś se pór, co byś se skały sie kiedy nie obsunęła dziewczyno, tak jako tera z tego łózka.

15.

— Znow owijasz się tym koszmarnym, długim jak wieczność szalem...

— Nie bądź taki sierozny. Ten szal powinien ci się podobać. On jest taki poetyczny.

— Ostrzegam cię, ten szal to tańcząca na wietrze tragedia.

— Moją tragedią stanie się szal, a twoją — Anglia.

17.

— Teraz już możesz śmiać się całkiem swyczałnie. Nawet możesz się uśmiechać głupkowato albo całą gębą, o ile masz na to ochotę.

— A tak nalegałeś przy pozowaniu, że bym była tajemnicza... Mówiłeś, że ta moja tajemniczość zapewni ci światową sławę...

— Tu jest łóżko, moja droga, tutaj wszystkie tajemnice przestają być tajemnicami.

19.

— Jutro nie musisz iść do laboratorium, Piotrze.

— To cudownie, Mario.

— Pojedziemy sobie znow gdzieś za Paryż.

— Wspaniale. Nie zapomnij tylko przedtem naoliwić łańcuchów w naszych rowerach. Ostatnio strasznie zgrzytały, aż wstyd było, kiedy mijali nas inni cyklisci.

10.

— Zanim mnie zaniechasz wypędzać do klasztoru, pozwól mi choć na chwilę spocząć obok ciebie. Obojgu nam się odpoczynek przyda. Czekała nas ciężkie chwile w tym duńskim zamczysku. Powiedz mi o czym tak bez przerwy myślałeś?

— O byciu i niebyciu. Jak zwykle.

13.

— Teras mnie zapewniasz po tysiąc kroć, że to ja właśnie jestem najpiękniejszą kobietą na świecie, ale złote jabłko za urodę przynależa całkiem innej istocie.

— Nie rób mi scen zazdrości. Mało ci wojny? To była polityka. Dzięki niej mam ciebie. Twoja uroda jest spartańska i królewska, a jej zaledwie boska.

16.

— Miałeś dobry pomysł szefie, żeby to piękne łóżko na 41 osób zamówić w Lechistanie. Tam potrafią rzeczywiście robić meble z rozna chem.

— A wicie chociaż, bandziory, ile to kosztowało?

— Nieważne, szefie. Odrobi się przy najbliższej okazji, jeśli tylko Allah pozwoli.

18.

— Cieszę się, że mogę być damą twojego serca, największy rycerzu wszystkich czasów. Ale czy nie mógłbyś choć na chwilę usunąć z łóżka tego konusa, swego sługę, który w dodatku okropnie chrapie.

— Jestem z nim związany na śmierć i życie. Nie zwracaj na niego uwagi. Moja droga, księżyc zgasł, moja droga, spać już czas...

20.

— Nie lubi mnie twoja mamusia, panie.

— A mnie nie lubią twoi bracia, pani.

— Żeby oni się z sobą dogadali, jak Polak z Polakiem, to wszystko byłoby proste, panie.

— Ba, ale jak to zrobić, żeby Italianka z Litwinami dogadali się jak Polak z Polakiem?

11.

— Wybrałem cię spośród wielu, żebyś mi znieśła dwa jaja, które mi są niezbędne do rozbudowy mego drzewa genealogicznego.

— To ty? O Boże! Nie poznałam. Dobrze, że nie ma w domu mego męża Tyndarosa. Ale i tak bądź ostrożny, żeby cię nasza kucharka nie upiekła przypadkiem zamiast gęś.

14.

— Zjeżdżaj natychmiast z mego cesarskiego łóża. Zwirowałeś? Zwierzgasz mi całe prześcieradło kopytami. Nie rzyj, jak do ciebie mówię! Fakt, że zrobiłem cię konsulem upoważnia cię wprowadzić do bywania w senacie, ale nie w mojej sypialni.

Nr

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20

Nazwisko i imię

Adres

BYŁEM W WIEDNIU, ROZMAWIAŁEM Z CESARZEM FRANCISZKIEM JÓZEFEM I, SPĘDZIŁEM CAŁY DZIEŃ W JEGO APARTAMENTACH W HOFBURGU, BĘDĄC ŚWIADKIEM WSZYSTKICH JEGO URZĘDOWYCH I PRYWATNYCH CZYNNOŚCI. ROZMAWIAŁEM Z CESARZEM, BO ROZMAWIAĆ MÓGŁ KAŻDY.

CI NIEDYSKRETNI POKOJOWCY

O ludziach sprawujących funkcje kamerdynerów na dworach władców, czy u boku znanych osobistości mawiano niegdyś z przekąsem, że często mogą u swych panów więcej niż niejeden minister. I rzeczywiście, było w tym wiele prawdy — dobry kamerdyner cieszył się wielkim zaufaniem (zwykle było to zajęcie dla ludzi, którzy wywodzili się z rodzin od pokoleń służących danej rodzinie), a jego możliwości udzielenia protekcji były wielkie.

Kamerdynerzy rzadko kiedy dożywali starości w tej samej liberii, nieraz wdzięczni władcy nobilitowali ich, mianowali szambelanami czy kamerjunkturami, bądź mistrzami ceremonii. Zdarzało się, że nagle stawali się ludźmi majątynymi — i dziękowali za służbę, a jeżeli u podstaw fortuny leżały pieniądze zarobione na przekazywaniu tajnych wiadomości obcym dworom, wyjeżdżali nagle w niewiadomym kierunku i po latach pojawiali się jako szacowni obywatele dalekich krajów.

Niektórzy weszli do annałów światowego pamiętnikarstwa, dyktując, czy spisując swoje wspomnienia dworskie. Najśawniejsze chyba pamiętniki pozostawił Belg, Louis Vairy Constant (1778—1845), syn oberżysty, który przez czternaście lat był ulubionym kamerdynerem cesarza Napoleona I. Rozstał się ze swym panem w kwietniu 1814 roku w przededniu wyjazdu Napoleona na Elbę, podobno w okolicznościach gwałtownych i ukazujących prawdziwe oblicze układnego dotąd i wielce faworyzowanego przez cesarza sługi. Imię Constant okazał się bowiem — jak twierdzili jedni — angielskim szpiegiem, inni określali to łagodniej jako jednorazowe przekupstwo ze strony brytyjskiego wywiadu. Jako stary już człowiek, Constant, żyjąc w swej wygodnej posiadłości w południowej Francji, podyktował obszerne wspomnienia ukazujące cesarza i jego dwór „w roddeszambach” (czyli w domowym odzieniu) — jak określił ową książkę jej pierwszy wydawca. Pamiętniki Constanta, wyjawiającego wszelkie niedyskrecje związane z cesarską rodziną i bliskimi tronu dworzanami, uchodziły za lekturę skandaliczną, lecz cieszącą się wielką popytnością.

Nie wywołały one jednak takiego oburzenia, jak opublikowane przed I wojną światową wspomnienia kamerdynera królowej Wiktorii, ukrywającego się pod banalnym pseudonimem Johna Smitha, który zgorszył podanych Jej Królewskiej Mości opisując, jak ich bardzo moralna władczyni wieczorem, w zaciszu swej sypialni, po odmówieniu pacierzy zaciągała się cygarem (czego nie tolerowała w swej obecności na dworze), a nawet piła — na lepszy sen — pucharek gorącej whisky mieszaney z sokiem.

Inny kamerdyner Wiktorii, George Blackstone, zasłynął w swoich czasach jako wynalazca specyfiku przywracającego perłom i drogim kamieniom, a także szlachetnym metalom — piękny, czysty blask. Wynalazł on również sposób na konserwowanie i czyszczenie starych koronek i wybielanie muslinowych mankietów. Wspomnień żadnych nie spisał, za co władczyni i następcy tronu byli mu szczerze wdzięczni i pamiętali o nim w testamentowych zapisach.

Eugen von Ketterl, nobilitowany przez Franciszka Józefa, służył swemu władcy do końca jego długiego życia, a jako stary już człowiek spisał wspomnienia mniej może skandalizujące niż opowieści Constanta czy Smitha, lecz także interesujące. W Austrii doczekały się 10 wydań i przetłumaczono je na kilka języków — w tym także i czeski. U nas fragmenty ich ukazały się przed paru laty nakładem Śrdeckiej Oficyny Wydawniczej.



Z Najjaśniejszym Panem Jego Cesarską Wysokością FRANCISZKIEM JÓZEFEM

na zamku
w Wiedniu
rozmawiał
Leszek Mazan



Tak, każdy! — i to w cztery oczy, bez względu na swe stanowisko społeczne, narodowość, czy rodzaj sprawy. Trzeba się było tylko zgłosić z prośbą o rozmowę (nawet bez podawania jej bliższych motywów) w kancelarii dworskiej, ewentualnie uczynić to drogą korespondencyjną. Potem rozpoczynało się wielkie oczekiwanie — wielkie, bo trwające nieraz i 14 dni. W moim wypadku trwało to nawet nieco dłużej, gdyż Najjaśniejszy Pan był nieco niedysponowany. Wprawdzie cieszył się żelaznym zdrowiem, ale akurat wtedy nie był w zbyt najlepszym nastroju i nie miał ochoty na rozmowę. Kiedy przypomniałem później Eugenowi Ketterlowi moje kłopoty z uzyskaniem audiencji,



spytal mnie, kiedy to było i westchnął głęboko:

— No, tak, wszystko rozumiem. To było zaraz po naszym powrocie z Godollo... Tam, na Węgrzech, sypialnia Najjaśniejszego Pana znajdowała się o kilka pomieszczeń od sypialni cesarzowej Elżbiety. Mój dobry pan przez dziesięć poranków próbował ją odwiedzić i za każdym razem bez powodzenia. Pokojówki i damy dworu oświadczały mu, że Najjaśniejsza Pani śpi. Mówiły to jemu, cesarzowi, władcy połowy Europy! Widziałem go, jak wracał spod drzwi kobiety, która przecież była jego żoną, w samej nocnej koszuli, w narzuconej na ramiona bluzie mundurowej. I czuł na sobie spojrzenia służby i miał pełne prawo niepokoić się o losy dynastii. Nic więc dziwnego, że, pamiętam, terminy audienencji zostały po powrocie do Wiednia przesunięte. Tu humor mu się nieco poprawił, ale gdy znalazł w sypialni Najjaśniejszej Pani stołek z sokiem, wyciśniętym z 6 kilogramów wołowego mięsa... brrrr..., gdy spytał, co to jest, odpowiedziała, że jej całe pożywienie na dziś, jako że przytyła 3 dek. Potrząsnął głową, wyszedł, a spotkawszy mnie za drzwiami, popatrzył mi w oczy i powiedział: — Ketterl, to straszne...

No, ale mimo wszystko zostałem przyjęty. Do podjęcia starań namawiali mnie, przyrzekając protekcję, autorzy całodziennego bloku programowego TV Kraków — Bronisław Cieślak i Andrzej Urbańczyk. Dzięki nim naszą rozmowę transmitowała w programie ogólnopolskim telewizja. Cieślak proponował, bym, zgodnie z wymaganiami dworskiej etykiety, wystąpił w alternatywie fraka, czyli stroju ludowym. Dyżurną czapkę-krakuskę ma w redakcji naczelny „Przekroju”. Mieczysław Czuma, zaś sukmanę pożyczę się od prezesa cepeliwskiej Spółdzielni im. Wyspiańskiego, Bronisława Kurka, występującego w niej na wszystkich naradach i kongresach (kosę zostawiam w szatni). Rada w radę, że to jednak — zdaniem niektórych, reprezentując raczej mieszczaństwo niż lud — zdecydowałem się na frak.

A OTO FRAGMENTY ZAPISU AUDIENCYJNEGO DIALOGU:

— Najjaśniejszy Panie, sechciej szewcic, bym na wstępie mógł wyrazić najgorętsze, najserdeczniejsze podziękowanie za możliwość przeprowadzenia tej rozmowy...

— Cóż, traktujemy ją jako nasz obowiązek. Nie ukrywamy — dość przykry, bo przecież jest pan, o ile hrabia Paar nie poplątał czegoś na dzisiejszej liście audiencyjnej, przepraszam za wyrażenie, dziennikarzem?

— W samej rzeczy.

— Rządowym, czy opozycyjnym?

— Och, Najjaśniejszy Panie...

— No, mniejsza z tym. Jak pan zapewne wie, nie lubię dziennikarzy, niezależnie od nastroju, z którego pochodzą, i pisma, które reprezentują. Schreibpolack? Niech będzie Schreibpolack. Ganz egal.

— Pozwól sobie zauważyć, że nigdy na tym dworze nie byliśmy — my, szwajcarscy, traktowani z tak wielką Najjaśniejszym Panu, wobec innych profesji, łaskawością...

— To prawda. Już Franciszek II, jeden z moich prawdziwie wielkich przodków, instynktownie czuł niebezpieczeństwo tzw. „wolnej prasy”, i nie szczędził żadnych wysiłków,

by odkażać swych poddanych z „zarazków rewolucji”. Roztoczył nad wszelkimi dziennikami, broszurami i wszelką produkcją literacką ostrą cenzurę, wiadomości o Austrii były publikowane jedynie za zgodą i w porozumieniu z rządem.

— I mimo to nie udało się uniknąć Wiosny Ludów...

— Mój Boże! Miałem wtedy 18 lat, kiedy wybuchła ta ruchawka, zwana — jak pan to powiedział? — Wiosną Ludów. Jakże mi było ciężko... Trzeba było czasu, bym zrozumiał potrzebę liberalizacji, widocznej choćby w prasie.

— Ale cesarza jednak pozostała.

— Ale nie przewencyjna, mój drogi Schreibpolacku, nie przewencyjna! Nigdy bym do tego ja, monarcha absolutny, nie dopuścił! Poza tym — czy nie pozwalałem na wiele? Czy Hofburg czy Schönbrunn miały dla pańskich kolegów jakieś tajemnice, o których nie można by pisać? Mało to plotek przeniknęło do prasy jeszcze przed moimi zaręczynami z Sisi, to jest, chciałem powiedzieć, z Elżbietą Bawarską? A któż to wypisywał, że ma ci ona zótte zęby, a o moim wyborze zdecydował fakt, że lepiej od swej siostry tańczyła polkę? A sprawa Mayerlingu — ileż niedorzeczności można by uniknąć, gdybym zdecydował się na sterowanie ręczne, przykręcił kurek prasie!

— Jeśli się nie myli, kurek jednak przykręcono, przynajmniej my w Galicji mogliśmy czytać tylko przedruki oficjalnego komunikatu z „Wiener Zeitung”...

— Cóż pan chcesz, chodziło przecież o skandal w wykonaniu następcy tronu, o mojego syna, o Habsburga! Zresztą w końcu i tak zaczęliście się bawić w sensację, nie uszanowaliście nawet bólu matki biegającej nocami do krypty kościoła Kapucynów, do trumny Rudolfa... nie, nie mogę was lubić.

— Trudno jednak nam się dziwić, przecież i my i reszta poddanych chcielibyśmy wiedzieć wszystkie o naszym umiłowanym przywódcy, o jego rodzinie, o całym domu panującym, któremu winniśmy byli — i jesteśmy nadal — nieograniczoną wierność, miłość i lojalność. A jakie kochnąć krew, kogo się nie zna? Moi koledzy pisali przecież nie tylko o awerskich skandalach, ale i o spartańskich warunkach codziennego bytowania cesarza, o owym sławnym wąskim, tężącym kółku, na którym sypiał, o oddawaniu raz do roku ubogiej służbie własnej bielizny, o negatywnych rodzących się z tego, niż czynili to pół wieku później inni cesarze, Hejle Sejjasje, o cności i nienagannyh obyczajach dworu...

— No właśnie. Pokazywano mi kiedyś podreęcznik dla szkół galicyjskich „Zdarzenia z życia naszego monarchy”. Zamyśl był dobry, ale to przesada, przesada! Rozpyliwalicie się w zachwytach nad owymi cnotami — a potem skandal z Rudoltem, afera z Maksymilianem, afera z morganatycznym małżeństwem tego idioty Ferdynanda z hrabianką Chotek, no i wreszcie pomysł odkupienia od mojej administracji Wawelu i orestaurowania tej malowniczej ruiny...

— Została ona jednak nadal własnością Habsburgów, Najjaśniejszy Pan i jego rodzina mieli zastrzyżone się tam w czasie kalendarzowego pobytu w Krakowie.

— Co? Ja??? W Krakowie??? Z moim reumatyzmem i chronicznym bronchitem? Z koniecznością życia, jak najdłużej dla dobra moich ludów? Na Wawelu, tym odwiecznym, gościł tylko następca tronu arcyksiążę Karol ze swą żoną Zytą. Nawiasem mówiąc, Karol, który objął tron po mojej śmierci, nadawał się

do tego jeszcze mniej niż zastrzelony w Sarajewie Ferdynand. Czy pan zna jego pierwsze pokoronacyjne zarządzenie?

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Ze należy, jak najszybciej wydrukować znaczki pocztowe z jego podobizną. Co pan o tym sądzi?

— Jeśli Najjaśniejszy Pan raczy mnie pytać o zdanie, to zawsze jako lojalny a nie obzydła pracownik frontu ideologicznego muszę stwierdzić, że...

— Dobrze już, dobrze. I tak mi pan nie powie tego, co myśli, zdążyłem się już do tego przyzwyczaić. Czasem nawet się wam dziwiłem i nadal dziwię. Nieraz przy ładaniu u pani Schrat... wie pan, o kim mówię?

— Wiedział i wie cały Wiedeń.

— No, właśnie. A więc, gdy przy bawarce i rogalikach czytałem codzienne piśmiidła, zachodziłem nieraz w głowę, czemu nie chcą napisać, jeśli niecałej, to przynajmniej części prawdy?

— Właśnie owe pragnienie sprawia, że odmiadam się dziś przedrzeć Najjaśniejszemu Panu grzbiet...

— ...o protekcję u nowego premiera?

— Ależ, gdzież tam!... protekcji, o której prętnie w polityce, muszę mi powiedzieć, przy poparciu Wąsnej Wysokości, ktoś inny, choć równie mocno oddany monarchii.

— Proszę mi ją dać. Przeczytam, rozpatrzę, powiadomię.

W tym momencie skończyło się nasze, publicznie rejestrowane, spotkanie. A za kilka dni dostanę z Wiednia, z kancelarii dworskiej pismo, bym zgłosił się do osobistego kamerdynera Jego Cesarskiej Mości, Eugena Ketterla.

— Czym się pan kierował, prosząc o łaskę zezwolenia na przyjęcie tutaj?

— Przekonałem ze wzruszenia ślinę.

— Chciałem być choć raz bliżej Najjaśniejszego Pana. W tłumie, który tłoczy się zawsze, by go powitać, raz mnie zdeptano, drugi raz, choć jedździ bez jakiegokolwiek ochrony, odepchnięto...

40-letni mężczyzna z czarnymi bokobrodami i w nienagannie skrojonym żakiecie pokijał głową gestem zrozumienia i aprobaty.

— Pan zapewne z Galicji, prawda? Poznaję po intencjach i motywach. Proszę za mną, coś pokażę. Tylko cicho, by nie obudzili...

Przeszliśmy przez dwa pokoje mroczne, ciche i skąpo umeblowane do sali, gdzie pod oknem leżała na wąskim stołiku na jednej nodze — otwarta księga audiencyjna. Mężczyzna pochylił naftową lampę (cesarz nie pozwalał używać w zamku światła elektrycznego, windy również, z uwagi na niebezpieczeństwo pożaru). Pod dzisiejszą datą widniał anons: godzina 10.45 — hrabia Trzciński, Galicja. Cel audiencji: podziękowanie za otrzymane łaski.

— Pewnie nasz dobrotliwy pan zapłacił za jego syna, oficera, długie karciane — westchnął mój przewodnik. — A dla siebie skapi nadal, nawet na garderobę. Kozuch, który dostał od cara Aleksandra, nosił przez 20 lat. Sobolowy, prawda, ale już przetarty na szwach. Gdy zamówiłem u kufnierza Uzla nowy, za 800 koron, wyrzekł, że wyrzucam pieniądze w błoto. A te jego mundury! Dobrze przynajmniej, że tak często występuje w ofiarowanych przez zagraniczne armie... no, z bielizną trochę lepiej, nie chce nosić cerowanej, oddaje ją, jakże słusznie i łaskawie, nam, służbie...

Tętniący w dzień życiem Hofburg, w którym pracowało ku chwale monarchii i Jego Cesarskiej Mości 2170 osób, podzielonych na różne kategorie służbowe — w nocy był po prostu ogromnym, pustym, wyludnionym zamkiem. Przed bramą główną, przed bocznymi wejściami i na korytarzach stali, często śpiący na stojąco, wartownicy, w izbie kurierów i w stacji telegraficznej kręcili się oficerowie niższych stopni, w adiutanturze drzemał w rozpiętym mundurze któryś z osobistych dyżurnych adiutantów cesarza. Mundur był zresztą, podobnie jak wszystkich wojskowych obecnych na zamku, parady, oficerowie byli przy szablach, a bez orderów każdy żołnierz w Hofburgu czy letnim pałacu w Schönbrunnie czułby się, jak polski urzędnik bez teczki.

W apartamentach cesarskich, przylegających do adiutantury, a biegnących długą amfiladą przez całe piętro, również panowała pustka i ciemność. Prócz oberkamerdynera Ketterla, który obsiadcze odpowiadał za porządek i komfort pracy Najjaśniejszego Pana, pracowało tu jeszcze dwu — nieobecnych od godzin popołudniowych osobistych kamerdynerów, dwu odźwiernych, czterech pokojowych — służących w uniformach myśliwskich, dwu lokajów i trzy pokojówki. Porządek w prywatnych apartamentach, w sali audiencyjnej i antykamerze uczyniony jednak został już wieczorem.

(Dokończenie na str. 40)

„Ten, kto się nie roześmieje podczas lektury, jest niebezpiecznie chory”

RICHARD FEYNMAN (ur. 1918) jest jednym z najwybitniejszych fizyków-teoretyków na świecie. W 1965 roku otrzymał Nagrodę Nobla za stworzenie relatywistycznej elektrodynamiki kwantowej. Znaną jest jednak nie tylko jako fizyk, ale i jako człowiek o wyjątkowo bogatej osobowości, temperamencie i poczuciu humoru. Istotnie, niewiele jest ludzi, którzy mieliby za sobą równie jak on różnorodne przeżycia i doświadczenia: jest naukowcem, który rozwiązał zagadkę płynnego helu i malarzem-amatorem, który na zlecenie właściciela pewnego, dość podejrzanego lokalu malował portret nagiej kobiety-toreadora. Właśnie jemu udało się przełamać wymyślne kody strzegące tajemnic bomby atomowej w Los Alamos i właśnie on wygrał konkurs brazylijskich orkiestr rozrywkowych, grając sambe do instrumentu zwanego „frigidaira”. Prowadził fachowe dyskusje z Einsteinem i Bohrem, a w przerwach grywał na perkusji w kabe-recie.

Jest „mieszaniną wybuchową” wybitnej inteligencji, nieograniczonej ciekawości, nieskończonego sceptycyzmu i szalonej beczelności. Przez całe życie zdarzały mu się rzeczy niezwykle i niecodzienne przygody. Niektóre z nich sam prowokował swoim niekonwencjonalnym zachowaniem, inne zaskakiwały nawet jego samego.

Anegdoty, które opowiadał przyjaciółom, zostały zebrane (podobnie zresztą jak znane i u nas „Feynmana wykład z fizyki”) przez jednego z jego niezliczonych przyjaciół i wydane w formie książkowej pod tytułem: „Pam chybą żartuje, panie Feynman!” Te pełne oburzenia słowa wypowiedziane pod adresem młodego studenta przez żonę jego ówczesnego dziekana są niejako leitmotivem pozazawodowego życia wielkiego uczonego (któremu zresztą udało się do cna obalić mit dystyngowanego, nobliwego i trochę nadętego profesora). Te zabawne historyjki pozostawiają jakby nieco na uboczu to, co zawsze stanowiło prawdziwą treść jego życia: naukę. Ale pokolenia jego studentów wiedzą, że właśnie ona — i tylko ona — liczyła się naprawdę. Kiedy przychodził na jego wykłady, zastawali profesora stojącego na podium, uśmiechającego się do wszystkich po kolei, wybijającego palcami jakiś skomplikowany rytm na czarnym blacie stołu zastawionego aparaturą. Potem, czekając na ostatnich spóźnialskich, brał w palce kredę i przez moment bawił się nią, jak szwaler żetoniem. A potem — ciągle się uśmiechając — zaczynał mówić. To fizyka wywoływała ten uśmiech i ten figlarny blask w oku — niby jakiś niezwykły publiczności żart. I ta radość oblażywała się zaraźliwie! Ta sama radość, która kryje się w anegdotkach Feynmana — pozornie białych, a jednak kryjących w sobie iskierki głębokiej mądrości wielkiego człowieka.

W jednej z wielu recenzji książki, która natychmiast stała się w USA bestsellerem, napisano: „Ta książka jest jak paperek lekmasowy: ten, kto się nie roześmieje podczas lektury, jest niebezpiecznie chory!”

Opowiadanki z tomu „Pam chybą żartuje, panie Feynman” są ułożone chronologicznie — poczynając od wspomnień z dzieciństwa, przez studia w słynnym Massachusetts Institute of Technology i w Princeton, po pracę zawodową: najpierw w Los Alamos, gdzie narodziła się bomba atomowa, a potem w kilku amerykańskich uczelniach i wreszcie w kalifornijskim Instytucie Techniki w Pasadena. (et)

dów: pismo na tych wszystkich kartkach, i tak dalej, że wkładka ich zde-maskowano. Założyłem, że jak znajdę tych, co ukradli pierwsze drzwi, to zaraz automatycznie ich oskarżę także o kradzież tych drugich. I rzeczywiście: facetów, którzy je zabrali, wszyscy wypytywałem, szarpali i torturowałem na różne sposoby, aż wreszcie — po długich i ciężkich cierpieniach — udało im się przekonać prześladowców, że mimo iż wydaje się to zupełnie nieprawdopodobne, oni zabrali tylko jedno drzwi.

Sluchałem tego wszystkiego i w duchu zaśmiewałem się do rozpuku.

Drugich drzwi nie znalazłem przez cały tydzień i facetom, którzy chcieli wkuwać w tamtym pokoju, coraz bardziej zależało na tym, żeby się wreszcie znalazły. W końcu, aby ostatecznie rozwiązać ten problem, prezes słowoznawstwa studentów oświadczył wieczorem podczas kolacji:

— Musimy wreszcie rozwiązać sprawę tych drugich drzwi. Nie zdołałem tego zrobić sam, więc oczekuję teraz jakichś propozycji z waszej strony, ponieważ muszę to jakoś załatwić. Pete i jego koledzy próbują porządknie studiować.

Węc ktoś sugeruje to, ktoś inny zaś — tamto. Po chwili wstając ja i mówię pełnym zjadliwej ironii głosem:

— Słuchaj no, ty. Już nam dowodziłeś, że jesteś wspaniały. Taki sprytny! Nie możemy się ani rusz domyślić, kim jesteś! Musisz być naprawdę genialny. Wcale nie trzeba, żebyś nam powiedział, kim jesteś, wystarczy, że powiesz, gdzie schowałeś te nieszczęsne drzwi. Wobec tego gdybyś nam mógł w jakimś miejscu zostawić karteczkę z wiadomością, gdzie one są, byłibyśmy ci naprawdę wdzięczni. Jeśli to zrobisz, na zawsze obwołamy cię geniuszem; uznamy, że jesteś dość sprytny na to, aby zabrać z powrotem te pierwsze drzwi i dalej nie dać się złapać. Ale, na świątę bożego

Powód, dla którego myślę o sobie jako o „antyintelektualistcie” sięga okresu, kiedy byłem jeszcze uczniem. Zawsze się bałem, żeby nie być „babą”, żeby nie być zbyt delikatnym. Prawdziwy mężczyzna nie mógł, moim zdaniem, zwracać żadnej uwagi na takie rzeczy, jak na przykład poezja. Jak powstaje poezja — takie pytania nigdy nie przychodziły mi do głowy. Wyrobiłem sobie wrogą postawę wobec facetów, którzy studiują literaturę francuską albo zajmują się zbytnio muzyką, poezją czy innymi tego rodzaju głupstwami. Podziwiałem natomiast hutników, spawaczy czy mechaników. Człowiek, który pracuje w warsztacie mechanicznym i umie coś zrobić czy naprawić — ten, to jest gość! To było moje stanowisko w tej sprawie. Być człowiekiem czynu — oto prawdziwa wartość, natomiast to, czy się jest człowiekiem kulturalnym czy intelektualistą — nie ma żadnego znaczenia. Pierwszy jest na-

Mieszanie

— Nie, proszę pana! Nie brałem drzwi.

— Maurice! Brałeś drzwi?

— Nie brałem drzwi, proszę pana.

— Feynman, a ty brałeś drzwi?

— Tak, brałem drzwi.

— Uspokój się, Feynman! To poważna sprawa. Sam! Brałeś drzwi?

I tak dalej, aż obszedł wszystkich po kolei. Wszyscy byli wręcz wściekni. W słowoznawstwie znalazła się świnia, która za nic ma sobie słowo honoru!

K
T
O

U

KRADŁ

DRZWI

Pewnego dnia obudziłem się bardzo wcześnie — była mała pięta rano. Nie mogłem już zasnąć, więc zszedłem na dół, dostrzegając po drodze porozwieszane na ścianach korytarza napisy, które głosiły: „Drzwi! Drzwi! Kto ukradł drzwi! Przyznajcie się natychmiast, kto ukradł drzwi!” Połem zobaczyłem, że ktoś zdjął z zawieszonych gdzieś jedno z drzwi prowadzących do pokoiów, a na ich miejscu zawiesił napis: PROSZĘ ZAMYKAĆ DRZWI, który przedtem na nich wisiał.

Od razu się połapałem, co jest grane. Był to pokój, w którym Pete Bernays i jeszcze kilku innych facetów przesiadywało godzinami i ostro zakurkawało, więc zawsze chcieli tam mieć spokój. Kiedy się do nich po coś weszło albo kiedy się ich chciało zaprosić o jakieś zadanie, to zaraz wrzeszczeć: „Proszę zamykać drzwi!”

Węc komuś się to wreszcie znudziło i postanowił drzwi zdjąć. Tak się

składało, że w tym pokoju było dwoje drzwi, więc przyszedł mi do głowy taki pomysł: zdjąć te drugie z zawieszonych, zanieść do piwnicy i schować za kotłem. Potem cichutko wróciłem do siebie i położyłem się z powrotem do łóżka.

Po jakimś czasie udałem, że się dopiero budzę, ubrałem się i zszedłem na dół. Roilo się tam od chłopaków, a Pete i jego koledzy byli po prostu wściekli: wyobraźcie sobie, oni muszą się uczyć, a tu, w pokoju, nie ma drzwi, itd., itd., itd. Zobaczyli mnie na schodach i od razu wrzeszczeć:

— Feynman, brałeś drzwi?

— Jasne, że tak — odpowiedziałem. — Patrzcie, jak sobie oktarłem rękę; to o ścianę, jak włókłem je na dół do piwnicy.

Albo oni wcale się tą odpowiedzią nie zadowolili, ponieważ po prostu mi nie uwierzyli.

Faceti, którzy ukradli pierwsze drzwi, zostawili za sobą wiele śla-

zostaw nam gdzieś tę wiadomość, a będziemy ci za to nieskończenie wdzięczni.

Potem wstaje ktoś inny i mówi:

— Mam inny pomysł. Myślę, że pan, jako prezes, powinien poprosić każdego z nas po kolei, aby, ręcząc słowem honoru za prawdę swoich słów, oświadczył nam, czy zabrał te drzwi, czy nie.

Prezes wstaje i powiada:

— To naprawdę wspaniały pomysł. Niech każdy zrzęczy słowem honoru członka naszego słowoznawstwa!

A potem rusza naokoło stołu i pyta każdego po kolei:

— Jack, brałeś drzwi?

— Nie, proszę pana, nie brałem drzwi.

— Tim, brałeś drzwi?

Wieczorem zostawiłem im karteczkę z rysunkiem kotła i oparymi o niego drzwiami, a następnego dnia drzwi odnaleziono i z powrotem osadzono na zawiasach.

W jakiś czas później przyznałem się, że to ja zabrałem te drugie drzwi. I wtedy wszyscy okrzyknęli mnie kłami. Nikt nie mógł sobie przypomnieć, co wtedy powiedziałem. Pamiętałem tylko, że jak prezes obszedł już cały stół dookoła, to doszł do wniosku, że nikt nie przyznał się do kradzieży drzwi. Pamiętałem całą sprawę, ale nie pamiętałem niczych słów.

Ludzie często biorą mnie za oszusta, ale w gruncie rzeczy jestem na ogół uczciwy, tyle że w pewien sposób — tak, że na ogół nikt mi nie wierzy!

prawdę kimś, natomiast drugi — to po prostu wariat.

Myślałem w ten sposób jeszcze w okresie, kiedy studiowałem w Princeton. Często jadłem wtedy w pewnej małej restauracyjce, która nazywała się „U Papy”. Pewnego dnia, kiedy jadłem tam obiad, z góry, gdzie właśnie odbywało się malowanie, zszedł malarz w roboczym stroju i usiadł obok mnie. Zaczęliśmy rozmowę i malarz zaczął mi opowiadać, jak wiele różnych rzeczy można się nauczyć pracując w jego zawodzie.

— Gdyby panu powierzono to zadanie — zapytał mnie w pewnym momencie — na jaki kolor pomalowałby pan ściany w tej sali?

Powiedziałem, że nie wiem, a on na to:

— Do takiej, a takiej wysokości trzeba zrobić ciemną lampę, ponieważ siadając przy stole, ludzie ocierają się łokciami o ścianę, więc nie można tam położyć bieli. Za szybko by się wybrudziła. Ale tam wyżej, to co innego: chodzi o to, żeby klienci widzieli, że jest tu świeżo i czysto.

Ten malarz na pewno dobrze

— Nie wiem jak zrobić żółty, nie używając żółtego.

— No więc, jeżeli się zmiesza biały i czerwony — on na to — to się dostanie żółty.

— Jest pan pewien, że nie chodzi panu o różowy?

— Oczywiście, że nie. Dostanie się żółty.

Więc uwierzyłem, że się dostanie żółty. W końcu był zawodowym malarzem, a ja zawsze podziwiałem takich ludzi. Ale ciągle się zastanawiałem, jak się to robi. Wreszcie przyszedł mi do głowy pewien pomysł:

— Na pewno chodzi o jakąś reakcję chemiczną. Czy pan używa jakichś specjalnych farb, które wchodzą ze sobą w reakcję chemiczną?

— Nie — on na to. — Wychodzi z każdych farb. Niech pan skoczy do domu towarowego i kupi trochę farb — puszkę najzwyklejszej czerwonej farby i najzwyklejszej białej — to je zmieszam i pokażę panu, że wyjdzie żółty.

Teraz myślałem sobie: „coś tu się nie zgadza. Wiem o farbach tyle, żeby wiedzieć, że nie ma prawa wyjść żółty, ale on

larzem i był malarzem przez całe życie. Jak on panu mówi, że wyjdzie żółty, to wyjdzie żółty. Wobec tego po co się kłócić?

Zawstydziłem się i nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Wreszcie powiedziałem:

— Przez całe życie zajmuję się badaniem światła. I myślę, że mieszając kolor biały i czerwony nie da się uzyskać żółtego, może wyjść tylko kolor różowy.

Wobec tego poszedłem do sklepu, kupiłem te farby i przyniosłem je do restauracji. Malarz zszedł z góry na salę; właściciel również tam był. Postawiłem puszki z farbą na stole i malarz zaczął je mieszać. Dodawał na zmianę to odrobinę białej, to odrobinę czerwonej — mieszanica ciągle wydawała mi się różowa — a potem mieszał dalej. Wreszcie mruknął:

— Miałem tu zawsze taką małą tubkę żółtej dla wyostrenia koloru, wtedy zawsze wychodził żółty.

— No jasne — powiedziałem. — Jak się doda żółtego, to wyjdzie żółty, ale bez żółtego się nie da.

Malarz wrócił na górę do pracy.

Właściciel restauracji powiedział:

— Ten dopiero ma czelność! Żeby się sprzeczać z kimś, kto przez całe życie zajmuje się badaniem światła!

Ale ten malarz powiedział mi przedtem tyle rzeczy sensownych, że byłem gotów przyjąć możliwość, że zachodzi jakieś dziwne zjawisko, którego nie znam. Często popełniałem podobny błąd w mojej fizyce, myśląc, że taka czy inna teoria jest gorsza niż jest, i że istnieje mnóstwo komplikacji, które ją z pewnością obalą. Przyjmowałem założenie, że zdarzyć może się wszystko, mimo że byłem dość przekonany o tym, co zdarzyć się powinno.

Medecie je czytać, ale nie wolno wam ich niszczyć.

Oni na to:

— Niech pan nie będzie śmieszny! Czy pan naprawdę myśli, że cenzorzy ukiwają wywabiacza do atramentu? Ukiwają notyczek.

Wobec tego piszę do żony: „Czy ukiwiał w swoim liście wywabiacza do atramentu?” Żona odpisuje: „Nie, nie ukiwiałam wywabiacza, że na pewno —”, i w arkuszu jest w tym miejscu wycięta notyczkami dziura.

Wobec tego poszedłem na skargę do majora, który podobno był na to wszystkie odpowiedzialny. Treść to trwało, ale czułem się jak ktoś, kto pełni funkcję przedstawiciela ogółu. (...) Dziury w listach przestały się pojawiać, ale zaczęły się inne kłopoty.

Bawiąc się któregoś dnia komputerem, odkryłem coś bardzo interesującego. Otóż, jeśli się podzielił 1 przez 243, otrzymuje się wynik 0,004115226337... W pewnym miejscu trochę się to psuje, po 559, ale zaraz potem znów wraca prawidłowość. Wydało mi się to całkiem zabawne, więc komuś o tym napisałem. List wraca z dopiskiem: „Patrz paragraf 17b”. Sprawdzam paragraf 17b. Stel tam napisane: „Listy mają być napisane po angielsku, rosyjsku, hiszpańsku, portugalsku, łacinie, niemiecku, itd. Na pisanie listów w jakimkolwiek innym języku należy uzyskać pisemne zezwolenie”. A niżej: „Szyfry zabronione”.

Wobec tego wkładam do listu notatkę dla cenzora, wyjaśniając, że to nie może być szyfr, ponieważ, jeśli się podzielił 1 przez 243, to rzeczywiście otrzymuje się taki właśnie wynik, wobec czego liczba 0,004115226337... nie może zawierać więcej informacji niż liczba 243, co w sumie też nie stanowi żadnej informacji. I tak dalej. Wobec tego uprzejmie proszę o zezwolenie mi na używanie w listach cyfr arabskich. Zezwolenie otrzymałem i list został wysłany. (...) Po tych wszystkich doświadczeniach z cenzurą wiedziałem dokładnie, co przejdzie, a co nie. Nikt inny nie wiedział tego tak dobrze, jak ja. Wobec tego zrobiłem trochę pieniędzy, przyjmując zakłady.

Pewnego dnia zauważyłem, że robotnicy, którzy pracowali na naszym terenie, wycofali w płocie dziurę, ponieważ nie chcieli im się chodzić naokoło przez bramę. Wobec tego wyszedłem przez bramę, wszedłem przez dziurę, znów wyszedłem przez bramę, i tak dalej, kilka razy, aż wreszcie sierżant przy bramie zaczął się zastanawiać, co jest grane. Jak to się dzieje, że ten facet raz na raz wychodzi i ani razu nie wchodzi? I, oczywiście, jego naturalną reakcją było polecieć do kapitana i kazać mu mnie aresztować. Wtedy im powiedziałem, że w płocie jest dziura. (...) A potem założyłem się z kimś, że jak napiszę o tej dziurze, to list przejdzie przez cenzurę. Tak też zrobiłem. W liście napisałem: „Szkoła, że nie widział, jak oni tu dbają o to miejsce (to było wolno napisać). W płocie, w odległości 27 metrów od takiego to, a takiego miejsca jest dziura takich to, a takich rozmiarów, którą można łatwo wejść do środka.”

No i co mogli zrobić? Nie mogli mi powiedzieć, że informacja o dziurze jest tajna, ani że dziury nie ma. A co mieli zrobić? Nie wiem — to ich pech, że w płocie jest dziura. Powinni ją po prostu załatać. I list przeszedł.

Przełożyła

ELŻBIETA TABAKOWSKA

F A R B

wiedział o czym mówi, więc słuchałem go z uwagą. W pewnej chwili powiedział:

— Trzeba też wiedzieć dużo o kolorach. Na przykład, jakie farby trzeba zmieszać, żeby wyszedł żółty?

Nie wiedziałem w jaki sposób można uzyskać kolor żółty, mieszając ze sobą farby. Gdyby chodziło o światło, wiedziałbym, że te kolory — to czerwien i zieleń, ale on mówił o farbach! Wobec tego powiedziałem:

przecież musi wiedzieć, że wychodzi, wobec tego dzieje się tu coś dziwnego. A ja muszę się dowiedzieć o co w tym wszystkim naprawdę chodzi”. Wobec tego powiedziałem:

— Dobrze. Pójdę i kupię te farby.

Malarz wrócił na górę do swojej pracy, a właściciel restauracji podszedł do mojego stolika i powiedział:

— No i po co pan się sprzecza z tym człowiekiem? Jest ma-

Faceli z Los Alamos postanowili wprowadzić cenzurę pocztę krajową. Było to zupełnie bezprawne, więc ustalono zasadę dobrowolności: nie zaklejałmy kopert, oni natomiast sami wysyłali nasze listy, jeśli uznali, że są w porządku. Natomiast jeśli coś im się nie spodobało, zwracali nam list z wyjaśnieniem, że nastąpiło takie to, a takie pogwałcenie tego czy innego paragrafu naszego „obopólnego porozumienia”. (...) Wszystko zostało postanowione i oto nadszedł dzień wprowadzenia cenzury.

Telefon: — Drrrrr!!!

Ja: — O co chodzi?

Telefon: — Proszę zejść do nas. Więć schodzę.

— O co chodzi?

— Przyszedł list od pańskiego ojca.

— No to co?

List jest na liniowanym papierze, a wzdłuż każdej linii biegnie rząd kropek: cztery kropki pod linią, dwie kropki nad, trzy pod, jedna nad, jedna pod, itd.

— Co to jest?

— Szyfr — mówię.

— Widzimy, że szyfr — mówią oni. — Ale, co to znaczy?

— Nie wiem, co to znaczy.

LOS ALAMOS widziane od dołu

— Dobrze, ale jaki jest klucz do tego szyfru? Jak go odczytać?

— Nie mam pojęcia.

— A to co jest? — pytają.

— To jest list od mojej żony.

Tu jest napisane TJXYWZ

TWIX3.

— Co to jest?

— Też szyfr.

— Jaki jest klucz?

— Nie wiem.

Wobec tego powiadają mi:

— Dostaje pan zaszyfrowane listy i nie zna pan kluczy do szyfrów?

Odpowiadam:

— Otóż to. Tak się bawimy: mówię im, że nie potrafią wymyślić takiego kodu, którego ja bym nie umiał rozszyfrować. Wobec tego oni wymyślają te kody i mi je przysyłają, i na pewno nie zgodzą się ujawnić klucza.

Jeden z punktów „obopólnego porozumienia” głosił, że cenzura nie ma prawa interweniować, jeśli

„przesyłka nadaje się do wysłania z wyjątkiem pocztą”. Wobec tego mówią:

— Będzie im pan musiał powiedzieć, żeby dołączali do listów klucze.

— Ale ja nie chcę widzieć kluczy!

— Wobec tego będziemy je z pańskich listów wyjmowali.

I na tym stano. W porządku? W porządku. Ale następnego dnia dostaje list od żony i czytam: „Bardzo trudno tak pisać, kiedy czuję, że ten — patrzy mi przez ramię”, a tam, gdzie było słowo, widzę plamę z wywabiacza do atramentu. Węc schodzę do biura i mówię:

— Nie wolno wam niszczyć przesylek przychodzących z zewnątrz.

(Dokończenie ze str. 36-37)

Teraz zamek spał snem równie zdrowym i mocnym, jak przeszło siedemdziesięcioletni monarcha...

Ketterl ulokował mnie w swym pokoiku przylegającym z jednej strony do garderoby, z drugiej — do cesarskiej sypialni. Widziałem ją tyle razy, na tylu reprodukcjach, ale, rzecz jasna, nigdy, nie dostąpiłem zaszczytu asystowania przy przebudzeniu jednego z największych — a zarazem, jak pisało we wszystkich podręcznikach szkolnych — najdobrotliwszych monarchów Europy. Teraz więc, wytrzeszczając oczy aż do bólu, patrzyłem, jak oberkamerydner spogląda na ofiarowany mu przez cesarza zegarek firmy Rotkopf-Patent, obciaga świeżo odprasowany żakiet i podchodzi do stojącego pod ścianą wąskiego, żołnierskiego łóżka. Była punktualnie 3.30. Cesarz, który nie potrzebował budzika, leżał już z otwartymi oczami.

— Sciskam nogi Waszej Cesarskiej Mości, dzień dobry!

Cesarz uniósł znad poduszki siwą głowę. — Dzień dobry — odparł łaskawie, jakąż też mamy dziś pogodę?

Z garderoby wyszedł teraz służa przeznaczony do pomocy przy cesarskiej toalecie. Z oczu i z miny widać było, że do służby przyszedł prosto z jakiegoś tingel-tangu. Ketterl opowiedział mi później, że łazienby, by broń Boże, nie zaspał, nie kładł się wcale, jeno siedział nad kielichami w winiarni, na co cesarz łaskawie raczył przynikać zaspane jeszcze oczy, rażnie wskazując do przygotowanej już wieczorem koło łóżka gumowej wanny i podając się ogólnym ablucom w zimnej wodzie. Zapewne trudno będzie komukolwiek w to uwierzyć, ale aż do 1895 roku w sypialni cesarskiej w Hofburgu i Schönbrunnie nie było ani łazienki, ani nawet przyzwyczajenia umywalni z dzbankiem i miednicą. Nie opadał łóżka stały jakoweś prymitywne, stare, drewniane i pełne drzazg stoły, zwane „toaletowymi”, o które Najjaśniejszy Pan często nabijał sobie sinjaki. O kupieniu nowej umywalni Franciszek Józef ani słyszeć nie chciał: kto za to zapłaci? Trzeba było uciec się do podstępu i, kupiwszy nowy, porządny sprzęt, wytłumaczyć władcy, że był ci on dawno w Schönbrunnie, tyle że na strychu.

Podczas gdy łazienby wycierał cesarskie ciało ręcznikiem, Ketterl wcisnął mnie głębiej za kotarę.

— Za chwilę cesarz uda się za małą, a być może i dużą potrzebą. Czy da pan wiarę, że dopiero dzięki nim mamy tutaj, tuż obok sypialni Najjaśniejszego Pana, pierwszy na kontynencie sypialniany wateklozet? Jeszcze przed kilku laty nasz dobroćliwy pan musiał, biedaczysko, fatygować się aż na koniec amfilady pokoiów i to do kabiny bynajmniej nie splukiwanej wodą!

Skinałem głowę z szacunkiem, nie prostując: pierwszy na kontynencie europejskim klozet sypialny, splukiwany wodą, zainstalowano już dziesięć lat wcześniej na zamku w Coburgu, w Niemczech, u węgłowia łoża przygotowanego na przyjazd królowej Wiktorii. Oglądałem go przed kilku laty, podziwiałem zwłaszcza sedes, wybity purpurowym pluszem.

Franciszek Józef jeszcze był siedział w kabine przylegającej do izdebki kamerydnera, jeszcze nie słysząc było orzeźwiającego plusku wody, gdy zadzwonił telefon. Raz. Drugi. Trzeci.

— Poczekać! — rozległ się krótki rozkaz jego dostojności — za chwilę podejść! Telefon dzwonił dalej. — Powiedziałem: poczekać — krzyknął cesarz już bardziej stanowczo. Ale dzwonek stawał się coraz bardziej natrętny. — Ketterl, Ketterl, zobacz, kto mówi, przecież nie jestem fertig — rozległo się z kabiny. Oberkamerydner odebrał telefon. — To tylko Walter, szef stangretów pyta, czy Wasza Wysokość chce dziś trzymać w pogotowiu odkryty powóz, czy karetę — uspokoił cesarza, który, mrużąc, zamykał za sobą drzwi.

Franciszek Józef nie cierpiał telefonu i sam, z własnej inicjatywy, rozmawiał przezeń tylko raz, przekazując gratulacje wstępującej po raz drugi w związku małżeńskie wdowie po jego synu Rudolfinie, Stefani. Cesarz kazał się wtedy połączyć telefonicznie z zamkiem w Miramare. „Gadającego aparatu” jednak nie cierpiał i nigdy nie pozwolił, by stanął na jego biurku. Nie znosił również innych niebezpiecznych „nowinek”. Ponieważ okna jego pracowni w wiedeńskim zamku — w przeciwieństwie do Schönbrunnu — wychodziły na południe, często więc panował tu upał. Gdy — bez uprzedniej zgody, narażając się na nielaskę, ochmistrz dworu nabył elektryczny wiatraczek, cesarz

pokiwał głową: — Rzeczywiście, bardzo piękne, praktyczne. Dajcie to do apartamentów Najjaśniejszej Pani i arcyksiężnej Marii Walerii. — A czy Najjaśniejszy Pan nie zechciałby mieć tego u siebie? — Nie! — stanowczo odpowiedział cesarz. — To zupełnie zbyteczne.

Wprawdzie do dziś można oglądać w Hofburgu automobil cesarski, ale jego właściciel posługiwał się nim jedynie w wyjątkowych wypadkach, praktycznie rzecz biorąc — nigdy. Bardziej wierzył koniom. Dlatego z niesmakiem przyjął dowcip angielskiego króla Edwarda, nieco z nim spoufalonego, gdyż wypili Bruderschaft (Königschaft?). Otóż, gdy Franciszek Józef odwiedził go w hotelu „Elizabeth” w Bad Ischl — król Edward po cichu odesłał cesarski ekwipaż, zmuszając tym samym cesarza Austro-Węgier do powrotu jego samochodem. — Gdyśmy już szczęśliwie dotarli do domu — opowiada Ketterl — cesarz, doskonale kryjąc emocje, rzekł: Jazda autobombem była zupełnie przyjemna, ale ja tam zawsze wolę lipicany (konie specjalnie dlań hodowane).

Tymczasem jednak Najjaśniejszy Pan, wykapany i ogolony, przystąpił, z pomocą Ketterla, do wkładania mundur. A więc nieprawdą było te wszystkie legendy, że kapie i ubiera się sam, bez lokaja. Kamerydner zreszcie podawał niebieskie, mundurowe spodnie i bluzy, w których Franciszek Józef chodził zawsze na co dzień — chyba że wyjeżdżał gdzieś ino-gnito. Cywilnych ubrań nie lubił, wiedział, czuł, że wygląda w nich źle. Przy ubieraniu wielce był łaskaw, słyszałem wyraźnie, jak mówi do szepczącego mu coś do ucha Ketterla: — Co też wy mówicie? Naprawdę był z nią wczoraj u Sachera? To już trzeci raz w tym miesiącu... A hrabina Chotek rzeczywiście mówiła o mnie, że... no tak, to do niej podobne. Co za ludzie, mein Gott, co za ludzie... A wy co, macie jakieś życzenia? Podobno fryzjerowi zmarł ojciec, przekażcie ochmistrzowi, żeby przygotował wspomnienie...

Gdy już wszystkie guziki munduru były dopięte, Franciszek Józef ukląkł na klęczniku przed świętym obrazem i dłuższą chwilę się modlił, wsparłszy głowę o ręce. Takiego właśnie najczęściej pokazywano go na obrazkach szkolnej działy. Tak wyglądał cesarz zwracający się do niebios o szczęście dla swoich ludów...

O 4.30 siedział już Najjaśniejszy Pan za biurkiem, na którym piętrzył się stos papierów: depesze, meldunki, donosy, osobiste listy od monarchów z różnych stolic. Ostrożnie, po cichu, zajrzał przez drzwi osobisty lekarz cesarski, radca dworu Kerzl, składając odpowiedni ukłon i dając tym samym znać, że jest do dyspozycji. — Nie będzie pan mi dziś potrzebny — odrzekł Najjaśniejszy Pan, podnosząc z uśmiechem głowę znad papierów — jestem zdrow i czuję się dobrze. Mnie, do-ktorze Kerzl, nie wolno chorować, od tego mam rodzinę i poddanych...

O piątą Ketterl, już we fraku, przyniósł do pracowni śniadanie: kawę, masło, pieczywo i — jako że nie był to piątek — również parę plasterków szynki. Kiedyś, za młodych lat, cesarz zwykł się na dzień dobrze pokrzepiać herbatą — a była ona tak silna, że resztek „esencji” wystarczyło dla całego personelu pokojowców. Jak potem, w ciągu dnia, zauważyłem, Ketterl niejednokrotnie proponował lekką przekąskę, na co cesarz niezmiennie, choć bez irytacji, odpowiadał: — Nie, dziękuję, nie jestem głodny.

— Raz tylko, pamiętam, 2 maja 1886 mój dostojny pan miał tyle obowiązków, że musiał pościć od 5 rano do czwartej po południu — wzdychał kamerydner. — Gdym go namawiał na skromny choćby posiłek, na parę kanapek, odparł: A czy kucharz wiedział o tym wcześniej? Czy nie sprawiłbym mu moją prośbą zbyt wielkiego kłopotu?

Ledwie personel zebrał ze stołu resztki śniadania, cesarz już z pedantyczną dokładnością oczyścił blat biurka z prawdziwych i wymagowanych okruszyn. Uczynił to małą szcotteczką, która zawsze musiała leżeć na jego biurku, gdziekolwiek by się znajdował. Za drzwiami czekał już adiutant z wielką, czerwona torbą, zawierającą najtajniejsze doniesienia kancelarii wojskowej i cywilnej. Zagłębiając się w nie, monarcha zapalił pierwszego w tym dniu wąskiego, długiego papierosa produkcji krajowej — „Virginkę” (cygar, które tak bardzo lubił, zabronił mu lekarz, ograniczał się więc jedynie do 1-2 „oryginalnych Hawan” dziennie). O dziewiątej musiał odłożyć lekturę, gdyż adiutant mędkował rutynową, codzienną wizytę generalnego adiutanta, hrabiego Paara. Wizyta była dziś krótsza niż zazwyczaj. W kolejce czekali jeszcze: szef sztabu, baron Bolfras, wielki ochmistrz dworu, książę Rudolf Liechtenstein i generałny

kuchmistrz, hrabia Wolkenstein. Wszyscy byli w nienagannie skrojonych mundurach, jedynie Wolkenstein paradował we fraku. Rzeczywiście, rację miały gazety wiedeńskie, pisząc, że cesarz jest bardzo czuły na punkcie etykiety i nie znosi, gdy ktoś pojawi się przed nim bez fraka, czy galowego mundur. Pytam o to Ketterla, który kręci głową:

— To nie jest zupełnie tak. Widział pan sam, że doktor Kerzl przyszedł dziś rano w żakiecie. Nie chce powtarzać plotek, ale niektórzy twierdzą, że on fraka w ogóle nie ma... Ja sam nieraz odważyłem się wejść do sypialni naszego monarchy w najgłębszym neglizżu, jedynie w kalessonach, z narzuconym frakiem. A ile razy wzywał przed śniadaniem ministrów, którzy — no, trochę dla demonstracji, bo dla nich był to środek nocy — przybiegali do Hofburgu we frakach, wciągniętych na nocną koszulę! Naszego Miłościwego Pana to tylko bawi, co nie zmienia faktu, że wynikających z braku szacunku dla siebie i dla tradycji odstępstw od etykiety nie znosi. Gdy przyjmują ambasadora albo innego przedstawiciela obcego państwa — zawsze występuje w mundurze armii kraju, reprezentowanego przez gościa. Pamiętam, kancelaria pokreśliła coś w planie zajęć, już mamy wyjeżdżać na polowanie, cesarz jest w skórzanych spodniach z gołymi kolanami, a tu meldują brytyjskiego ambasadora, sir Edwarda Goschena. Można było całą audiencję załatwić wyłącznie przez podanie ręki i kilka ciepłych słów, co też cesarz uczynił, ale musiał na te kilka sekund przebrać się w mundur angielskich huzarów. Taki jest...

— Tak, wiem: wymagający wobec siebie, dobroćliwy i wyrozumiały wobec drugich...

— Bardzo pan to trafnie, oryginalnie określił. Taki właśnie jest. Kiedyś wchodząc do Schönbrunnu, zobaczył, że jednemu z oddających mu honory wartowników brakuje rożety na kasku. Natychmiast polecił adiutantowi zbadać dogłębnie przyczyny tego wykroczenia, dodając wszelako, że żołnierz karać nie wolno, bo mógł to być nie sabotaż, lecz zwykły przypadek. A jak on kocha tych swoich żołnierzy, toż to drugi marszałek Pradetzki! Jak protestował, gdy wielki ochmistrz chciał strążyć zamkowej — żołnierzom różnych pułków — cofnąć przywileje jeszcze z czasów Marii Teresy, która postanowiła, że każdy z nich ma dostać, prócz żołdu, dodatkowe 40 grajcarów, bochen chleba i butelkę wina; oficerowie dostawali po 2 złote, a wino inne, lepsze... Damy dworu i dworzanie wyższych stopni otrzymywali również za darmo, do kolacji, po dwie halby piwa, tak zwany szlaftrunk, na dobre spanie... A ile dzieci, nas, służby, ukończyło dzięki Jego miłościwemu zapomogom szkoły, a nawet wyższe studia! Ileż razy — setki? Ty-siące? — zgadzał się być ojcem chrzestnym bliźniąt, trojczaków, czy czworaczków? A pomoc wdomom po żołnierzach? A sierotom? Według mnie — a sądzę, że przyszli historycy potwierdzą moje słowa — nasz dobroćliwy pan wydaje z własnej szkatuły miesięcznie aż 60 tysięcy koron na dobroczynność. No, ale muszę kończyć, dziś czwartek, czas audiencji. Chce pan popatrzeć?

LESZEK MAZAN

Za tydzień — wizyta w cesarskich apartamentach.



Odkryta w Budapeszcie Wojenna kolęda Kazimiera Ilakowiczówny

Wybitna poetka Kazimiera Ilakowiczówna, twórczyni wiersza 1939 r. do Komunii, spędziła okres wojny w Siedmiogrodzie. Brała udział w życiu kulturalno-literackim polskiej emigracji na Węgrzech, publikowała swoje wiersze oraz przekłady utworów poetów węgierskich, m. in. Endre Adyga.

W trakcie niedawnego pobytu w Budapeszcie, gdzie brałem udział w konferencji z okazji setnej rocznicy urodzin autora „Na wysokiej połoninie”, Stanisława Vincenza, który był również gościem na dniem węgierskiej do 1948 r., miałem możliwość przekształcenia wierszyki wydawanego przez polskich emigrantów nad Dunajem „Tygodnika Polskiego”. Zawdzięczam to lektorem języka polskiego w uniwersytecie budapeszteńskim, p. Jerzemu Smogowskiemu, pilnemu poszukiwaczowi śladów naszej obecności na Węgrzech czasu wojny.

W starych, polskich egzemplarzach czasopiśma natknąłem się na wiersze K. Ilakowiczówny, mało znane lub nie przedrukowywane. Są to pełne smutku i tragizmu kolędy nie-kolędy polskiego wyznawcy. Jedną z nich utrzymał w ówczesnym pamięci polski żołnierz, który stracił życie w Katyniu. Nie znalazłem jej w zbiorach wierszy poetki, opublikowanych w kraju. Wydaje się, że warto przypomnieć ów liryk w kręgu świąt choinki, gdy żywi wspominają zmarłych.

Jan Pieszcachowicz

Kolęda katyńska

Kiedyś może wielki muzyk wstanie,
nieme rzędy weźmie na klawiszach,
wielki pieśniarz polski krwawi i łzami
balladę straszliwą napisze.

Kiedyś piasek ten pod sosenkami
— przyjdą ludzie, Bożę, wolną ciszę
wziąć na chusty... Dzieci dzwoneczkami,
światłem, kwieciami, srebrem zakolysz.

Procesjami piasek będą nieśli
do Pekinu, Moskwy i Madrytu.
I powstaną nowe całkiem pieśni,
całe w oczach i skrzydłach u szczytu.

I powstaną niesłyszane wieści,
dziwne serca, ciała pełne blasku...
I Prawdę znowu ucieleśni

Duch
żywym Słowem — z Katyńskiego piasku.

(„Tygodnik Polski” 1943, nr 1)

dwa dni przed świętami
szła przy prawie pu-
stej sali, równie zmar-
twiony był dyrektor
krakowskiego teatru z
racji, że nawet ulubio-
ny Kościuszko pod Ra-
clawicami Anczyca, ani
bawliwie zwykłe publi-
czność Gęsi i gęsi Ba-
tuckiego, nie przyłączyli
testomanów.

Nieco więcej osób —
być może zbierając z
drogi przedświątecznych
wizyt — odwiedziło sa-
le wystawowe. A było
na co popatrzeć. W Za-
chęcie w połowie grud-
nia wystawiono plótno
Henryka Siemiradzkie-
go Fryne w łopielu —
trafiające w gustu prze-
ciętnych miłośników
sztuki, natomiast w
Krakowie pokazano
obraz Witolda Prus-
kowskiego zatytułowany
Wyjście z nocturnu
Szopena. Malarz ten,
tworzący obrazy zapo-
wiadające już secesję i
młodopolskie gusta, peł-
ne alegorii i smętnych

nastrojów, cieszył się
dużą popularnością.
Koncert warszawskiego
Instytutu Muzycznego, z
dochodem na pomoc
zimową dla wdów i sie-
rot po muzykach, odbył
się nieomal bez udziału
publiczności — cho-
ciaż wszystkie bilety
wysprzedano, popierając
szlachetny cel. Jesienna
pogoda uniemożliwiła
natomiast zapowiedzia-
ny na 18 grudnia tur-
niej tytułowy w Dol-
niej Szwajcarii. Mi-
strzowie lodowej tafli
przełożyli więc swą im-
prezę na 15 stycznia,
sprzedając jednak wcze-
śniej bilety, gdyż do-
chód z nich szedł na
rzecz urządzonych przez
Towarzystwo Dobro-
czynności — Wigilię dla
najuboższych.

I tak zajął nam
dzień Wigilii, a oświetle-
no drzewka odbity się
w taflach ście listo-

padowych katech — pi-
sał felietonista Kuriera
Codziennego. Jeszcze
począł w przededniu
świąt dostarczyć pre-
numeratorom Tygodnika
Ilustrowanego opowia-
danie Henryka Siem-
iradzkiego o Janku, bogato
ilustrowane przez mło-
dego, ale wielce cenio-
nego grafika — Piotra
Stachewicza, a prenu-
meratorkom Błyszczu — po-
wieść panny Marii Ro-
dziewiczówny „Dewo-
stis”, oprusnął o plótno
ze złocistym grzbieciem
i można było zasnąć do
wigilijnego stołu. A po
kolacji — jeśli w domu
były kształtujące się w
muryce panienki — po-
słuchać granych na for-
tepie katech polskich
— pańskich i ludowych,
wydanych przed dwó-
ma tygodniami nakła-
dem księgarni Gebethne-
ra i Wolffa. Wer.

Ma gęste, intensywnie
zielone liście, któ-
re na szczytach
pędów wybarwiają się,
tworząc niby-kwiat; kon-
trastową w kolorze roze-
tę, szkarłatną różową lub
kremowobiałą. Poinsecja,
zwana potocznie Gwiazdą
Betlejemską lub Gwiazdą
Wigilijną, przywędrowa-
ła z tropików do Europy
Zachodniej i zadowoli-
ła się na tamtejszych
stołach wigilijnych, przed
laty zaledwie kilku dotar-
ła również i do nas.

Trudno wyobrazić sobie
skandynawskie święta bez
Gwiazdy Betlejemskiej. Jest
tam tak niezbędna, jak u
nas choinka, jak karp wi-
gilijny, czy uszka do bar-
szczu. I dlatego kupuje się
ją tam tylko przed Wigilią.
Eksporterzy poinsecji mu-
szą bardzo ściśle przestrze-
gać terminów dostaw: od
połowy listopada do po-
łowy grudnia. Nikt na Za-
chodzie nie będzie intere-
sował się najpiękniejszymi
nawet okazami Gwiazdy
po Wigilii. Tak jak u nas
choinkami.

Dla nas Gwiazda Betle-
jemską nie wiąże się jesz-
cze jednoznacznie ze święta-
mi Bożego Narodzenia. Jest
po prostu jedną z cieka-
wych doniczkowych pro-
pozycji jesienno-zimowych.
Pojawia się — i ma wzię-
cie — już w październiku,
bywa kupowana w listo-
padzie, a i w końcu gru-
dnia także. Producent
Gwiazdy uważają jednak,
że z roku na rok wzrasta
na nie popyt właśnie
przed świętami. Jeszcze
sezon, jeszcze dwa, a poi-
nsecja i u nas stanie się
kwiatem stołu wigilijnego.

Na początku swojej pol-
skiej kariery Gwiazda Be-
tlejemską znana była w
postaci ciętych, długich lo-
dyg z czerwonymi liścia-
stymi gwiazdami na szczy-
tach. Lodyg, które, nieste-
ty, często potrafiły bardzo
szybko więdnąć. Okazuje
się, że cięta poinsecja wy-
maga specjalnego przygo-
towania, które zapewnia
przedłużenie jej urody. Lo-
dyga w miejscu cięcia po-
winna zostać przypalona
lub zaparzona we wrzątku.
Bardzo korzystne jest też
pozostawienie skróconych
części korzeni. Inaczej nie
zdążyliśmy nacieszyć się jej

G
W
I
A
Z
D
A



BETLEJEMSKA



widokiem, potrafi bowiem
wiednąć niemal w oczach.

Poinsecja doniczkowa
pojawia się na naszym
rynku kwiatowym stosun-
kowo niedawno, bo w roku
1962. Hodowana była w
oparciu o technologię prze-
jętą z Kalifornii via Skan-
dynawia. Z pewnym waha-
niem można by więc opa-
trzyć ją jeszcze etykietką
„nowość”.

Gwiazda Betlejemka jest,
jak się to określa, rośliną
„krótkiego dnia”. W czasie
wzrostu wymaga intensy-
wnego naświetlania, ale
gdy osiągnie już oczekiwa-
ną wielkość, do wybarwie-
nia górnych liści niezbęd-
ny jest jej długi odpoczy-
nek w cieple i ciemności.
Przez dwa do trzech mie-
sięcy musi mieć zapewnio-
ną przynajmniej 14-go-
dzinną noc. Inaczej jej li-
ście — będąc mocne i zdro-
we — zachowują swój zie-
lony kolor.

Nocny odpoczynek poi-
nsecji musi być rygorysty-
cznie przestrzegany. Nawet
niewielka ilość światła za-
kłóci prawidłowe wybar-
wienie się Gwiazdy. Lam-
pa uliczna, zwykła słaba
lampa, świecąca w odle-
głości 15 m może wydłu-
żyć czas wybarwienia o
tydzień, a nawet dłużej.
Gdy zwiędlała szklarnie
pana Błakorzkiego w
Józefowie, jednego z
pierwszych producentów
Gwiazd Wigilijnych w tym
regionie, prosiłem mnie,
abym odjechała spod szklar-
ni nie włączając reflektor-
ów samochodowych. Zau-
ważyłam też, że światło w
domu zostało zapalone do-
piero po założeniu okien-
nic.

Dopiero w dwa do trzech
tygodni po okresie trakto-
wania poinsecji „krótkim
dnem” roślina wybarwi
się, oraz wytworzy paki
kwiatowe.

Nielatwo jest więc w
warunkach domowych do-
prowadzić do ponownego
wykolorowania się Gwia-
zdy, mimo że nasz zeszło-
roczny krzaczek rozrósł się,
jest zdrowy i gęsty. Tym
bardziej, że wysoka tem-
peratura i rygorystycznie
przestrzegane ciemności to
nie wszystko. Poinsecję
trzeba również przesadzić.
A przesadzać w byle zie-

mię nie można. Fachowcy
twierdzą, że jeśli chce się
dochować zdrowych, uro-
dzivych egzemplarzy Gwia-
zdy, trzeba ją sadzić tylko
na torfie z Pasieką. Nie
bez przyczyny handlowcy
z RFN zakupili i zamówili
tyle pasiekowego torfu, ile
było możliwe.

Mimo że znajomość naszą
z Gwiazdą Betlejemską
jest tak krótka, zdążyliśmy
już stać się zauważanym
na rynku eksporterem tej
rośliny. Wysyłamy ją przede
wszystkim do krajów skan-
dynawskich. I to dość duże
ilości: w jednym tylko
kombinacie ogrodniczym w
Gumieńcach pod Szczeci-
nem wybarwiło się dla de-
wizowych klientów 400 ty-
sięcy doniczek poinsecji. A
przecież na tym kombina-
cie nie, wyczerpywały się
nasze możliwości.

Na przykładzie poinsecji
można przedstawić skutki
zawierania transakcji bez
pełnej znajomości rynku
kontrahenta. W pierwszych
latach Gwiazda była bo-
wiem sprzedawana w cenie
2,5 korony szwedzkiej za
doniczkę. Stanowczo za ta-
nio. Dziś, mimo iż rynek
szwedzki w zasadzie nie
zmienił się i o współczyn-
niku inflacyjnym nie ma
mowy, otrzymujemy za do-
niczkę 8 koron. Nasi han-
dlowcy twierdzą, że osią-
gnęliśmy to, co mogliśmy:
poziom wytrzymałość klien-
ta. Podwyższenie ceny o
8-10 óre spowodowało-
by — mimo zachwytów
nad polską poinsecją —
spadek zamówień.

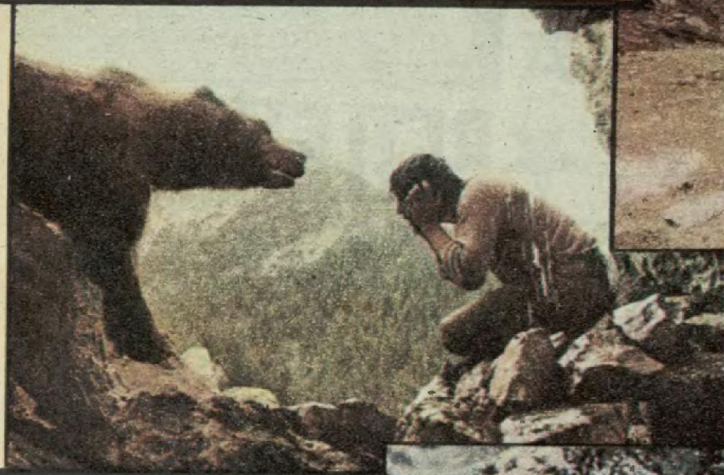
Największym wzięciem
na rynku i krajowym, i
zagranicznym cieszy się
Gwiazda wybarwiająca się
na czerwono. Tak więc
80% produkowanych roślin
należy do tych właśnie
odmian. Biała i różowa
poinsecja występuje w
niewielkich ilościach.

I jeszcze jedna właści-
wość poinsecji, którą war-
to znać. Otóż sok tej rośl-
ny, należącej do rodziny
wilczomleczy, jest trujący.
Machinalne skubanie i roz-
cieranie w palcach listków,
miętoszenie łodyżki, już nie
mówiąc o jej gryzieniu i
tym podobnych mimowol-
nych zabawach, są więc
nad wyraz niewskazane.

ANNA POPLAWSKA

NIEDŹWIEDŹ

BOHATER ROKU



REŻYSER

JEAN-JACQUES ANNAUD ma na swoim koncie trzy rzeczywiście oryginalne filmy: *Walcę o ogień*, *Imię róży*, a teraz *Niedźwiedzia*. Wszystkie, wykraczające poza obowiązujący schemat, wymagały pomysłowości, długotrwałych programowanych działań i wielkiego organizacyjnego talentu.

Annaud, lat 45, paryżanin, pilny student wydziału filologicznego Sorbony i szkoły filmowej, dorosłe życie zaczął od pracy w Kamerunie, gdzie spotkał się z inną zupełnie kulturą i wrażliwością, i odkrył świat zwierząt. Miał to decydujące znaczenie, gdyż zmuszało go do zmiany dotychczasowych poglądów i szukania tego, co wspólne ludziom i zwierzętom.

Potem przez wiele lat pracował w filmie reklamowym. Stał się nawet gwiazdą tego pogardzanego, lecz dobrze opłacanego gatunku, w którym zasadą jest nośny, wyrazisty pomysł, a najmniej liczą się artystyczne ambicje reżysera. Tam też stał się mistrzem sprawnej organizacji, przyzwyczaił do sporych funduszy i doskonałego sprzętu. Jednego tylko nie robił — nie spędził młodości w filmotece, studiując dzieła mistrzów.

— W filmie reklamowym nauczyłem się przekazywać znaczenia i wzruszenia obrazem... 30 sekund to za mało, żeby wygłosić wykład... Dzisiejsze kino zmienia się często w „filmowane radio”, a postacie nieprzerwanie wyjaśniają, czego właśnie nie robią. I po cóż człowiekowi do tego kamera? — mówi Annaud.

Jego pierwszym wielkim sukcesem była *Walcę o ogień* z 1981, którą obejrzało na świecie 70 milionów ludzi. Osobliwość filmu stanowiło to, iż nie posługiwano się tam żadnym językiem — rzecz dotyczyła przecież dalekiej prehistorii.

Po niemieckiej *Walcę o ogień* nakręcił *Imię róży*, filmową wersję słynnego światowego bestsellera Umberto Eco. W tym średniowiecznym kryminale, rozgrywającym się w niezwykłym klasztorze, kró-



luje nie tylko tajemnica, ale także dialog. Więcej nawet — ten film to niejako antologia literackich chwytów i konwencji, wspieranych sytuacją i obrazem. W *Niedźwiedziu* wraca Annaud do pierwotnych zainteresowań.

FABUŁA

Z książki Jamesa Olivera Curwooda *Władca skalnej doliny*, która stała się punktem wyjścia dla filmu, Jean-Jacques Annaud najbardziej lubi to zdanie: *Wzruszeniem silniejszym niż zabijając, jest pozostawić przy życiu*. Zdaniem krytyki takie właśnie przesłanie kryje film.

Jego fabuła jest prosta. Matkę małego niedźwiadka zabił spadający odłamek skały. Małe próżno ociera się o zniemuchomiałe ciało matki. Wreszcie odchodzi. Jest samo. Głodne, zagubione, przerażone zaczyna rozglądać się po świecie, pełnym najróżniejszych niebezpieczeństw. Przede wszystkim musi znaleźć jakieś schronienie. W końcu spotyka dorosłego samca, który gotów jest zaopiekować się niedźwiadkiem (to jedyna niemożliwa ponoć sytuacja przedstawiona w filmie). Wielkiego niedźwiedzia ścigają dwaj myśliwi. Jeden z nich go rani. Zwierzę umyka i odnajduje niedźwiadka. A potem samotny myśliwy staje nos w nos z groźną bestią. Niedźwiedź stoi



TA EUROPEJSKA megaprodukcja nie jest jeszcze jednym filmem o zwierzętach. Reżyser nie chciał być jedynie obiektywnym dokumentalistą. Przeciwnie, stworzył olbrzymi spektakl, który porwala widza odczuć, czym jest głód, strach, chłód, samotność, smutek, ale także zabawa i czułość, uczucia zastrzeżone dotąd głównie dla człowieka.

Dla Annauda niedźwiedź to dalekie odbicie człowieka — chodzi przecież na dwóch nogach, sypia na plecach i wyciąga przed siebie łapy, ale także rodzący mitycznego zwierzęcia, które znacznie głębiej wdarło się w ludzką podświadomość niż lew, król zwierząt. Przed wiekami niedźwiedź trafiał na herby i państwowe godła. Spotkać go można było w baśni, ale także na jarmarkach. By zaspokoić urażoną dumę lub stłumić własny strach, człowiek umiał go zniewolić i ośmieszyć. Dawniej niedźwiedzie chodziły na łańcuchu i tańczyły niezgrabnie w rytm jarmarcznej muzyki. Dziś zmieniły się w pluszową zabawkę, którą dzieci tulą we śnie. Wciąż jednak żyje w mieście i podświadomości.

W *Walcę o ogień* Annaud starał się pokazać, że w ważnych chwilach życia ludzie mają postawy i zachowania zwierzęce. Tu obserwujemy jakby drogą odwrotną, twierdzi bowiem, że wszystko, co nas porusza, jest także udziałem zwierząt.

na tylnych łapach, zupełnie jak człowiek. Jednym uderzeniem mógłby roznieść człowieka, ale go oszczędza. Niedźwiedzie nie są zabójcami.

Zrobienie takiego filmu nie jest rzeczą prostą. To naprawdę gigantyczne, rozłożone na lata przedsięwzięcie. Część trudów ułatwił olbrzymi — jak na europejską produkcję — budżet 160 milionów franków, ale fundusze nie mogły rozstrzygnąć wszystkich kłopotów. Na dodatek Annaud nienawidzi improwizacji. Scenariusz to dla niego tylko wstępny etap. Potem przygotowuje pełną „partyturę” filmu, z kilkoma wariantami, dzięki czemu zdjęcia zmieniają się w nagrania. Ci, co go znają bliżej, twierdzą, że ma cierpliwość średniowiecznego kopisty, ale z temperamentu jest graczem i awanturnikiem. Zawsze jednak przygotowanym do podejmowanej partii pokera.

W tej rozgrywce jednym z ważniejszych problemów było znalezienie miejsca planowanej akcji. Gdzie jeszcze odkryć można naturalny teatr przyrody, bez śladów cywilizacji? Na dodatek miejsce, które zapewni zwierzętom kilka kilometrów kwadratowych bezpiecznej swobody, urodziwe i dzikie, a zarazem dostępne dla ekipy prawie dwustu ludzi, którzy koczować tam muszą przez kilka miesięcy.

Annaud odkrył je wreszcie na pograniczu Włoch i Austrii, w Dolomitach. Była to cudowna dolina otoczona wysokimi szczytami, której dnem płynął krystaliczny potok, a zbocza porastał gęsty las. Tam przyszłym bohaterom przygotowano olbrzymie zagrody, otoczone 4,5-metrowymi barierami, a ekipie technicznej — możliwość wielomiesięcznego popasu.

AKTORZY

Reżyser rozpoczął następnie poszukiwania wśród oswojonych i tresowanych zwierząt. Swoje wielkie niedźwiedzie znajdzie w Ameryce. Główną rolę męską zagra Bart, 850-kilogramowy kodiak rodem z Alaski, którego, wraz z trenerem, Annaud spotka w stanie Utah. Treser ten, Doug Seus, ma dla filmowego przedsięwzięcia niezwykle poszerzony cennik. Za obiecaną nogę kurczaka gotów był się uśmiechnąć, za świeżą rybę — chodził do tyłu. Umiał też robić groźne miny, a nawet kuleć.

W Kalifornii Annaud spotkał następnych wykonawców swego superfilmu. Doc, brat Barta, miał być jego dublerem, zaś Griz, zmanierowany grizzly, zagrał niewielką rolę ginącej tragicznie niedźwiedzicy.

Znacznie bardziej skomplikowane okazało się znalezienie wykonawcy roli małego niedźwiadka. Specjaliści od tresury zapewniali zresztą, że młodego zwierzęcia nie da się tak łatwo przycucić. Różna była opinia zoologów. Uważali oni, że u niedźwiedzi cechy dziedziczne przeważają nad nabytymi, więc w oparciu o cechy rodziców można wnioskować o zaletach potomstwa.

Przeprowadziliśmy wszystkie możliwe konsultacje i uzyskawszy zgodę wszystkich instytucji zajmujących się opieką nad zwierzętami, Annaud rozpoczął obchód francuskich parków narodowych. Wszędzie prosił tylko o jedno: żeby zachowano dla niego miłe. Często odbiera się je niedźwiedziom, zdarzają się bowiem wypadki, że giną, pożarte przez matkę. Annaud uzyskał 14 takich obietnic. W końcu tuzin ślepych

na to dwa tygodnie. Niedźwiedzie musiały jednak nie tylko zapoznać się z miejscem, ale także z pracującymi tam ludźmi. Nawet oswojone i tresowane, pozostają niebezpieczne, bo nigdy nie ostrzegają przed atakiem. Wypuszczone z klatek pod opieką treserów, parokrotnie dokonały inspekcji terenu i ludzi. Członkowie ekipy filmowej do dziś wspominają te obchody, podczas których na kilka godzin wszyscy wprost kamienili.

znaleźć w polu widzenia travellingu i dwóch innych statycznych kamer, które pracują równocześnie... Przez cały ten czas w górnym odcinku potoku buldożer powinien zamykać i otwierać śluzę, aby utrzymać jednolity prąd wody.

Teraz kolej na pumę, która w przeciwieństwie do niedźwiadka nie znosi wody: w ciągu kilku tygodni treser stopniowo przyuczył zwierzę do spacerów wzdłuż brzegu. Ale biegać też nie lubi.

Zaczynamy. Wydaje polecenie otwarcia klatki pumy. Scena musi być doskonale zsynchronizowana, ale trudno żądać, aby puma opuściła klatkę w dokładnie określonej sekundzie. Gdy tylko się ruszyta, uruchamiamy pieniek. Niestety, niedźwiadek właśnie się poruszył i wpadł do wody. Trzeba zmienić ustawienie pływaków. Kiedy wszystko znów jest gotowe, puma zaczyna kaprysić: nie chce opuścić klatki. Zaczynamy jeszcze raz. Przy kolejnym razie zmieniło się położenie słońca, które odbija się w pryzmacie, potem błąd w manewrowaniu buldożerem spowodował potop i klatka spływa właśnie potokiem... Wreszcie całość odbywa się zgodnie z planem. Słyszę warczenie kamer. „Cięcie!” Chmura zasłoniła właśnie słońce. Trzeba wszystko wstrzymać, wprowadzić zwierzęta do klatek, zmienić filtry obiektywów.

Claude Berri wyjechał o 6 wieczorem. My zdołaliśmy zrobić jedynie możliwe do wykorzystania ujęcie 45 minut później, na kwadrans przed zakończeniem dnia. A i tak tego dnia nie prało zabami, jak się to już parokrotnie zdarzyło.

Dopiero nazajutrz kamera wpadła nam do potoku, a wraz z nią dwaj operatorzy”.

w filmie niezwykle istotną rolę. Na resztę ścieżki dźwiękowej składa się muzyka syntetyczna Philippe'a Sarde'a, ale — zdaniem reżysera — ma ona jedynie zapewnić widzowi trochę spokojniejszych chwil na przetrawienie własnych wzruszeń.

NOWE O MISIU

● Premierze filmu w październiku towarzyszyła wielka wystawa w Narodowym Muzeum Historii Naturalnej, poświęcona niedźwiedziom, a czynna aż do 31 sierpnia 1989. Odbyło się też publiczne spotkanie zoologów, którzy uczestniczyli od maja do września 87 w zdjęciach do filmu *Niedźwiedź*.

● Zoologom film ten dostarczył niezwykle ciekawego materiału. Nigdy dotąd nie prowadzono tak zróżnicowanej i systematycznej pracy nad rozwojem i tresurą małych niedźwiadków. Filmowy pomysł Jean-Jacquesa Annauda pozwolił specjalistom na równocześnie obserwację tuzina młodych zwierząt, poddanych na dodatek rygorom pracy, nauki i współzawodnictwa.

● Zwierzęta, które znalazły się na filmowym planie, musiały być wytresowane, ale zachować też miały swoją naturalność. Wykorzystano tu zjawisko *imprégnation*, które odkrył i badał Konrad Lorenz. Wspólne wszystkim ssakom i ptakom, a może także innym gatunkom, ograniczone jest przecież w czasie. Tylko krótko po urodzeniu małe zwierzę może zostać „naznaczone” przez obecność gatunku, z którym się zetknie i wówczas uznaje go za własny.

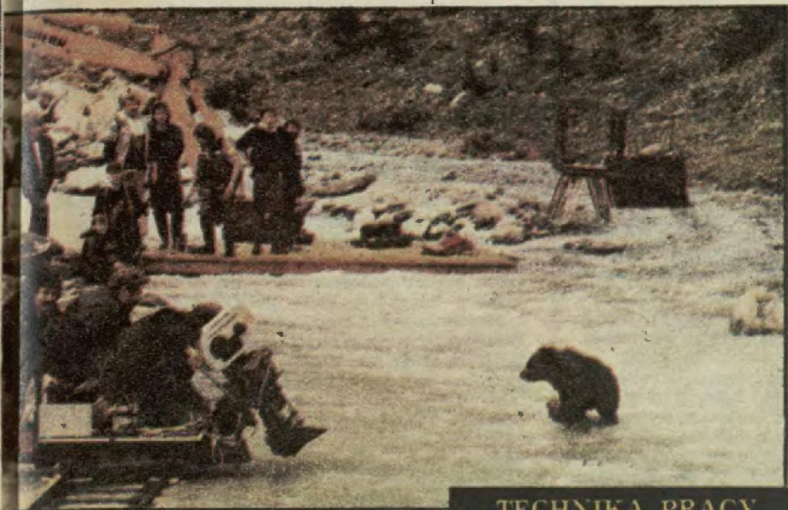
● Niedźwiadki przy urodzeniu są nagie, ślepe, głuche i ważą zaledwie 400 gramów. To jedna z głównych tajemnic ich biologicznego rozwoju. Proporcja wagi niedźwiedzięgo noworodka do wagi matki kształtuje się jak 1/600 (u lwy — 1/150, u suki — 1/50, u kobiety — 1/20). Wedle tych proporcji ludzki noworodek osiągnąłby dorosłość powinien ważyć 2 tony! Zjawisko to tym osobliwsze, że ciało u niedźwiedzi trwa od 6 do 8 miesięcy, ale rozwój płodu w pewnym okresie jest jakby zablokowany. Specjaliści wyjaśniają to hipotezą rodzaju „hibernacji” płodu. Obecnie przy pomocy badań echograficznych sprawdza się tę hipotezę na trzech kotnych niedźwiedzicach z zoo w Vincennes.

● Już po zakończeniu zdjęć za rewelację uznano, że Bart, twórca głównej roli, zgodził się zamieszkać z dwoma młodymi niedźwiadkami, należącymi zresztą do innego gatunku. Bart — to kodiak, przedstawiciel największego z żyjących gatunków, małe — to niedźwiedzie brunatne. Nigdy dotąd nie zanotowano przypadku, aby dorosły samiec zaopiekował się małym niedźwiadkiem. Nawet samice nie są przesadnie czułyymi matkami. W decyzji Barta znaczne zasługi musiał mieć jego treser. Już podczas zdjęć do filmu zdołał on skłonić wychowankę jeśli nie do wylenności wobec małego niedźwiadka, to na pewno do życzliwej i przyjaznej koegzystencji.

● Władze francuskie podjęły decyzję o znacznym zwiększeniu środków na utrzymanie ginącego gatunku niedźwiedzi z Pirenejów.

● Przyjaciele Annauda twierdzą, że od czasu premiery filmu uśmiecha się on jak niedźwiadek.

TOP.



TECHNIKA PRACY

jeszcze brunatnych niedźwiadków trafiło do posiadłości doradcy filmu do spraw zwierząt, zoologa i fotografa, Jean-Philippe'a Varina. Niedźwiedzie niemowlęta obsługiwała armia opiekunek, karmiąc je z butelki, myjąc, ważąc, podając witaminy, a także głaszcząc ich futro moką gąbką, co naśladować miało matczyne lizanie. Odchowane nieco, poddane zostały nauce.

Jean-Philippe Varin był początkowo przekonany, że filmowe zadania rozdzieli się pomiędzy całą grupę i dopiero z tych poszczególnych części złoży się całość działań Youka. Chodziło o to, by nie męczyć nadmiernie małych zwierząt, które poza tym mogły mieć różne uzdolnienia. Sprawy potoczyły się inaczej. Jedną z niedźwiedziczek, Łagodna, okazała przed kamerą taką swobodę i wdziek, że sama zagrała rolę Youka. Uczyła się zresztą nadzwyczaj chętnie i szybko. Zdaniem Varina najtrudniejsze było przygotowanie sceny, w której po spotkaniu z żabą, niedźwiadek miał dla zabawy parokrotnie powtórzyć żabi skok. Żądanie scenarzysty wydawało mu się niemożliwe. Łagodna nauczyła się sztuczki bez oporów i niemal natychmiast.

Pięknego majowego dnia roku 1987 trzeba było jednak cały sprzęt, ekipę, aktorów, doradców i opiekunów przywieźć na miejsce zdjęć. Wielkie niedźwiedzie najpierw odbyły podróż do Los Angeles, skąd odleciały do Europy samolotami Lufthansy, jedynego przewoźnika, który dysponuje wystarczającą obszernymi ładowniami, aby pomieścić wielką klatkę. Niedźwiedzie i ich treserzy musieli jednak lecieć osobnymi samolotami — dwie klatki nie mieściły się na pokładzie. Wylądunku dokonano we Frankfurcie nad Menem, stamtąd, najpierw autostradą prowadzącą na wysokość 2500 m, a potem terenowymi drogami, transport dotarł na miejsce zdjęć.

Potem nastąpił okres osławiania zwierzęcych gwiazd z nowym miejscem. Niedźwiedź potrzebuje pewnego czasu, by rozpoznać teren, uznać go za swój, zbadać, obwąchać i zapamiętać. Przeznaczono

Zdarzenia na planie, podobnie jak przygotowania do filmu, warte były opisanie. Nic więc dziwnego, że wraz z premierą *Niedźwiedź* ukazały się aż trzy książki na ten temat. Poniżej relacja samego reżysera, dotycząca jednego z dni zdjęciowych.

„10 WRZEŚNIA 1987. Tego dnia producent Claude Berri złożył nam wizytę podczas kręcenia. Zjawił się o 7 rano, by obejrzeć przygotowania do pracy na planie: puma przejszła ma wzdłuż brzegu potoku, w którym na pływającym pniu znajduje się Youk. Kamera długim travellingiem ukazuje brzeg potoku, a potem równocześnie w kadr wchodzi: puma i niedźwiadek. Spojrzenie niedźwiadka w kierunku goniącej go pumy, po czym najpierw kadr opuszcza puma, a potem niedźwiadek. Proste, no nie?”

Na początek zbudowaliśmy 70 metrów toru travellingowego, nie wzdłuż brzegu, ale prowadzącego na środek rzeki, aby scenę oglądać było można z wysokości niedźwiadka. Następnie zainstalowaliśmy pryzmat na kamerze, która znajdowała się w połowie głównego nurtu. Wymagało to wielu godzin pracy od ekipy maszynistów, ubranych w stroje nurków. Prąd porwał tory, woda zalewała pryzmat, itd.

Potem trzeba było zająć się pienkiem. Mamy kilka identycznych, zaopatrzonych w pływaki, aby nie przewracali się pod ciężarem niedźwiadka. Regulacji pływaków dokonać można jednak dopiero w ostatniej chwili. Następnie zainstalować trzeba dwie liny kierujące torem pienka oraz trzecią, aby przemieszczać go z właściwą, dokładnie określoną szybkością. Gdy płynie za szybko — niedźwiadek spada, gdy za wolno — skacze do wody. Ten niedźwiadek doskonale pływa, więc nie ma powodu siedzieć na chwiejącym się pniu. Linki, oczywiście, musiały się zaplątać.

Na brzegu treser musi przyciągnąć uwagę niedźwiadka, by ten spojrzał w stronę pumy, ale nie podszedł. I, oczywiście, nie może się

DŹWIĘK

Film ukazuje świat widziany oczyma niedźwiedzi i z ich pozycji. Zdjęcia robiono kamerą ustawioną bardzo blisko „aktora”, niekiedy w odległości zaledwie 20 cm. Dzięki temu widz zna cielesną intymność zwierząt, wie, jaka jest gęstość ich sierści, jakiego koloru mają oczy, jak wilgotny jest ich nos. Uczestniczy w rodzaju psychologicznego filmu, choć nie pada tu żadne słowo.

Widoczne na ekranie „stany ducha” bohaterów wzmocniła ścieżka dźwiękowa. Niedźwiedzie okazują się bardzo hałaśliwe. Słychać ich chrapanie, sapanie, westchnienia, gwizdy i rozdzierający ryk wściekłości lub przerażenia. Hiperealizm dźwięków wzmacnia działanie obrazów.

Tyle tylko, że nie mają one nic wspólnego z rzeczywistością. Ani jeden z tych odgłosów nie został nagrany bezpośrednio. Wszystko, co zdołano nagrać na planie, było całkowicie zagłuszone wrzaskami treserów. Pobrano tam jedynie swoliste „próbki mowy”. Ostatecznie „dialogi i wypowiedzi” misiów zanotowano — umieszczając mikrofony w klatkach niedźwiedzi z zoo w Vincennes. Tamtejsze niedźwiedzie nie zawsze były w formie i czasem, aby wydały głos, trzeba je było podrażnić.

Uzyskany w ten sposób zapis starannie przepracowano. Wspaniały ryk Barta nie jest rejestracją prawdziwego niedźwiedzięgo ryku. To uczony montaż dźwiękowy. Przy okazji zebrano jednak prawdziwy „słownik” niedźwiedziej mowy, który poddano obróbce i zarejestrowano w komputerze. W oparciu o ten zbiór powstały taśmy zarejestrowanych dźwięków, jakie wydawał dorosły niedźwiadek i mały miś. Pełnią one

JADWIGA



kochała Wilhelma,
wyszła za Jagiełłę

Legenda przechowuje pamięć o pięknej dziewczynie, która poświęciła swą młodzieńczą miłość interesom kraju, dobrej i mądrej, ubóstwiającej przez poddanych. Kroniki mówią o jej wielkiej urodzie: była jedną z najatrakcyjniejszych księżniczek europejskich. Los kazał oddać jej rękę trzykrotnie od siebie starszemu Jagielle, pochodzącemu z kraju, który w świadomości reszty Europy uchodził wówczas za barbarzyński i dziki.

Ojcem Jadwigi był Ludwik, przedstawiciel węgierskiej gałęzi rodu Andegawenów, król Węgier, Polski i Chorwacji. Matką — Elżbietą Bośniaczką. Przyjmuje się, że Jadwiga urodziła się w Budzie między 3 października 1373 a 16 kwietnia 1374, zaś notatka w kalendarzu krakowskim o odwołaniu przez Jagiełłę zaręczyn pozwala datę tę uściślić na 18 lutego 1374 roku. Przyszła na świat najpóźniej z siostrą, cztery lata po Katarzynie i trzy po Marii.

Nie mający męskiego potomka ojciec pragnął wszystkim swym córkom zapewnić korony. Decyzja o losach Jadwigi zapadła bardzo wcześnie. Przeznaczono jej tron węgierski i w wieku zaledwie czterech lat zaręczono ją i zaślubiono w Haimburgu z rówieśnikiem, Wilhelmem Habsburgiem z linii styryjskiej, najstarszym z licznych potomstwa Leopolda III Sprawiedliwego i Wirydianą, księżniczką mediolańską. Ówczesne takie mariaże dzieci nie należały do rzadkości. Współczesna Jadwidze Izabella francuska wydana została w wieku ośmiu lat za trzydziestoletniego Ryszarda II, króla Anglii, a Zygmunt Luksemburczyk — późniejszy szwagier Jadwigi, zawarł pierwszy związek, gdy miał rok.

Jak pisał Karol Szajnoch, arcybiskup Esztergomu, Dymitr, „przysiężony w pontyfikalne szaty związał w kościele parafialnym z przynależną solennością ręce dzieciom obojga”. Zgodnie z powszechnym przy takich przedwczesnych zaślubinach obyczajem zaprowadzili nowo poślubioną parę do komnaty i według wyraźnego urzędowania w spisany nazajutrz dokumencie ułożyli ją obok siebie. Układ spisano 15 czerwca 1378 w Haimburgu, posag panny młodej określono m. in. na dwieście tysięcy czerwonych złotych. Ustalono jednak, że zostanie on wypłacony z chwilą osiągnięcia przez młodych dwunastu lat. Wtedy też należało dopełnić małżeństwa.

Plan Ludwika był prosty. Jadwiga miała objąć z Wilhelmem tron węgierski, zaś siostra jej, Maria, wraz z Zygmuntem Luksemburczykiem władaliby w Polsce.

Śmierć Ludwika powikłała te ustalenia. Węgry, choć ich władczynią miała być Jadwiga, nazajutrz po śmierci króla koronowali w Budzie Marię na królową. Przekreśliło to z kolei jej szansę na objęcie rządów w Polsce, gdyż Polacy chcieli mieć odrębną władczynię. I tak kandydatką do polskiej korony stała się Jadwiga.

Pomimo oporu, chcącej kierować sprawami córki, Elżbiety Bośniaczki, na skutek nalegań polskich wielmożów (Polacy zagrozili nawet, że wybiorą sobie innego monarchę), w pierwszych dniach października 1384 stałorynym traktem wyjechała do Polski jej nowa, dziesięcioletnia królowa. Zaraz po przyjeździe, 15 października 1384, ukoronowano ją w katedrze wawelskiej. Brakowało korony Bolesławów, którą Ludwik wywiózł na Węgry,

użyto więc inaygnów, które służyły do koronacji żon monarchów.

Wkrótce na porządku dziennym stała się sprawa małżeństwa Jadwigi. W obliczu konieczności politycznych jej ślub z Wilhelmem traktowano jako niebity, rozważano inne kandydatury, wśród nich księcia mazowieckiego, Siemowita III, oraz władcy Litwy — Jagiełłę. Wysłał on poselstwo do Krakowa z propozycją przyłączenia Wielkiego Księstwa do Polski, spłaty pretensji Wilhelma, przyjęcia przez siebie chrztu i ochrzczenia całej Litwy.

Ale Wilhelm nie pozostawał bezczynny. Osiągnął już wymagany ówczesnym prawem wiek, udał się do matki Jadwigi i żądał wypełnienia zobowiązań. Po długich naleganiach uzyskał dokument firmowany przez Elżbietę, królową Węgier Marię, kardynała Dymitra i palatyna Mikołaja Garai, w którym dano pełnomocnictwo księciu Władysławowi Opolczykowi, aby „zamierzone małżeństwo przywiódł w spełnienie i przyrzeczoną córkę i siostrę naszą Jadwigę oddał księciu Wilhelmowi w stało i uściłki małżeńskie, zapewniając im sposobność połączenia się i małżeńskiego z sobą pożytku”.

Na przeszkodzie tym „uściłkom” stanęli jednak polscy panowie, których interesom politycznym bardziej odpowiadała karta litewska. Wilhelma, który przybył do Krakowa, nie wypuszczono na Wawel. Zatrzymał się w mieście i usiłował zdobyć królową, wykorzystując swój osobisty wdzięk. Młodzi spotykali się w klasztorze Franciszkanów, w refektarzu klasztornym były tańce i poczęstunki. Wilhelm postanowił przedostać się na zamek i tam dopełnić wymogów małżeństwa.

Mimo iż Wilhelmowi udało się zmylić straż, wieść o jego przybyciu na zamek szybko dotarła do panów z rady królewskiej. Wyślano czym prędzej straż, by schwytała nieposroszonego gościa. Uratowała go szybka ucieczka: ukryto księcia w koszu i spuszczone z murów.

Za Wilhelmem postanowiła opuścić zamek Jadwiga. Straż, mimo jej rozkazu, nie chciała otworzyć bramy zamkowej. Jadwiga ujęła więc topór i zamierzała wyrąbać sobie samą przejście. Na drodze stanął jednak podsłuch koroany, Dymitr z Goraja. Prawdopodobnie przekonał ją o konieczności poświęcenia uczuć osobistych na rzecz racji stanu oraz obowiązków wobec korony i państwa.

Wilhelma nigdy już nie zobaczyła. Los chciał, że po latach został on jednak mężem Andegawenki: Joanny II, królowej Neapolu.

W czasie gdy na Wawelu rozgrywały się te dramatyczne wydarzenia, książę litewski zbliżał się już do Sandomierza. Królową, był może uzależniając od tego swe plany życiowe, wysłała mu naprzeciw osobistego posłańca, Zawiszę z Oleśnicy, by wybiadał, czy książę jest rzeczywiście tak szpetny, jak o nim mówiono. Jagiełło przyjął posła izerzliwie, żeby pozwolił lepiej ocenić swoje kształty, poprowadził go nawet ze sobą do łaźni. Zawisza napatrzywszy się wszystkimu do woli, po powrocie donosi, że Jagiełło „jest kształtny, ciało ma dobrze zbudowane, wzrost średni, spojrzenie wesołe, twarz podługą, bez żadnego jednak śladu szpetoty, a obyczaj poważny i godny księcia”. Uprzedzenia Jadwigi zniknęły.

Rozpoczęto przygotowania do ślubu. Na krótko przed tą uroczystością Jadwiga w katedrze na Wawelu odwołała publicznie swoje zaślubiny z Wilhelmem. 14 lutego 1386 w tej samej świątyni Jagiełło przyjął chrzest wraz z innymi panami litewskimi. Otrzymał chrześcijańskie imię Władysław. W trzy dni potem odbył się ślub i koronacja Jagiełły.

Jadwiga po ślubie była jeszcze niepełnaletnia. Czternaście lat. Królowa (właściwie to ona była władczynią, Jagiełło tylko księciem-małżonkiem) angażowała się w sprawy polityczne. Godziła właśnie Jagiellowych braci, uczestniczyła w sporach z Krzyżakami, znane są jej dary na rzecz Akademii Krakowskiej.

Współżycie pary królewskiej było dobre — poza jednym kryzysem. Spowodował go Wilhelm Gniewosz z Dalewic. Przysłużył się przed laty Jadwidze i młodemu Habsburgowi i, jak pisał kronikarz, wziął za to niemałe pieniądze. Gniewosz oskarżył Jadwigę, że nadal sprzyja austriackiemu księciu i podczas nieobecności Jagiełły spotyka się z Wilhelmem.

Serial „Królewskie sny”, który oglądamy właśnie w TV, to opowieść o ostatnim okresie panowania króla Władysława Jagiełły i towarzyszącej mu do końca jego dni czwartej żonie, pięknej Sonce.

Na dworze wybuchł skandal. Królowa zaprzeczyła potwarz, złożyła przysięgę o swej niewinności. W Wiślicy zebrał się trybunał, który badał całą sprawę. Po skrupulatnych dochodzeniach wydano wyrok korzystny dla królowej. Gniewosz, zgodnie z obyczajem, musiał dać jej satysfakcję: wejść pod ławę i odszczekać jak pies oszczerstwa. Miejsce, gdzie się to podobno stało, do dziś ludzie z Wiślicy nazywają „psią górką”.

Małżonkowie długo nie mieli potomstwa. Dopiero po trzynastu latach od zawarcia małżeństwa Jadwiga zaszła w ciążę. Po bardzo ciężkim porodzie przyszło na świat dziecko tak słabe, że musiano natychmiast je ochrzcić. Dziewczynka otrzymała imiona Elżbieta Bonifacja, ojcem chrzestnym per procura był papież Bonifacy IX. Niemowle przeżyło zaledwie trzy dni. Z dnia na dzień słabła też matka i zmarła wkrótce, nie odzyskawszy sił po porożu. Ciało królowej złożono w katedrze wawelskiej, przy wielkim ołtarzu, po stronie Ewangelii. Od 1949 roku prochy jej spoczywają w alabastrowym sarkofagu dłuta Antoniego Madeyskiego.

ANNA



wnuczka Kazimierza Wielkiego
w koronie

Po śmierci Jadwigi Jagiełło miał nawet rozważać myśli o abdykacji: ostatecznie jego prawa do korony polskiej były łatwe do podważenia. W obliczu krzyżackiego niebezpieczeństwa i korzyści z unii z Litwą przeważało stronnictwo chcące utrzymania Litwina na tronie. W celu zaś wzmocnienia jego pozycji prawnej postanowiono poślubić mu dziewczynę, w której żyłach płynęła piastowska krew. Była nią rodzona wnuczka (po kądzieli) Kazimierza Wielkiego, Anna Cylicka.

Była ona córką króla Kazimierza i Jadwigi Zagańskiej. Ludwik Węgierski, obejmując tron, postanowił pozbęd się ewentualnej rywalizacji do tronu, wywiózł więc dziesięcioletnią Annę, czym prędzej z kraju i wydał ją za mąż za hrabiego cylickiego, Wilhelma. Dział Celje znane z historii także pod niemiecką nazwą Cilly albo łacińską Cileia, jest niewielkim miastem w Słowenii. Ówczesnie było to hrabstwo z własną dynastią, zarządzające z księstwem styryjskim. Jego władcy nie cieszyli się jednak dobrą opinią. Późniejszy papież Pius II pisał (cytat wg Karola Szajnochy): „Jakiś osobliwy zbrodnictwo przechodziło w tym rodzie z ojca na syna. Cylickich było dwóch: Herman i syn jego, Wilhelm. Córka Hermana, Barbara, liczy się do najsrośniejszych grzesnic, jakie znane są w dziejach. Niemniej ohydny był także jej brat, grał Fryderyk Srogi, nieuzity, krwi żądny okrutnik, skąpiec, wróg duchowieństwa, nie cierpiący

W E Ż O N Y

Ten tekst, który jest fragmentem książki Zbigniewa Satały pt. „Poczet polskich królowych, księżnych i metres” (ukaze się nakładem Wydawnictwa „Glob”), kreśli portrety Sonki i jej poprzedniczek, trzech żon założyciela dynastii Jagiellonów.

obrzędów kościelnych, zły pan, zły sąsiad, żartok”. Fryderyk uduślił własną żonę, gdy chciał ożenić się z inną kobietą. Wkroczył w to jednak jego ojciec i uznał, że kochanka czarami opętała syna. Kazał ją więc utopić. Kiedy wnuk Hermana, a syn Fryderyka, hrabia Ulryk, zakochał się w pewnej meżatce — kazał meżę, stojącego romansowi na przeszkodzie, zabić.

W takie to „gniazdo mętobójców i trucicieli” (jak pisze Szajnoch) trafiła córka Kazimierza Wielkiego. Z jej małżeństwa z Wilhelmem Cylejskim około 1381 roku urodziła się córka, także nazwana Anną, późniejsza żona Władysława Jagiełły. Wilhelm jednakże nie żył długo, wdowa wyszła powtórnie za Ulryka, księcia Teck z Wirtembergii i wyjechała do meża, pozostawiając córkę u jej stryja, Hermana II.

Pewnego dnia pod koniec 1400 roku okazały orszak przybył na dwór Hermana. Przyjechali znakomici rycerze: Iwan z Obichowa, Hinczo z Rogowa i Jan z Ostrowca. Ku zdumieniu gospodarza wysłannicy przywieźli pozdrowienie od króla polskiego i poprosili w jego imieniu o rękę sieroty Anny. Herman zgodził się skwapliwie na to małżeństwo, miał dość własnego potomstwa i chętnie pozbywał się kłopotliwej wychowanki. Wysłannicy doszli do porozumienia co do wyprawy ślubnej, zabrali dobiegającą dwudziestu lat pannę i w towarzystwie kilku panów cylejskich 16 lipca 1401 Anna przybyła do Krakowa. Naprzeciw narzeczonej wyjechał król.

Popitanie nie było jednak najcieplejsze, Anna nie spodobała się Jagielle, zbyt duży był kontrast z urodą Jadwigi. Najpierw dostało się swatom, potem król zaczął nawet szukać pretekstu, by się wymówić od tego małżeństwa. Odwlekał terminy, ciągle zniknął na polowaniach. Anna pozostawała jednak w kraju, intensywnie uczyła się języka polskiego. W końcu król zdecydował się i pod koniec stycznia 1402 roku w katedrze wawelskiej arcybiskup gnieźnieński, Dobrogost z Nowego Dworu, udzielił młodej parze ślubu. Turnieje i uczty trwały dobry tydzień. W rok później odbyła się koronacja Anny.

Mimo że niepowabna i brzydka, miała Anna uczynić Jagiellę rogaczem. Zapewne trzeba wziąć poprawkę na wyjątkową podejrzliwość i zazdrość króla, ale kochanków przypisywano jej wielu. Pierwszym miał być Jakub z Kobylan z rodu Grzymaliów. Długosz przypisuje mu „czyny nierządne, których dopuścił się z królową”. Nieszczęsnego wielbiela zakuto w kajdany i zamknięto na trzy lata w wieży lwowskiego zamku. Dowody winy nie były chyba zbyt przekonujące, wyrok jest, jak na ową epokę, łagodny, jeśli w ogóle coś było — to pewnie raczej flirt niż zdrada.

Ofiarą następnego podejrzenia padł arcybiskup gnieźnieński, Mikołaj Kurowski. Miał on namawiać Annę do cudzołóstwa (co nawet mogło być prawdą i mieć na celu zapewnienie dynastii męskiego dziedzica). Rozgniewany król wezwał dostojnika do siebie na rozmowę, podczas której wraz z wielkim księciem Witoldem mieli ocenić jego przewinę. Jednak biskup w drodze spadł z konia i zmarł w wyniku odniesionych obrażeń. Do rozprawy więc nie doszło.

Anna urodziła Jagielle córkę, Jadwigę, uważaną za dziedziczkę korony. Obiecana za żonę Fryderykowi, margrabiemu brandenburskiemu, zmarła przed wyjściem za mąż.

Anna zmarła w 1416 roku po kilkumiesięcznej chorobie. Została pochowana w katedrze. W kilkanaście lat potem złożono obok matki

córkę Jadwigę. Dziś w katedrze wawelskiej tuż przy sarkofagu królowej Jadwigi znajdujemy napis o miejscu wiecznego spoczynku jej następczyni, Anny Cylejskiej.

ELŻBIETA



ułowila lwa chytrą i kłamstwem

Jagiello podejrzewał o niewierność Jadwigę, wyszukał kilku kochanków brzydkiej Annie i zarzucał wiarołomstwo ostatniej swej żonie, Zofii.

Wierzył jedynie swej trzeciej małżonce, Elżbiecie Granowskiej. W chwili zawarcia związku z królem liczyła ona sobie około czterdziestu pięciu lat, przeżyła już trzech mężów, urodziła czworo dzieci, a nadto, wedle ówczesnych pojęć, była właściwie siostrą króla. Matka Elżbiety — Jadwiga z Melsztyńskich — była matką chrzestną przy chrzcie Jagiełły. Stanowiło to listotną przeszkodę kanoniczną do zawarcia małżeństwa.

Elżbieta była córką Ottona z Pilicy i Jadwigi, siostry magnata małopolskiego, Spytka z Melsztyna. Otton z Pilicy był wojewodą sandomierskim, a potem starostą wielkopolskim. Po śmierci ojca jedynaczką Elżbieta stała się jedną z najzamożniejszych panien w królestwie. Toteż niezwłocznie zjawili się w Pilicy — dzisiejsza Pilica w pobliżu Olkusza — liczni łowcy posagów. Wszystkich starających się ubiegł szlachcic z Moraw, Wiszel Czambor. Nie bawił się w zaloty, ale po prostu pannę porwał (zapewne nie bez jej zgody), wziął z nią ślub i dopełnił małżeństwa. Bogatego łupu pozazdrościł mu krajan, Janczyk Hiczyński, herbu Odrowąż. Napadł Czambora i odbił mu dziewczynę. Nie zważając też na wcześniejszy ślub Elżbiety z Wiszlem, pojął ją za żonę i zagarnął majątek. Ponieważ zaś Wiszel nie ustępował, nękał Janczyka listami, oburzał obelgami, a w końcu udał się do Krakowa (zapewne, by poskarżyć się królowi) — Janczyk wynajął dwunastu zbirów i wychodzącego z łaźni Wiszla poturbował tak dotkliwie, że zmarł on z odniesionych ran.

Janczyk wkrótce zmarł i Elżbieta została wdową. Losem jej zajął się teraz wuj, Spyttek z Melsztyna. Wyswatał ją za nie najmłodszego człowieka, Wincentego z Granowa. Ten trzeci ślub nie mógł nastąpić później niż 2 października 1397 roku, gdyż w zapisie sądowej z tej daty Elżbieta jest już panią Granowską. Mąż jej otrzymał w nagrodę od Jagiełły po bitwie grunwaldzkiej starostwo toruńskie. Zasłużył na to, gdyż na wojnę z Zakonem przeprowadził własną chorągiew wojska.

Z tego trzeciego małżeństwa Elżbieta miała czworo dzieci: Jana i Ottona oraz Jadwigę i Elżbietę. Dbała o nie troskliwie. Usiłowała uzyskać dla syna Jana tytuł hrabię, ale zdecydowany sprzeciw urzędników królewskich nie pozwolił Jagielle nadać tej godności pasierbowi. Niemniej Jan uzyskał potem pierwsze świeckie stanowisko w królestwie — kasztelanu krakowską.

Małżeństwo dobiegające siedemdziesiątki monarchy i trzykrotnej wdowy skojarzyła siostra Jagiełły, Aleksandra, księżna mazowiecka. Spotkali się w styczniu 1417 roku w Lubomli na ziemi chełmskiej, a już 2 maja w Sanoku odbył się ślub.

Po uroczystościach para królewska udała się w podróż poślubną do Lwowa, potem jeździła po kraju, spędzając Boże Ciało w Haliczu. Jesienią nastąpiła koronacja Elżbiety, której, jak i ślubu, dokonał arcybiskup lwowski, Jan z Rzeszowa.

Rok 1418 był szczęśliwy dla małżonków. Dużo wspólnie podróżowali po kraju, przy-

mowali posłów wracających z soboru w Konstancji, razem święcili powtórny ożenek stryjecznego brata Jagiełły, Witolda. Wspaniale zaślubiny Witolda z Julianą, księżniczką twardzką, miały miejsce w Grodnie.

W roku następnym królowa zapadła jednak na zdrowiu. Nie domagała do tego stopnia, że nie towarzyszyła Jagielle w jego podróżach, leżała chora w Krakowie. Zmarła 12 maja 1420.

Elżbietę pochowano w kaplicy Mansjonarskiej (Batorego) w katedrze wawelskiej. Stanisław Ciołek, pisarz królewski, napisał po śmierci królowej ordynarną satyrę, pełną zniewag i obelg. Dowodził, że „małżeństwa dopięła za skarby wykopane z ziemi łopatą swego języka, ulowiwszy lwa chytrą i kłamstwem”. Oburzony król wyrzucił za ten paszkwil Ciołka z dworu, ale po pewnym czasie mu wybaczył i nawet awansował.

ZOFIA



ze znakomitego litewskiego rodu

Siedemdziesięcioletni monarcha nadal nie miał syna i nadzieja na następcę malała coraz bardziej, mimo że król trzymał się dobrze: wytrzymywał trudy najcięższych polowań, jeździł konno, miesiącami nie wychodził z lasów. Nie brakowało też kandydatek na czwartą żonę. Cesarz Zygmun Łuksemburczyk zamierzał wyswatać go ze swoją córką, jedenastoletnią Elżbietą, jedynaczką szkoloną z dworami całej Europy. Potem chciał posłać Jagielle swą bratową, Ofkę, wdowę po królu czeskim, Wacławie. W posagu polski król miał obiecać sto tysięcy czerwonych złotych i Śląsk. Z innej strony kusił Witold. Posłał Jagielle konterfekt swej siostrzenicy, siedemnastoletniej Sonki, córy znakomitego litewskiego rodu książąt holszańskich (Holszany pod Wilnem). Trzeba było dokonać wyboru.

Polski monarcha obie propozycje uznał za bardzo interesujące. Wysłał więc na Litwę Zbigniewa Oleśnickiego, by obejrzał Sonkę. Jednocześnie do Czech pojechał Zawisza Czarny, aby tam ułożyć małżeństwo z Ofką. Zdecydował przypadek. Jan Żiżka, wódz husytów walczących wówczas z cesarzem Zygmuntem, pojął Wawiszę, co uniemożliwiło układy czeskie. Jagiello zdecydował się więc na Sonkę.

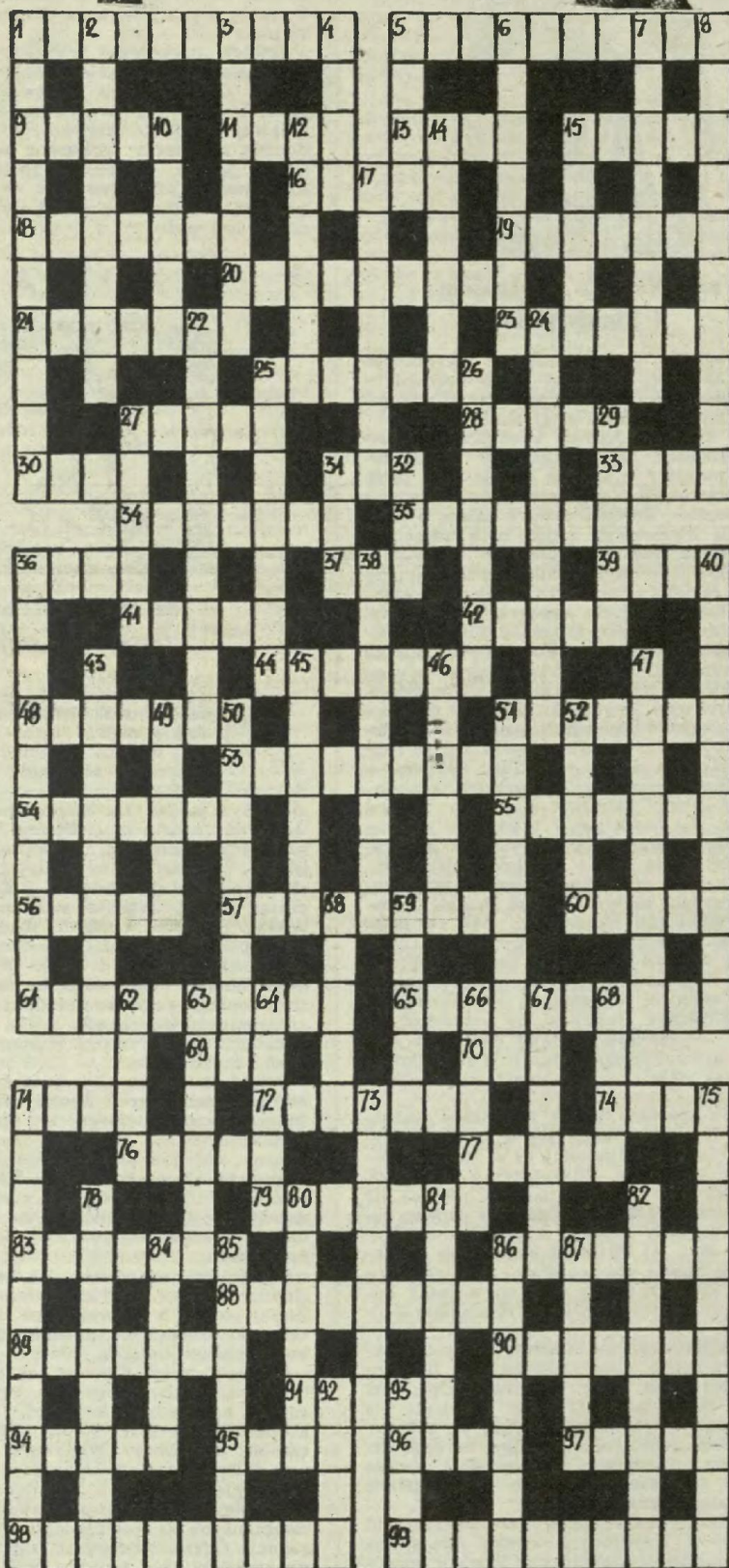
Młodziutka narzeczoną wyznawała prawostawie. Najpierw przyjęła chrzest i nowe imię Zofia, potem w Nowogrodzie doszło w 1422 roku do uroczystych zaślubin; ceremonii dokonał biskup żmudzki, Maciej.

Ominęła więc Kraków okazja oglądania ostatniego ślubu monarchy, ale zrekompensowała to koronacja królowej. Takiego zjazdu koronowanych głów stolica nie widziała od czasów Kazimierza Wielkiego. Przybył sam cesarz Zygmun Łuksemburczyk z żoną, Barbarą Cylejską, Eryk — król duński, zjawił się też (nieproszony) książę bawarski, Ludwik, zwabiony do Krakowa wielkim rozgłoszem koronacji. Odrzucił natomiast zaproszenie główny architekt tego związku, wielki książę Witold. Podobno pokłócił się z nową królową Polski.

5 marca 1424 roku przed głównym ołtarzem katedry krakowskiej młodziutką czwartą żoną Jagiełły otrzymała koronę. Włożył ją na jej głowę arcybiskup gnieźnieński, Wojciech Jastrzębiec. Towarzyszył mu legat Stolicy Apostolskiej.

W niespełna rok później, 17 lutego 1425 ro-

Dokończenie na str. 47



POZIOMO:

- 1 kociuba
- 5 kucharka przygotowująca potrawę do sklepu
- 9 wiele Nilowi zawdzięcza
- 11 każdy taniec musi mieć swój
- 13 odbicie się nogami od ziemi
- 15 cedzi
- 16 czego najchętniej słuchasz
- 18 ten od dołny
- 19 poszukiwana odmiana wiśni
- 20 sztuka pielęgnacji urody
- 21 przegrzka
- 23 popularne, naturalnie rodowodowe, czworonogi
- 25 aksamitny męski głos
- 27 zwiastuje minorową tonację
- 28 świat profesora Krawczuka
- 29 kwiaty Afrodyty
- 31 gdzie z koszykiem wydłazę sobie przeróżne towary z obficie zaopatrzonej polek
- 33 płonąca rzeka
- 34 pewnie już ją pięknie wystrzelił przed świętami
- 35 prawosławna kława
- 36 płyną od korzeni do liści drzew
- 37 tam remontują statki
- 39 przedświąteczny okupant wanny
- 41 pogranicze
- 42 iza jej się w oku kręci na widok i smak tego białego w butelce
- 44 alkohol dla cierpliwych
- 45 godziwa za godziwą pracę
- 51 antybiotyk
- 53 zajmuję się i fonetyką, i składnią
- 54 efekt architektonicznych zdolności bobrów
- 55 i dwu-, i trójkolowe cieszę naszych najmłodszych
- 56 upomina się o kłębek
- 57 tam trzymasz swojego zakręconca
- 60 zwinięty papier
- 61 warsztat, w którym powielają rodzajem saktiwa
- 65 gdzie pierwszy
- 68 znana agencja ONZ
- 70 wyszła z elementarza
- 71 do wiedzenia
- 72 nikczemnik
- 74 dookoła króla
- 76 ogórki na b. ostro
- 77 schronienie dla 42
- 79 w co biją nasi
- 83 rąbie prawdę bez ogródek
- 86 odpowiednia gimnastyka przed wyruszeniem na narty
- 88 jest dokota ciebie
- 89 przewodnik po roślinach
- 90 przeważnie kupujemy mrożone i uszlachetniamy w domu przyprawami i pulpetami
- 91 na czubku twojej choinki
- 94 w czym dusisz gęś na drugi dzień świąt
- 95 strzelców zielona
- 96 państwo na swojej wyspie na Morzu Śródziemnym
- 97 białak różowej, słodkiej wody z większą ilością czarnych pestek
- 98 obywatelka wielkiego państwa, rozkładany fotel, walizka zapasnicza
- 99 urządzenie służące do narzucania na mur zaprawy uszczelniającej i jednocześnie dekorującej

produkcji, bo nie ma wad
du dewizowego
24 pawlaczem w części Polski
zwana
25 jasnowłosy
26 bizon z byczej skóry
27 w nim niemowlak
28 brawa na zamówienie
31 owocowy
32 podroził nam niemożliwie,
ale święta nie obejda się
bez niego
36 zwrotne
38 coś dla chirurga
40 adwersarz
43 Mikado
45 sukienka lampy
46 falbanki noszone jako ozdoba
przy szyi
47 gruba folia stosowana do
filmów animowanych
49 sily zbrojne
50 handlowe biuro pośrednic-
twa
51 gwałtowne zdarzenie
52 podnośnik z ramieniem
53 Amundsen
54 w Toruńskim, jedno z
głównych miast ziemi do-
brzyńskiej w XV w.
62 pijak i włóczęga
63 wyniki do wywołania
64 muzykuje wspólnie
66 Krzyżacy
67 Indianie, myśliwi preri,
także dwa stany w USA,
także rzeka też w USA
68 kranówka
71 coś na tymczasem, co na
na ogół trwa b. długo
73 co przybliży nam T. G. na
rozkładawce
75 prezent na rękę
76 gdzie czereśnie
78 ach, coś to za zapach, coś
to za smak!
81 dostojne roczniki
82 jak ci przyniesie myśliwy,
to upiecz je, owijając
w słoninkę
84 też białak, ale z żółtym
mięśnieniem i pestkami do
gryzienia
85 paradna na warkoczu
86 muskający pieszczotliwie
wiatr
87 najtrudniej wywabić białą
88 okularnik
89 w nim rydye marynują się
Pomiędzy Czytelników, któ-
rzy nadesłali poprawne rozwią-
zanie krzyżówki do czwartku,
28 grudnia (decyduje data
stempli pocztowego), zostaną
rozkoszowane nagrody: dwa
premiowe bonusy ośmiennio-
ściowe PKO na 2000 zł, cztery pre-
miowe bonusy ośmiennio-
ściowe PKO na 2000 zł oraz 20 nagród
kalendarzowych. Nagrody wysła-
my w terminie trzytygodniow-
ym. Rozwiązanie krzyżówki
prosimy nadsyłać do Redakcji
Przekroju, 30-440 Kraków, skr.
pocztowa 533, z zaznaczeniem
Krzyżówka świąteczna.

Za poprawne rozwiązanie
krzyżówki z „P.” 2220 droga
losowania nagrody otrzymu-
ją: premiowy bonus ośmiennio-
ściowy PKO wartości 2000 zł –
Paweł Dominikowski, Byt-
nica; premiowe bonusy ośmiennio-
ściowe PKO po 1000 zł –
Grażyna Romanowska, Bran-
nica; Zygmunt Mosionek, No-
wa Wola. Książki: Andrzej
Kozarzewski, Sokółowo; Alek-
sander Kawa, Łańcut; Czesła-
wa Dankowska, Białogard;
Barbara Kalinowska, Lipno;
Wiktor Gilas, Legnica; Doro-
ta Sulek, Warszawa; Andrzej
Kaczalski, Włocławek; Krzy-
sztof Kamiński, Bachórzec;
Piotr Biskup, Krasnik Lub.;
Zofia Procyk, Grzeska.

Rozwiązanie z nr. 2270

GRZEBYK STARUSZKA
R K U J I N Z N
AGRONOM ERGONOMIA
H L P C O N T
A O PECZORA K O
MARGIEL KALKOHOL
O L A G A
GAZETA KNEBEL
A T M B K
BALATON A RZSZADA
A W NAGRODA A W
N A K K N B K
DABROWSKI OPRAWKA
O I O Z E W W R
SODALISKA ARKADIA

Wydawca: Krakowskie
Wydawnictwo Prasowe
RSW „Prasa-Książka-Ruch”
w Krakowie, ul. Wiślna 2
Redaguje zespół

Druk:
Drukarnia Wydawnicza
Im. W. L. Anczyca
w Krakowie,
ul. Wadowicka 8

TYGODNIK Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch”.

ADRES REDAKCJI: 31-012 KRAKÓW, UL. REFORMACKA 3, TELEKS: przek pl 032733, TELEFONY: centrala 22-75-88, wewn. 130; 22-18-33 i 22-18-72 (centrala wewnętrzna łączy ze wszystkimi pokojami redakcji), 22-59-54 redaktor naczelny i sekretariat, 22-18-92 redakcja graficzna. Listy można adresować też: KRAKÓW I, SKRYTKA POCZTOWA 533. ADRES WYDAWCY: KRAKOWSKIE WYDAWNICTWO PRASOWE RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH”, 31-007 KRAKÓW, UL. WIŚLNA 2, III p., TEL. 22-58-62. OGŁOSZENIA PRZYJMUJE: Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2, 31-007 Kraków, tel. 22-78-89, oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. REDAKCJA NIE ZWRACA NIE ZAMO-
WIONYCH TEKSTÓW, FOTOGRAFII I RYSUNKÓW.

PL ISSN 0033-2488

Nr indeksu 37142

6950/88 M-3 1988-12-16

nani. Wiedzieli, czemu służy ich wysiłek. Utrzymanie tego skrawka kraju umożliwić bowiem miało spływającym od zachodu i z północy rodzinnym oddziałom przekraczanie granicy rumuńskiej.

Takie były ostatnie już zamiary i życzenia dowódców. Rzeczywistość jednakże z każdym dniem okazywała się coraz to bardziej tragiczna. Nieprzyjacieli wyszedł bowiem na tyły polskich ugrupowań. Droga na wschód otwierać trzeba więc było ogniem.

Oddziały armii „Karpaty” rozstrzygnęły na swoją korzyść starcie pod Lelechowką i Hołoskiem. Nie zdołały jednakże przedrzeć się do Lwowa. 19 września tylko trzy kilometry dzieliły resztki polskich dywizji od Zamarstynowa i Zboisk. Ale sytuacja na froncie była już w tym czasie inna.

17 WRZESNIA wojska radzieckie przekroczyły granicę na Zbruczu. Znajdujące się we wschodniej części kraju polskie siły otrzymały rozkaz: *Bijemy się tylko z Niemcami, z bolszewikami wojny nie prowadzimy. Do wojska sowieckiego nie strzelamy, chyba że nas zaatakują.*

W zaistniałej sytuacji dowództwo Wehrmachtu domaga się natychmiastowego poddania miasta. Jednakże generał Langner stanowczo odrzuca to żądanie. Napastnicy kierują więc w stronę zabudowań od zachodu i z południa lufy siedmiu dywizjonów artylerii. Zamierzają pogrzebać obrońców w ruinach. Wróg odcina dopływ wody. To, co udaje się wypompować ze studni, nie starcza nawet do wypieku chleba. Nie ma mowy o gaszeniu szerzących się pożarów.

W nocy z 18 na 19 września od Winnik dociera do granic miasta grupa podpułkownika P. Fotczenkowa. Sześć czołgów przejeżdża ulicą Lyczakowską na plac Bernardyński i zaraz potem wycofuje się. Także i z tej strony padają teraz wezwania do złożenia broni. Rozpoczynają się pertraktacje.

Niemcy w dalszym ciągu nie rezygnują jednak z zamiaru okrzepienia tak bliskiej już przecież zdobyczy. Prą nadal na wschód. Pod Winnikami ostrzeliwują nawet rozlokowane tam zgrupowanie Armii Czerwonej. Są ofiary w ludziach. Pełnomocnik radziecki, N. Jakowlew, domaga się natychmiastowego przerwania akcji, a także zaprzestania ostrzału miasta i cofnięcia oddziałów w jasnozielone mundury oddziałów o piętnaście kilometrów na zachód. Podobne polecenie nadchodzi wkrótce ze strony Oberkommando der Wehrmacht. W nocy z 20 na 21 września Niemcy odступują od nie zdobytego przez siebie Lwowa.

Dalsza obrona nie ma już militarnego uzasadnienia. Dywizje karpackie w przebijające części uległy zniszczeniu i rozproszeniu. Zaledwie pojedyncze bataliony pod dowództwem majorów Lityńskiego i Dyducha zdołały przedrzeć się przez niemieckie zapory. Wyprowadzenie wojsk ku granicy węgierskiej czy rumuńskiej stało się zadaniem niewykonalnym. Linia obronna organizowana na Stryju i Dniestrze została bowiem zlikwidowana.

22 września o godzinie ósmej rano generał Władysław Langner podpisuje akt przekazania miasta dowództwu Armii Czerwonej. Tego samego dnia o godzinie drugiej po południu wkraczają do Lwowa oddziały radzieckie.

CHODZĘ wokół Rynku, przypatruję się otaczającym prostokątny plac kamienicom. Odnowione tynki co krok odsłaniają bogactwo architektonicznych detali. Przy wylotach narożnych ulic oglądam ozdobione kamiennymi figurami studnie. Spaceruję więc od Amfitrydy do Adonisa, od Diany do Neptuna. Rzeźby pochodzą z pierwszej połowy ubiegłego stulecia. Są dziełem Hartmana Witwera i Antoniego Schimsera. Ci niemieccy artyści pozostawili po sobie pamięć nie tylko w tym miejscu. Spod ich dłuta wyłoniło się także wiele nagrobnych pomników na Cmentarzu Lyczakowskim. Lwów ma niejedno oblicze. W każdym zakątku historia odcisnęła tu ślady następujących po sobie wydarzeń.

Po pierwszym rozbiore Polski miasto stało się łupem Habsburgów. Zaraz po wkroczeniu Austriacy polecieli rozebrać znajdujący się w obrębie murów obronnych Niński Zamek. W warowni tej gromadzone były od stuleci księgi grodzkie i ziemskie, tam też znajdowały się królewskie komnaty.

Nowi władcy chcieli zatrzeć ślady dawnego porządku. Z kamiennych bloków tej budowli wyrósł potem gmach przy placu Góuchowskich i przy ulicy Żółkiewskiej.

Zaborcy postawili także w środku Rynku olbrzymi, przypominający wyglądem koszar, czworobok ratusza. Dawna siedziba rajców miejskich wzniesiona w tym miejscu na polecenie Kazimierza Wielkiego i Jana Olbrachta, wielokrotnie niszczona i przebudowywana, z końcem osiemnastego stulecia obróciła się w ruinę. Na resztkach jej murów ustawiono więc twierdzę cesarskiej biurokracji.

W czasie Wiosny Ludów ratusz stanął w płomieniach. Zapalił się od pocisków skierowanych w jego stronę przez wojska generała Hammersteina. Wzniesiony przeciwko wiedeńskiemu władcom bunt należało bowiem wypalić ogniem. Po stłumieniu rozruchów urzędnicy siedzibę starannie odbudowali. Upodobniono ją przy tym do gmachów publicznych wznoszonych wtedy nad Dunajem. Solidne mury budynku są ocieplane i pozbawione wdziku. Nie pasują

do spoglądających w ich stronę renesansowych i barokowych kamieniczek.

W okresie międzywojennym zastanawiano się, czy płasko ściętej ratuszowej wieży nie przywrócić ozdoby, siedemnastowiecznego hełmu. Odstąpiono jednakże od tego zamiaru. Pozostawiono kamień w takim kształcie, w jakim układała je tu historia.

23 lipca 1944 roku na lwowskie ulice wjechały czołgi dziesiątego Uralskiego Korpusu Pancernego. Radzieckie natarcie wspierały szwadrony czternastego pułku ulanów Armii Krajowej. Oddziały polskie oparowały między innymi: Uniwersytet, Politechnikę, Pocztę Główną, Ossolineum. Zajęły gówniejszą miejską i siedzibę gestapo. Tego dnia na wybudowanym kiedyś przez Austriaków ratuszu powiewały cztery flagi: polska, radziecka, amerykańska i brytyjska.

MIECZYSLAW CZUMA

(Kolejny spacer po Lwowie historycznym i współczesnym — w styczniu).

ku, cały kraj wiwatował z okazji chrzciny pierwszego Jagiellowego syna. Zofia powiła bowiem chłopca i właśnie 17 lutego w katedrze krakowskiej nadawano mu imię Władysław. Wiadomość o narodzeniu dziecka zastała Jagiełłę w Przemyślu i król natychmiast wysłał posłów do Rzymu, by prosić papieża na ojca chrzestnego. Papież przyjął zaproszenie, wyznaczył Zbigniewa Oleśnickiego swoim zastępcą i wysłał szczęśliwej matce bogate prezenty w „akamitach złota tkanych”. Uparły Witold nie przybył i tym razem, ale posłał królewiczowi kozynek srebrną wałeczką sto grzywn.

Jagiello nie zmieniał swoich przyzwyczajeń. Przebywał więcej na łowach niż przy żonie. Podczas jednego z polowań na grubego zwierza zapadł się za niedźwiedziem i spadając z konia — złamał nogę. Kurował się przy boku Zofii w Krakowie, która urodziła w tym czasie drugiego chłopca. Dziecko nazwane Kazimierzem żyło jednak tylko rok.

Wkrótce daje znać o sobie zazdrość Jagiełły. Jak się wydaje, motorem całej intrygi był Witold, to on miał w Horodle opowiedzieć królowi o zamysłach pogłoskach, jakoby Zofia była niewierną. Oskarżenia padły na podatny grunt. Wielu wątpiło, czy Jagiełło w swoich latach mógł jeszcze być ojcem. Co więc cicho szeptano — Witold wyraził głośno. Znany z porywczowości, a i z zazdrości, Jagiełło kazał przeprowadzić dochodzenie, zamkniętą w więzieniu czterech dworzan: Hącę z Rogowa, Piotra Kurowskiego, Wawrzyńca Zarebę z Kalinowy i Jana Kraske. Trzech innych podejrzanych o romans albo o pomaganie królowej w schadzki: Jana z Koniecpola oraz Piotra i Dobiesława ze Szczekocin w porę ostrzeżono i udało im się zbiec. Dwie dwórki wywieziono na Litwę i tam wydano za mąż.

Najwięcej podejrzeń kierowano na Hącę. Witold żądał jego głowy, Jagiełło też skłaniał się, by skazać go na śmierć. Nieszczęśliwie uniknął jednak najgorszego, gdyż zbiegł na okres największego gniewu monarchy i dopiero po pewnym czasie chwycono go powrotnie. Król nieco ochłonął i skończyło się na karze w wieży w Ciecinach.

Zofia złożyła przysięgę, by oczyścić się z zarzutów. Wkrótce, w 1430 roku, umarł Witold i z jego śmiercią skończyły się oskarżenia. Zofia urodziła w tym czasie trzeciego syna — Kazimierza.

Sytuacja Zofii poprawiła się tak dalece, że sama zaczęła atakować swych przeciwników. Na zjeździe w Sandomierzu oskarża zausznika Witoldowego, Jana Stasza, o znieważenie. Stasz musiał stawać przed sądem.

W rok później umarła córka Jagiełły i Anny Cylejskiej, Jadwiga.

W 1432 roku umiera Jagiełło. Długosz pisze, że podczas pogrzebu króla „placze i jęki królowej rozlegały się po całym kościele”.

Po zgonie Jagiełły wdowa wszystkie siły poświęciła zapewnieniu królewskiej przyszłości dzieciom. Gdy się ważyły losy korony wę-

gierskiej, zabiegała o pozyskanie jej dla syna Władysława, potem śledziła zmienne koleje jego losów jako władcy węgierskiego, agitowała na zjeździe w Korcynie za postanowieniem królowi posiłków, gdy znalazł się w tarapatkach. Bitwa pod Warną przekreśliła jej nadzieje i zabrała syna. Pozostał Kazimierz.

Młody książę rządził wówczas na Litwie. Czuł się tam dobrze i nie zamierzał przyjeżdżać do Polski, by objąć tron po bracie. Zofia broniła jego interesów, wykorzystując potęgę kardynała Zbigniewa Oleśnickiego. Ale wielmożę się niecierpliwił, chcieli mieć króla na miejscu, w Polsce. Doszło nawet do wyboru Bolesława IV, księcia mazowieckiego, na polskiego władcę. Na zjeździe w Korcynie królowa, zalewając się łzami, błagała posłów o zmianę zdania. Udało się jej przekonać niecierpliwych, a jednocześnie nakłonić Kazimierza do przyjazdu. Wkrótce po koronacji Kazimierz ponownie wyjechał na Litwę i pozostawił władzę matce i kardynałowi Oleśnickiemu.

Po przybyciu do Krakowa żony Kazimierza, Elżbiety, Sonka ustąpiła miejsca synowej, a z czasem zupełnie usunęła się z dworu i osiadła w nadanych sobie dobrach w Sanoku. Władza była tymi ziemiami jak królowa — sprawowała sądy, mianowała urzędników, uzyskiwała nawet od papieża prawo mianowania duchownych.

Zmarła 21 września 1461 roku. Długosz pisze, że „pochowano ją w katedrze, w kaplicy św. Trójcy, którą zmarła królowa od posad samych z ciosowego kamienia zbudowała. Było to po czterdziestu jeden latach od zaślubin z Jagiełłą”.

ZBIGNIEW SATAŁA

Leeq i wiet...



LOS ANGELES. Walcząc z nierzecznością kierowców, sędziowie kalifornijscy znaleźli sposób lepszy od dotychczasowych kar więzienia. Ci, których ujęto nierzecznych za kierownicą samochodu skazani są na pouczającą staż w... kostnicy. Metoda przynosi oczekiwane efekty. W ciągu trzech lat, na 400 pilnych kierowców zmuszonych do makietycznych odwiedzin w kostnicy tylko trzech ponownie zasiadło po spożyciu alkoholu za kierownicą. W Nowym Jorku sprawiedliwość posunęła się dalej, skazuje bowiem na obowiązkową pracę w kostnicy. (Jog.)

PEKIN. Religia upowszechnia się w Chinach „w niezwykły sposób”: ponad 100 milionów Chińczyków wyznaje jedną z wielu religii, pisze China Daily, cytując wypowiedź jednego z członków rządu. Na pierwszym miejscu jest buddyzm, za nim — islam (20 milionów), protestantyzm (4 miliony) i katolicyzm (3,5 miliona wyznawców). (Jog.)

NOWY JORK. Można go palić, ale bez dymu. Tytoń (o 70% mniej niż w normalnym papierosie) rozgrzewa się, ale nie spala. Wynik jest taki, że nie ma popiołu, nie ma przykrego zapachu. Papieros „czysty”, wyprodukowany przez amerykańską firmę Reynolds, wchodzi w tym roku w powszechne użycie. (Jog.)

PROSIMY NIE POWTARZAC

Już Talleyrand zastanawiał się, co jest gorsze: czy armia złożona ze stu baranów dowodzonych przez lwa, czy armia złożona ze stu lwów dowodzonych przez barana.



EPITAFIUM

Nie dość, że nasz Kocha-
ni należał do grzesznych
naszych, to jeszcze
przez granicę przeszedł
nam coś takiego jak po-
niesz informacja, dołaco-
na do węglarskiego kramu:
Krem jest przebadany kil-
— A to politykamenty
krem, który zawiera „wy-
sami, piękności”. A i g di-
podtrzymywanie normalna
i rucha cęć, stymuluje
procesy umiarkowane w komu-
ce, reputację opłakanie
otus regeneracji. Odwieciana

O WACUSIU

— Stuchajcie Fal-
czakowo — powie-
dział Falczak do to-
ny — starajcie się
być, wściecie, bardziej
liberalni, a wiedzę
być może będziemy
mogli bez żadnych
uprzedzeń porozna-
wiać spokojnie o wa-
szych, wściecie, naj-
podlegalszych dyskusji,
władach.

ROZRABIACZ

„Przyjacieli” (nr 46) pisał
o dewym opacie:
„Wielokrotnie odwiedzał
nas i sam do nas przyjeżdżał
po to, aby zobaczyć, jak
to się odbywa, ale
ty soboty, kłopoty”.
Latter co prawda urodził
się dopiero w roku 1483,
ale rozbił w Latenciu,
jak z tego widać, bez
mała trzy wieki wcześniej.
(Nadesłał: A. Borgosz)

Kwasek i słodczyk

Ogłoszenie z nr 280
„Dziennika Zachodniego” i
„Kwasek” kwiatowy i
„Nepiun” (tętno) spr-
dani.
Sprzedawcy ma
tych słodczyki telewizyj-
nych, ale doszedł do wino-
sku, że bez kwasku nie
da się tego opinać.
(Nadesłał: M. Srokowicz)

LAMANCE (wielgimie)

PODAJE: Lucyna Cwilińska (cy-
towane już II wydanie KAW-u jej 365 obia-
dów). W tradycyjnym menu wielgimim była
zawsze potrawa z maką, który do najdawniej-
szych czasów symbolizował szczelność w
pomiarach dóbr. Mak dodawano do kuli na
wspomnianych ziemach Rzeczypospolitej, do ma-
kielek lub makówek na ziemniach zachodnich,
a w dawnej Kongresówce były kłuski z ma-
kiem lub łamance.

— Łamance — to ciasteczka specjalnie pieczona z ma-
tego deszczu. Ciasto zagniatano się z 30 dek maki
(przechazan z funtów), 10 dek maki, 10 dek cukru
z jednym surowym jajkiem i łyżką amary. Po
dołkowanym wyścieleniu, rozwałkowując jak nale-
dziej na lekko podgrzaną mąkę stołową, wytrawiać
blaszaną formą w żabki albo szklanki — płaszczyki.
Bez smarowania upiec je w niebryt gorącym pie-
karniku na rumiano.
Mak przyrządza się podobnie jak do strucli. Po
sparzeniu utropem, po trzech godzinach w ciepym
miejscu, odcieść na sicie i utrzeć w makużnię ra-
zem z cukrem do smaku, lub przekręcić kilka razy
bez skórki, sparzone i utroczone, skórki starać się
z cyfrą. Według innych przepisów dostrzymano
kondur, mak do smaku, lekka kandyzowana skór-
ka, mak utrzeć w makużnię, lekko zmieszać.
Mak utrzeć w makużnię, lekko zmieszać.
Mak utrzeć w makużnię, lekko zmieszać.

ODPOWIEDZI — to tym razem podatekowanie za
życzenia świąteczno-noworoczne. Młyny Czytelnic-
kom i Czytelnicom. Trudno wymienić wszystkie,
wiele na reszty, którzy najwęższym się odezwali:
pionom Anie Rydzkiej-Skórki, z Włoch i Ewy
von Szasgen z Norwegii, i P. Andrzejowi Sosnarskie-
mu z dalszej Australii, a także zawsze wielmi-
P. Danucie Lewandowej z Warszawy na pocztowie
sprzedaży i wojny światowej, i Irene Paciołowej
z Polen, w tym samym roku, także po świąteczku
życzenia dla... i...
A od nas — bardzo serdecznie życzenia miłych
świąt przy stole, na którym będą tylko udane po-
trawy (zalecany też spacer dla zdrowia), a w No-
wym Roku jak najwięcej spełniających marzeń i po-
gody ducha.

Ludwik Ferzy Korn NA RYBCE

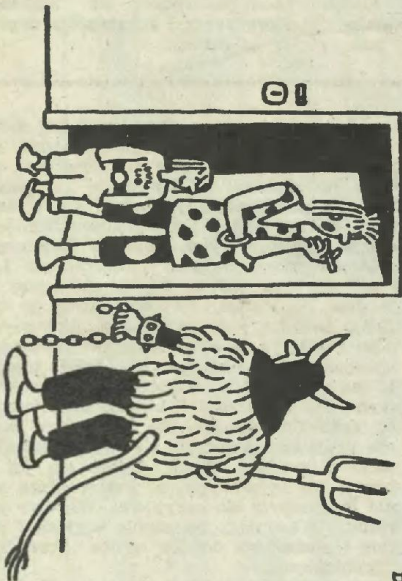
— Sam pan tak?
— Sam.
— A ma pan zapaski?
— Mam.
— O, to pysznie, bo właśnie papieros mi zgasił.
— Proszę uprzejmie.
— Dziękuję. Ale fatalny czas.
— Właśnie. Pada i pada.
— A jak nie pada, to śnię.
— Niech śnię, mnie ganc pomada.
— Ja już się tydzień nie kąpie.
— Ja tak samo chodzę brudny jak zwierzę.
— Co robisz, człowiek się szarpie.
— We wannie pewnie karpie?
— A karpie, karpie. A u pana?
— U mnie też.
— Karp, wie pan, dziwna ryba,
Niby duża, a ogon krótki...
— Napijmy się czegoś?
— No chyba.
— Panie starszy, daj pan dwie wódki!
*
— Ja już zagniołem ciasto.
— A ja mak utarłem żonie.
— A co z dziewczynką?
— Kupiłem. Już stoi na balkonie.
— Jodła czy świerczek?



TO JEST CHWYT

Zakład Remontowo-Bu-
dowlany przy Wojewód-
kim Szpitalu Zespólnym
w Opolu potrzebuje ludzi
do pracy, w zamieszczonym

Dzióbraz



— Nie przeszkadzaj, go pan, jego tatą jest punkiem.

— Świerczek. Nawet zgrabny, nie bardzo duży.
— Jeszcze po jednym?
— Ja myślę.
— Panie starszy, niech pan powtórz!



— Dywany potrzepałem,
Omiołem oba pokoje...
— No, a co z migdałami?
— Właśnie za nimi stoję.
— Przy barze?
— A przy barze. Co za różnica, gdzie stanę,
Przecież z góry wiadomo, że i tak ich nie
dostanę.
A tu przynajmniej ciepło i kolejka krzysz-
co nieco.
— No to co? Lecą dwie wódki?
— Jeśli o mnie chodzi, niech lecą.

— Ale ja się, proszę pana, przycażę.
We Wygląd zostanie świętym Mikołajem.
Zona dzieci wprowadzi po prezenty,
A ja w biskupiej czapie,
Zanim się zona potapie,
Zawołam: „Kiekał przed świętym!”
I do całowania podsunę jej rękę,
Niech mnie całuje za tę całą udrękę.
Jak pan myśli?
Nie zrobi chyba dzieciom tego,
Zeby przy nich demaskować świętego?
— Coś pysznego. Pomysłik nielichy.
Panie starszy, jeszcze dwa kiełbasy!

poprawnie, do jasnej Aniel-
ki. Poprawnie zaś powinno
być: „Kupię szeregocę”.
Mamy jednak wspaniałe
czy na taką transakcję
zgodą się generałowie?
(Nadesłał: A. Fortuna)

NOMENKLATURA

Nomenklatura w naszym
ciągu opowiadanie i obe-
muje swoim zasięgiem co-
raz to niższe rangi wia-
dzdy. Powiadaniem tego
faktu jest ogłoszenie za-
mieszczane w „Dzienniku
Pojazdów” z dnia 23 XI.

Alitacja z gwarańcją

W 314 rze „Echa Kras-
kowi” znajdujemy takie
ogłoszenie:
Dwudziestokilkule-
tnia spakoblercy, a-
tracyjni, inteligentni, pra-
wiczo — posłubi Pani.
To pewnieś nawet nie
piomna.
(Nadesłał: Z. K.)

O WACUSIU

— Każdy konkurs
piękności jest jedno-
cześnie wewnętrznym
konkurencją tego ucze-
śniczego na najbar-
dziej okropną spośród
nich. Oba konkursy
wygrywa zwykle jed-
na i ta sama osoba.

HUMOR ZESZYTOW z listów od Katarzyny L.
ze Szczecina, Cz. B. z Kłuczborka i E. Jac. z W.
Dziękujemy.